

Angielski bestseller numer 1

Wzruszająca i niosąca nadzieję historia prawdziwa

# Chłopiec i pies



# Chłopiec i pies

WENDY HOLDEN

Przekład  
AGNIESZKA ZAJDA



Redakcja stylistyczna  
Dorota Kielczyk

Korekta  
Barbara Cywińska  
Hanna Lachowska

Zdjęcie na okładce  
© Colleen Drummond

Tytuł oryginału  
Haatchi and Little B

Copyright © Wendy Holden and Owen Howkins 2014  
First published as *Haatchi and Little B* by Transworld Publishers.  
All rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5407-4

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA

[juras@evbox.pl](mailto:juras@evbox.pl)

*Tym, którzy są inni, oraz zwierzętom i ludziom, którzy ich dlatego jeszcze bardziej kochają*

# Od Autorki

Raz na jakiś czas – jeśli dopisze nam szczęście – spotykamy w życiu tych, którzy w naszych sercach odciskają ślad (stopy lub łapy), i potem nigdy już nie jesteśmy tacy jak przedtem. Właśnie taki wpływ wywarli na mnie Haatchi i Owen – zwany Little B (Mały Kumpel), kiedy pod koniec 2012 roku po raz pierwszy poznałam ich historię.

W wyrazie oczu obu było coś, co chwyciło mnie za serce, żądało mojej uwagi. Jako zagorzała miłośniczka zwierząt i obrończyni najsłabszych czułam się głęboko poruszona, gdy przeczytałam więcej o niecodziennych doświadczeniach życiowych tej dwójki i o tym, jak los ich połączył. To materiał na wspaniałą książkę, powiedziałam sobie.

Kilka miesięcy później adopcyjna matka Haatchiego, Colleen, i jej przyszły mąż Will, ojciec Little B, niespodziewanie zwrócili się do mnie z pytaniem, czy bym tej książki nie napisała. Trudny projekt, nad którym od dawna pracowałam, upadł, więc nie tylko byłam wolna, ale wręcz spragniona świeżej inspiracji. Los, który już odegrał tak wielką rolę w życiu pewnego psa i jego małego pana, zawiódł mnie do jednej z najbardziej pozytywnych rodzin, jaką kiedykolwiek dane mi było spotkać.

Ta książka to nie tylko opowieść o niewypowiedzianym okrucieństwie wobec bezbronnego zwierzęcia. To historia o ocaleniu, o tym, co potrafi uczynić bezwarunkowa miłość, zaufanie i przebaczenie. I w jaki sposób najgorsze przejawy ludzkiej natury mogą w efekcie wydobyć z człowieka coś najlepszego.

Niezwykły mały chłopiec i jego rodzina uratowali psa bez łapy, a on odpłacił im za to tysiącrotnie, odmieniając ich los.

Tej historii daleko do końca. Będzie trwała, by inspirować i odmieniać życie każdego, kto ma na tyle szczęścia, że zetknie się rodziną Howkinsów. Wiem, bo moje już odmieniła. I teraz serce mam pokryte ich śladami...

Wendy Holden

*Do rzeczy, z którymi jesteś losem sprzężony, staraj się dostosować. Ludzi też, z którymi cię los złączył, miłuj, a szczerze<sup>[1]</sup>.*

Marek Aureliusz

# Prolog

Uniósł łeb i wilgotnym czarnym nosem wciągał zimne powietrze nocy. Spróbował się poruszyć, ale zbyt mocno zabolalo, więc osunął się z powrotem tam, gdzie leżał, pomiędzy tory kolejowe. Wodząc to w prawo, to w lewo bursztynowymi ślepiami, rozmyślał, gdzie też podział się jego pan i dlaczego porzucił go tutaj, w ciemnościach. Czy zrobił coś złego? Czy ktoś przyjdzie na pomoc?

Wyczuł pociąg znacznie wcześniej, niż usłyszał.

Z początku szyny zaczęły niemal niezauważalnie wibrować. Wibracje narastały, aż w końcu falami przesywały go jak prąd, wprawiając w drzenie od łba aż po czubek ogona.

Wiercąc się i wykręcając, raz jeszcze spróbował wstać, ale nadal nie dawał rady. Im bardziej walczył, tym większy ból go przesywał.

Przechylił głowę. Jego wyostrzony słuch wychwytywał dudnienie kół, a szyny pod brzuchem drżały i dygotały. Potem w oddali, niczym światła nadjeżdżającego samochodu, zamajaczyły reflektory lokomotywy towarowej, maszyny nie do zatrzymania. Celem jej podróży była ogromna stacja rozrządowa w sąsiedztwie New Spitalfields, owocowo-warzywnego targu we wschodnim Londynie.

Dysząc kłębami pary, duży pies wciąż napinał mięśnie, próbował swoją masą i siłą pokonać ból, który przygwałdział go do szlaku stalowego potwora. Ale bez względu na to, jak bardzo się wrywał, nie mógł uciec.

Skomląc, odwrócił łeb i pytająco popatrzył w górę na maszynistę w jasno oświetlonej kabinie, który w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co za chwilę nastąpi. Sznur rozpedzonych trzydziestotonowych wagonów zbliżał się do miejsca, gdzie leżał pies.

Później maszynista nie potrafił powiedzieć, jakim cudem akurat wtedy zerknął w dół, na tory. Może to było spojrzenie psych oczu, a może ostatnie rozpaczliwe szcęknięcie?

Tak czy inaczej, nie mógł już nic zrobić; z ust wydarł mu się tylko zdławiony krzyk, kiedy pociąg lekko szarpnął, zanim z turkotem odjechał w noc.



# Rozdział 1

*Cała ciemność świata nie zdoła stłumić blasku jednej  
świecy.*

Święty Franciszek z Asyżu

Do tej pory nie ma pewności, jak pies, którego później nazywano „Bezpański: E10”, zimną nocą 9 stycznia 2012 roku znalazł się w tamtym miejscu. Mało kto potrafi pojąć, co za człowiek zostawia pięciomiesięcznego owczarka anatolijskiego na szczelnie ogrodzonym terenie ruchliwej linii kolejowej, bez możliwości ucieczki. Ci, którzy uratowali psa, uważali, że najpierw go pobito, a dopiero potem wyrzucono na tory. Niektórzy twierdzili, że mógł zostać przywiązany do szyn. Spekulowano, czy to aby nie koła rozciąły więzy, dzięki czemu uniknął jeszcze większych obrażeń.

Tylko jedna osoba zna całą prawdę – człowiek z obcą wymową, który tej nocy odpowiadał za bezbronne stworzenie. Dyżurny ruchu widział go przelotnie na torach niedługo przed tym, jak znaleziono psa, ale facet rozplątał się w mroku, zanim padły bardziej dociekliwe pytania. Nic dziwnego, że nigdy nie zgłosił się po porzucone zwierzę.

Bez względu na szczegóły okoliczności wydarzeń, które o mało nie doprowadziły do śmierci ładnego młodzieńczego owczarka, wszyscy są zgodni co do jednego: to było barbarzyńskie okrucieństwo.

Może to była robota szaleńca albo wynik jakiejś nieudanej transakcji? Może długonogie zwierzę nie okazało się na tyle atrakcyjne, żeby przynieść swojemu hodowcy tych ponad pięćset funtów, jakie osiągają na rynku anatoliany? Mimo że rozmiarów labradora, pies był jeszcze szczeniakiem, a szczeniaki są wymagające i drogie.

Nikt też dokładnie nie wie, co wydarzyło się później. Maszynista, który pierwszy zgłosił, że na torach zostało potrącone zwierzę, z początku nie był nawet pewny, czy to pies, i absolutnie nie wierzył, by przejechana przez pociąg ofiara mogła przeżyć. W głębi duszy miał tylko nadzieję, że śmierć nastąpiła szybko i bezboleśnie.

A jednak jakimś cudem pies nie zginął. Kiedy wagony towarowe toczyły się prosto na niego, przylgnął płasko do torowiska i uniknął śmiertelnych ran. Niestety, nie wyszedł z tego całkiem bez szwanku – koła niemal odcięły mu tylną lewą łapę.

Kolejny cud – to, że wiedziony wrodzonym instynktem poharatany owczarek zdołał dźwignąć się z ziemi i na trzech zdrowych łapach pokuśtykał, ciągnąc za sobą wyraźny krwawy ślad.

Z pewnością cierpiał straszny ból, kiedy człapał do miejsca, które pewnie uważał za bezpieczne, do sąsiednich torów – dopiero tam się osunął. Nie domyślał się, że w tym ruchliwym kolejowym korytarzu, z wąskimi żwirowymi poboczami, nadal przebywa na trasie pociągów towarowych i pasażerskich.

Nikt nie wie, ile czasu porzucony pies leżał na zimnie, bez jedzenia i wody i się wykrwawiał; może obwąchiwał i lizał swoje rany. Kolejni maszyniści, którzy zauważyli go w pobliżu punktu zwanego Ruckholt Road Junction (na skraju Hackney Marsh i Leyton), zaalarmowali personel sterowni. Potem ktoś stamtąd skontaktował się z dyżurnym ruchu Nigelem Morrisem i poprosił, żeby zbadał sytuację. Jednak postanowiono nie wstrzymywać ruchu na tym ważnym odcinku, dopóki nie uda się zlokalizować ранego zwierzęcia i potwierdzić, że jeszcze żyje.

Przez metalową, zamykaną na klucz bramkę Nigel przeszedł na teren chroniony i z latarką w ręku zaczął przeszukiwać linię kolejową. W okolicy, gdzie widziano psa, panował tamtej nocy duży ruch – ogółem to były cztery trakcje łączące lotnisko London's Stansted z Cambridge i ze stacją towarową.

Początkowo Nigel pomaszerował w stronę Temple Mills, skąd słychać było szczekanie, ale okazało się, że to tylko psy, które pilnują zamkniętej strefy przemysłowej. Właśnie zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku, gdy nagle zauważył mężczyznę. Nieznajomy w ciemnościach zbliżał się ku niemu wzdłuż torów. Zwalistej postaci towarzyszyły dwa duże psy, wilczur i mastif, oba na krótkich smyczach. Nigel nie mógł zrozumieć, w jaki sposób z tymi dwoma brytanami intruz zdołał pokonać liczne płoty i ścisłe zabezpieczenia. Jednak w tej chwili miał większy problem: nadal mijaly ich pociągi, więc pośpiesznie zgłosił przez radio obecność człowieka na torach i poprosił o wstrzymanie ruchu.

Kiedy nieznajomy podszedł bliżej, Nigel zawołał go i zapytał, co tutaj robi. Mężczyzna – koło czterdziestki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, wschodnioeuropejski akcent – wyglądał na zupełnie niewzruszonego. Twierdził, że

szuka swojego psa. Jednak, co dziwne, oddalał się od miejsca, gdzie maszyniści podobno widzieli ranne zwierzę.

Ponieważ Nigelowi przede wszystkim zależało na tym, żeby bezpieczne sprowadzić intruza z torów, wypuścił faceta i jego brytany przez najbliższą bramkę i szybko zameldował o tym przez radio, żeby pociągi mogły ruszyć. Potem zawołał za nieznanym – chciał mu powiedzieć, że będzie szukał zaginionego psa. Jednak, o dziwo, nieznanomy nie tylko nie okazał zainteresowania, ale wręcz rzucił się do ucieczki. Nigel patrzył za nim, jak znika w ciemnościach. Po chwili z latarką w ręku ruszył dalej przeszukiwać teren. Wreszcie zauważył coś, co później opisywał jako „cień pomiędzy torami”.

To był pies. Leżał nieruchomo na brzuchu. Nigel podchodził ostrożnie, chociaż przypuszczał, że pies zginął i trzeba będzie uprzętać martwe ciało. Ale kiedy znalazł się bliżej, ku swojemu wielkiemu zdumieniu zobaczył, że zwierzę żyje, chociaż lewą tylną łapę ma zalaną krwią.

Szybko zdał sobie sprawę, że biedne stworzenie jest łagodne i zbyt mocno pokiereszowane, żeby go zaatakować. Spróbował ściągnąć je z torów, ale tylko zakrwawił sobie całe ubranie i buty. Było jasne, że sam nie da rady. Zadzwoił więc do sterowni, żeby skontaktowali się z RSPCA<sup>[2]</sup> i poprosili o przysłanie mu kogoś do pomocy. Potem stanął obok ranego psa i czekał.

W tamtą zimową noc dyżurnym RSPCA we wschodnim Londynie była Siobhan Trinnaman, więc to ona tuż po siódmej wieczorem otrzymała wezwanie do „psa na torach”. Zanotowała kod pocztowy – gdzieś na obszarze E10 – wskoczyła do citroena berlingo z logo RSPCA na boku i pojechała w rejon ogromnego nowego kompleksu olimpijskiego.

Nigel Morris spotkał się z nią na ulicy. Kluczem otworzył bramkę w ogrodzeniu wzniesionym jako część olimpijskiego „stalowego kręgu” i po chwili Siobhan stała na niebezpiecznie wąskim żwirowym poboczu ruchliwej linii kolejowej, którą ludzie i towary podróżują przez kraj i za granicę. Chociaż w pobliżu stale przejeżdżały pociągi, ostrożnie ruszyli po nierównym gruncie w stronę miejsca, gdzie Nigel znalazł psa. Siobhan świeciła latarką to na lewo, to na prawo, aż wreszcie dostrzegła leżące na torach zwierzę. Od razu się zorientowała, że pies jest w złym stanie i mocno krwawi. Przystanęła w bezpiecznej odległości, przesunęła snopem światła po bezwładnym

ciele. Stwierdziła, że to samiec z poważnymi obrażeniami tylnych łap. Kamień spadł jej z serca, kiedy psiak uniósł łeb i popatrzył prosto na nią.

Ale właśnie wtedy dobiegł ją charakterystyczny odgłos. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Odskoczyła w stronę ogrodzenia. Nadjeżdżał kolejny pociąg.

Nigel natychmiast rozwiązał jej obawy.

– Spokojnie – powiedział. – Proszę spojrzeć. To zwierzę wie, co ma robić. Po prostu nad nim przejeżdżają. Wystarczy mu miejsca, byle tylko nie próbował wstawać.

Jeszcze bardziej odsunęli się od torów i wstrzymali oddech, bo z prędkością około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę zbliżał się ku nim pociąg pasażerski. Kobieta obserwowała zdumiona, jak pies skulił uszy, przywarł do ziemi i tak leżał, gdy wagony dudniły mu nad głową. A kiedy tylko się oddaliły, znowu uniósł łeb, zastrzygł uszami i popatrzył na nich, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam są.

Na widok błagalnego wyrazu bursztynowych ślepi, Siobhan zaczęła prosić Nigela, żeby jak najszybciej zamknęto linię.

Ruchliwe tory kolejowe codziennie przemierzało sporo miejskich lisów, bezpańskich psów i kotów, dlatego brytyjska Network Rail przyjęła zasadę, by nie wstrzymywać ruchu z powodu żadnego zwierzęcia i nawet nie ostrzegać maszynistów. Jednak jeśli ktoś stwierdzi, że ludziom lub zwierzętom grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, można polecić nastawniczemu wprowadzić tak zwaną blokadę. Nigel skontaktował się przez radio ze sterownią i – po raz drugi tego wieczoru – uzyskał zgodę na tymczasowe zamknięcie linii, by razem z Siobhan mogli spokojnie przejść do miejsca, gdzie leży pies. Kiedy tylko mieli już pewność, że pociągi w obu kierunkach zostały zatrzymane na dalszych odcinkach torów, pospieszyli do ранego zwierzęcia.

Siobhan od razu rzuciła się w oczy opuchlizna na psiej głowie. W ciągu pięciu lat służby w RSPCA kobieta widziała niezliczoną ilość ofiar maltretowania, więc doświadczenie podpowiadało jej, że zwierzę zostało czymś uderzone – najprawdopodobniej jakimś tępym narzędziem. Pociąg spowodowałby znacznie poważniejsze rany. Tylna łapa i ogon były mocno okaleczone i zwłaszcza z ogona uszło mnóstwo krwi. Siobhan nie potrafiła stwierdzić, czy pies ma jakieś wewnętrzne obrażenia. Kiedy go pobieżnie badała, nie wydawał się aż tak bardzo obolały. Ale wiedziała, że dopiero weterynarze zdołają ustalić, co dokładnie mu się stało.

Mimo dramatycznych przejść owczarek był łagodny, w przeciwieństwie do tyłu

innych zwierząt, z którymi musiała, w ramach swoich obowiązków, sobie radzić. Niejeden pies tak poturbowany jak on warczałby, gdy tylko podeszła bliżej. I niemal na pewno próbowałby ją ugryźć – dlatego na wszelki wypadek nosiła ze sobą kaganiec. Ale temu spokojnemu olbrzymowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że go dotyka, i tylko trochę skomlał, kiedy to robiła.

Siobhan miała prawo zdecydować o natychmiastowym uspieniu zwierzęcia, które cierpiało lub było poważnie ranne, gdyby uznała, że nie można mu pomóc. Ale ponieważ owczarek nie wyglądał na okaleczonego w innych miejscach, a w dodatku, jak później wspominała, był taki „śliczny i przyjazny”, od razu postanowiła, że spróbuje go uratować.

Nie bez trudu we dwoje z Nigelem dźwignęli psa, przytrzymując z obu stron, żeby stanął na trzech łapach, a potem przetaszczyli go kilkaset metrów do miejsca, gdzie był zaparkowany citroen. Zwierzę nie wydało prawie żadnego odgłosu, tylko trochę zaskomlało, kiedy je podnosili i kładli na posłaniu z tyłu furgonetki. Nie będąc weterynarzem, Siobhan nie wozila ze sobą żadnych środków przeciwbólowych, więc tylko ułożyła psa na zdrowym boku i podziękowała dyżurnemu ruchu za pomoc.

Chociaż Nigel Morris pracował w Network Rail już od dwunastu lat, tamtej styczniowej nocy 2012 roku po raz pierwszy musiał poradzić sobie z rannym psem na torach. Jako miłośnik zwierząt, którego rodzice w ojczystym Trynidadzie mieli dwa ukochane psiaki, mówił później, że chętnie zaadoptowałby okaleczonego owczarka anatolijskiego, gdyby tylko tryb pracy pozwalał mu trzymać w domu pupila. W tym zwierzęciu było coś, co naprawdę chwyta za serce. Patrząc w ślad za znikającą furgonetką, Nigel miał szczerą nadzieję, że biednemu stworzeniu uda się przeżyć.

Najszybciej jak mogła, Siobhan jechała do Harmsworth Memorial Animal Hospital, szpitala RSPCA w Holloway, w północnym Londynie. Placówka ta zapewnia całodobową niedrogą pomoc weterynaryjną. Powstała w 1968 roku dzięki darowiźnie magnata prasowego, sir Harolda Harmswortha, pierwszego wicehrabiego Rothermere. Szkołą się tu studenci weterynarii i każdego roku personel udziela pomocy medycznej ponad dziewięciu tysiącom zwierząt, w tym wielu bezpańskim psom.

Jazda do szpitala trwała dwadzieścia pięć minut. W czasie tej podróży znaleziony na torach owczarek kilkakrotnie zaskomlał, zwłaszcza gdy ogonem lub ranną łapą otarł się o ścianę furgonetki, ale poza tym był zdumiewająco spokojny. Kiedy Siobhan, nadal w

zakrwawionym ubraniu, dotarła wreszcie na miejsce, z pomocą dwóch pielęgniarek przeniosła psa na szpitalny wózek i wwiozła do budynku.

Stan McCaskie, dyrektor medyczny Harmsworth Hospital, a zarazem weterynarz, który tamtej nocy miał dyżur, natychmiast zajął się pacjentem w izbie przyjęć, zbadał jego rany i zrobił, co mógł, by zatamować krwawienie.

– Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy zobaczyłem, jak ten duży pies, wieziony do mnie na wózku, wpół siedząc, rozgląda się dookoła – opowiadał później. – Wydawał się całkiem spokojny, niemal odprężony. Kiedy usłyszałem, że potracił go pociąg, nie mogłem uwierzyć. Modliłem się, żeby miał obie tylne łapy, które w takim przypadku zwierzęta zwykle tracą. Na szczęście jedna łapa ocalała. Ale druga była całkiem odarta ze skóry i zmiądzona od miejsca powyżej pięty do czubka stopy.

Stan, który w 1989 roku w ramach stypendium przyjechał z Barbadosu do Anglii na studia weterynaryjne, przepracował w Harmsworth dwadzieścia cztery lata, więc dobrze wiedział, jak ważne jest ustabilizowanie stanu zwierzęcia po przeżytym szoku. Dał psu kroplówkę, żeby go nawodnić, zaaplikował środki przeciwbólowe i antybiotyk, a potem przemył i opatrzył rany, w tym wymagające szycia rozcięcie na wardze i stłuczenie albo obicie na czubku łba. Ogon był niemal całkiem oderwany. Weterynarz wiedział, że zwierzę straci go, tak jak tylną łapę, ale po takiej traumie przede wszystkim należało zadbać o to, żeby pies przetrwał kilka następnych dni. To było decydujące, inaczej mógłby nie przetrzymać narkozy.

Personel szpitala ułożył zwierzę na kołdrze w ciepłym, cichym boksie. Dyżurne pielęgniarki miały zaglądać tam przez całą noc. Nie było pewności, czy psiak w ogóle przeżyje. Te nieliczne osoby, które go wtedy widziały, sądziły, że raczej nie da rady.

Stan McCaskie nie miał już więcej do czynienia ze swoim pacjentem. Wrócił do innych obowiązków na nocnej zmianie i musiał jeszcze zoperować rannego kota.

– Często tak jest, że trafiają do nas zwierzęta, którym udzielamy pomocy, a później nigdy ich nie widzimy ani o nich nie słyszymy – powiedział. – Nie badałem już potem tego anatoliana, ale o nim nie zapomniałem. Był taki ciepły.

Siobhan Trinnaman czuła to samo. Kiedy psa, którego wpisała do oficjalnej ewidencji jako „Bezpański: E10”, zostawiła tamtej nocy pod szpitalną opieką, zdawała sobie sprawę, że być może zwierzę nie przeżyje. Ta myśl ją przygnębiała.

– Naprawdę zapadł mi w serce, i to nie tylko w związku z tym, gdzie i w jakich okolicznościach został znaleziony – wspominała później. – Miał w oczach coś takiego,



co kazało mi o nim jeszcze długo myśleć.

Nawet pracownicy Harmsworth, nawykli do widoku okrutnie traktowanych zwierząt – szacunkowo piętnaście procent przypadków, jakie do nich trafiają, to ofiary przemocy lub zaniedbania – byli zaszokowani tym, co przydarzyło się ich najnowszemu pacjentowi. Lekarze, którzy ratowali już psy wystawiane do walk, dżgane albo bite aż do połamania kości, robili wszystko, co tylko się da, żeby również rannego owczarka utrzymać przy życiu. Było jasne, że pies został uderzony w głowę; musiał zostać pozbawiony przytomności albo może nawet przywiązany i dlatego nie mógł uciec, kiedy nadjeżdżał pociąg. Widok pięknego, młodego zwierzęcia w tak strasznym stanie był niesamowicie smutny. Bezpański: E10 zdobył sobie serca wszystkich, którzy się z nim zetknęli, zwłaszcza że – chociaż był bardzo chory i na środkach uspokajających – ufnie patrzył na każdego, kto do niego podchodził.

Michelle Hurley jako jedna z pierwszych zobaczyła rannego psa wkrótce po tym, gdy tamtej nocy został ułożony w boksie. Pracowała jako wolontariuszka dla organizacji charytatywnej All Dogs Matter z siedzibą w północnym Londynie i dwa, trzy razy w tygodniu odwiedzała szpital Harmsworth i inne przytuliska dla zwierząt. Opierając się w dużej mierze na pracy ochotników, All Dogs Matter ratuje około 250–300 psów rocznie i w całym kraju szuka dla nich nowych opiekunów. Organizacja przyjmuje tyle bezpańskich pacjentów Harmsworth, ile tylko może. W ramach pomocy przy szukaniu dla nich domu Michelle robi zdjęcia, które są zamieszczane w Internecie na różnych stronach „ratunkowych”. Ilekroć akcja kończy się sukcesem, All Dogs Matter zestawia zdjęcia „przed i po”, żeby lepiej uwypuklić okrucieństwo wobec zwierząt. Jednak w związku z tym często trzeba fotografować obrazy naprawdę przygnębiające. Michelle Hurley pstryknęła kilka ujęć owczarkowi anatolijskiemu, kiedy jeszcze miał zmiądzoną łapę i wyglądał jak ostatnie nieszczęście.

Ranny pies przetrwał pierwszą noc w szpitalu, potem następną. Ludzie, którzy się nim opiekowali, zaczęli nabierać nadziei. Nikt się po niego nie zjawił ani nie zgłosił zaginięcia. Zwierzę nie miało też mikroczipu, co dziwne w przypadku takiej drogiej i stosunkowo rzadkiej rasy. Zdaniem personelu szpitala to wszystko coraz bardziej wskazywało na rozmyślne okrucieństwo.

Po kilku dniach Fiona Buchan, kolejny weterynarz ze szpitala RSPCA, spotkała się ze swoimi kolegami po fachu, żeby przedyskutować dalsze losy pacjenta. Był przyjazny i łagodny, ale wiedzieli, że wyrośnie na wielkiego psa; poza tym zastanawiali się, jak

taki olbrzym poradzi sobie na trzech łapach. Debatowali, czy nie byłoby lepiej w tym momencie go uspić. Gdyby stracił przednią łapę, niemal na pewno by to zrobili, ale ponieważ chodziło o tylną, w końcu zdecydowali, że dadzą mu szansę.

Kiedy ustąpił szok spowodowany potrąceniem przez pociąg, pies zaczął bardzo cierpieć z powodu ran na tyle ciężkich, że weterynarze nawet nie robili prześwietleń. Nie było sensu, łapa i ogon zostały zmiażdżone na krwawą miazgę, więc i tak nie dało się ich ocalić.

Wreszcie stan pacjenta ustabilizował się na tyle, że można było przeprowadzić poważną operację. Fiona dała psu narkozę i usunęła ogon niemal u podstawy kręgosłupa i łapę w okolicy biodra. Gdyby czekała z tym dłużej, mogłoby się wdać zakażenie. Zgodnie ze szpitalnymi zasadami odnoszącymi się do bezpańskich zwierząt owczarka również wykastrowała.

– Miałam tylko nadzieję – mówiła później – że uda się znaleźć dla niego odpowiedni dom. Wiedziałam, że to nie będzie łatwe, ale, o dziwo, zapewne dzięki temu, co mu się przydarzyło i że miał tylko trzy łapy, stał się bardziej interesujący. To wyróżniało go z tłumu.

Przy całej swojej, jak to nazwała, często niewdzięcznej pracy, pamiętała o tym psim pacjencie jeszcze długo po operacji.

– Miał w sobie coś, co sprawiało, że warto było o niego walczyć.

Nikt nie wiedział, jak wabi się ten duży pies, ale pracownicy szpitala, jeden po drugim, tracili dla niego głowy, nazywali go „milutkim miśkiem”. Chociaż tak okrutnie potraktowany, ich nowy pacjent stale łaknął ludzkiej czułości. Nadal – niemal od pierwszej chwili, gdy doszedł do siebie po narkozie – próbował wstawać, żeby powitać każdego, kto się do niego zbliżył. Ci, którzy bywali świadkami, jak bite przez większość swojego życia psy machają ogonem na widok człowieka, uznali, że wielkoduszny anatolian z londyńskim kodem pocztowym zamiast imienia zasługuje, by go porządnie nazwać. Bezpański: E10 brzmiało zbyt zimno, a miano „Trójnóg” (nagminnie używane przez RSPCA w odniesieniu do psów o trzech łapach) było niesprawiedliwe.

Wreszcie pewien mężczyzna, Alex, który pracował razem z Michelle w All Dogs Matter, wymyślił owczarkowi imię: Haatchi. Jednogłośnie uznano, że doskonale ono pasuje i tak się przyjęło. To wariant słowa „hachi” – tak wołano na żyjącego w latach



20. XX wieku rasowego japońskiego akity<sup>[3]</sup> o imieniu Hachikō. Pies ten był niezmiernie oddany swojemu panu. Codziennie czekał na stacji kolejowej, aż ten wróci z pracy. Nawiasem mówiąc, „hachikō” znaczy „wierny pies numer osiem” – był ósmym szczeniakiem w miocie – ale także „książę”. Jednak pewnego dnia w maju 1925 roku właściciel Hachiego, profesor Hidesaburō Ueno, który wykładał na Uniwersytecie Tokijskim, miał w pracy udar mózgu i nigdy już nie wrócił do domu. Przez następnych dziesięć lat, do końca swojego życia, Hachi zjawiał się na stacji dokładnie w porze przyjazdu wieczornego pociągu i daremnie czekał na pana. Pasażerowie podmiejskich kolei, którzy widywali tam akity każdego wieczoru, zaprzyjaźnili się z nim i zaczęli go dokarmiać, a wieść o jego bezgranicznym przywiązaniu szerzyła się po kraju.

Kiedy w prasie pojawiły się artykuły na ten temat, pies zaczął wzbudzać sensację. Jego przykład przytaczano uczniom jako wzór wierności, którą powinni okazywać rodzicom i cesarzowi. Wkrótce Hachi stał się przedmiotem narodowej dumy.

By uczcić tego wspaniałego psa, ustawiono na stacji – w jego obecności – figurę z brązu, dzieło znanego rzeźbiarza. I chociaż później trzeba ją było przetopić, żeby wykorzystać brąz na potrzeby wojny, po latach syn autora stworzył replikę posągu. Pomnik wiernego akity stał się popularnym punktem spotkań na stacji, pobliskie wyjście nosi imię Hachikō, a zwrot „umówić się przy Hachikō” nadal jest zrozumiały dla większości mieszkańców Tokio. Natomiast dokładnie w tym miejscu, gdzie pies czekał na peronie, widnieją odlane z brązu ślady łap.

Hachi zdechł w marcu 1935 roku. Do końca życia cierpliwie wypatrywał powrotu swojego pana. Kiedy ciało psa zostało wypchane i wystawione w tokijskim Narodowym Muzeum Przyrody i Nauki, tysiące osób czekały w kolejce, żeby go zobaczyć. Niemal osiemdziesiąt lat później muzealny sklep nadal sprzedaje pamiątki z wizerunkiem Hachiego. A na stacji, gdzie niegdyś wyczekiwał, rokrocznie odbywa się uroczystość ku jego pamięci, w której uczestniczą miłośnicy psów z całego świata.

W roku 1959 japońskie radio państwowe po raz pierwszy wyemitowało dla milionów słuchaczy nieznaną dotychczas nagranie ze szczekaniem wiernego akity, natomiast w roku 1987 Japończycy sfilmowali tę budującą historię. Jakiś czas później, w 2009 roku, w USA powstał znany na całym świecie film *Mój przyjaciel Hachiko*<sup>[4]</sup> z Richardem Gere’em. Hachi stał się również bohaterem licznych książek dla dzieci.

Młodego owczarka anatolijskiego, który osiemdziesiąt lat później na innym kontynencie dostał zmienioną wersję tego imienia, łączyło z wiernym akity tylko jedno

– kolej. Ale wszystko wskazywało na to, że Haatchi jest równie lojalny jak jego szlachetny imiennik i tak samo zjednuje sobie wszystkich.

Mimo że teraz miał już imię, daleko mu było do ocalenia. Nikt nie wątpił, że jeśli Haatchi przeżyje, czeka go kosztowne leczenie, co jeszcze utrudni znalezienie mu odpowiedniego domu. Każdy pies, który traci łapę i staje się „trójnogiem” – albo raczej „trójłapem” – potrzebuje czasu i przestrzeni, zanim przywyknie do swojego nowego kształtu, chodu i środka ciężkości. Może nagle stracić równowagę i stabilność, zwłaszcza na nierównej lub śliskiej powierzchni. Próbując zaadaptować się do tej przemiany, Haatchi ciągle się przewracał, a częste upadki mogły przeszkodzić w gojeniu kikutów.

Przy braku jednej tylnej łapy, ta druga powoli stawała się dużo bardziej obciążona i – jak to bywa u wszystkich trójnogów – pies ustawiał ją ku środkowi, żeby móc się na niej utrzymać. Dla lepszego podparcia zaczął też wysuwać stopę na zewnątrz. Wszystko to nieuchronnie prowadziło do zwyrodnienia stawów i innych problemów z biodrem, kolanem i poduszką stopy.

Jednak w miarę jak stopniowo uczył się utrzymywać równowagę, coraz bardziej chciał opuścić swój boks. Rozpaczliwie potrzebował przestrzeni większej niż ta ciasna kwatera; zestresowany ciągle wył i skomlał. Szpitalowi również zależało, żeby już owczarka przenieść. Oddziały mieli tak przepełnione, że część zwierząt musieli trzymać w klatkach na korytarzach, więc boks Haatchiego potrzebowali dla innych, teraz bardziej naglących przypadków.

Haatchi trafił do Harmsworth Hospital jako niemal niezdolny do samodzielności szczeniak. Jednak musiał bardzo szybko dorosnąć. Doświadczył najgorszych chwil swojego życia, ale jakimś cudem wyszedł z tego silniejszy. Chociaż jeszcze całkiem nie wyzdrowiał, radził sobie na tyle dobrze, że przed znalezieniem dla niego stałego domu można już było pomyśleć o opiece zastępczej.

Personel szpitala poprosił o pomoc wolontariuszy All Dogs Matter. Podczas gdy szukano odpowiedniego miejsca, Siobhan Trinnaman przyszła odwiedzić uratowanego przez siebie psiaka, co – jak sądziła – robi po raz ostatni.

– Nadal był niesamowicie słodki – opowiadała. – Miał w sobie jakiś spokój i taką dobroć, które sprawiały, że ciągle o nim myślałam.

Żegnając się z nim, wiedziała, że jakakolwiek przyszłość go czeka, to jest już ona w

rękach innych ludzi.

All Dogs Matter, której przewodniczy Peter Egan – aktor znany z komediowego serialu *Ever Decreasing Circles* – dysponuje ogromną siecią zastępczych opiekunów w całym kraju. Ira Moss, dyrektor naczelna organizacji, była następnym ogniwem w tym łańcuchu ludzkiej życzliwości, mającym ostatecznie doprowadzić anatoliana do tego, co ludzie z opieki nad zwierzętami nazywają „domem na zawsze”.

Pracownicy All Dogs Matter kilkakrotnie już mieli do czynienia z podobną sytuacją, ale Ira martwiła się podwójnym obciążeniem Haatchiego: po pierwsze był inwalidą, a po drugie trudno znaleźć dom dla psów tej rasy, która zyskała fatalną opinię niebezpiecznej i agresywnej.

Owczarki anatolijskie, częściowo wywodzące się od mastifów, znane są również jako tureckie psy pasterskie. Pierwotnie służyły do ochrony przed drapieżnikami wielkich stad owiec wypasanych na surowych terenach Anatolii, w centralnej Turcji. Ta czujna i wytrzymała rasa, z silnym instynktem terytorialnym, liczy sobie mniej więcej sześć tysięcy lat. Anatoliany charakteryzują się szeroką głową, niemal prostokątną kufą i krótką, gęstą sierścią, dzięki której mogą znosić skrajne ciepło i zimno. Obdarzone są pierwszorzędym wzrokiem i słuchem, a ponieważ mają dość siły, żeby powalić wilka, czy nawet górskiego lwa, czasem są nazywane „łowcami lwów”. Te psy o beczkowatym tułowiu, kiedy w pełni dorosną, mogą osiągnąć wysokość około 80 centymetrów i ważyć do 65 kilogramów. Mimo swojej masy są szybkie i pełne wigoru. Aktywne, ciężko pracujące i bardzo wierne, należą do psów stróżujących, co oznacza, że będą bronić swojego „stada” i jeśli trzeba – walczyć z napastnikami na śmierć i życie. Niestety, czasem za tych napastników mogą zostać uznane inne psy albo nawet ludzie.

W 2011 roku w Somerset trzy owczarki anatolijskie uciekły z domu, dotkliwie poturbowały pewną kobietę i zagryzły psa, z którym była na spacerze. Później podczas rozprawy sędziego – po tym, jak ukarał właściciela anatolianów grzywną 10 000 funtów – oświadczył, że takich psów „nie powinno się trzymać je w Anglii”. Historia trafiła na czołówki gazet i przez nią cała rasa miała reputację niebezpiecznej.

Ira Moss wiedziała, że w Londynie większość uratowanych owczarków anatolijskich pochodzi z terenów Tottenham i Palmers Green, w dużej części zamieszkanym przez społeczność turecką i kurdyjską. Część tych psów jest używana do

walk, ale niektóre, nabyte z powodów patriotycznych, padają po prostu ofiarą zaniedbania albo ignorancji. Owszem, na początku są ślicznymi, puszystymi szczeniaczkami, ale szybko rosną, a poza tym to rasa stróżująca – bronią stada nawet na śmierć i życie – więc wymagają wczesnej nauki obcowania z innymi psami i ludźmi. Tak jak w przypadku wszystkich dużych ras, potrzebują sporo przestrzeni, ruchu i stanowczego, pewnego siebie tresera, który rozumie nie tylko psi instynkt, ale też czujną naturę anatolianów i potrafi odpowiednio je wychować, zanim staną się zbyt silne, by sobie z nimi poradzić.

Niedoświadczeni właściciele myślą, że skoro te zwierzęta w swoich ojczystych stronach przebywają stale na dworze, w Wielkiej Brytanii też mogą być trzymane poza domem, nawet w nieprzyjemne zimowe miesiące. Chociaż gęste futro nadaje się do ekstremalnych warunków klimatycznych, anatoliany pozostawione w ogrodzie lub na podwórku będą bezustannie szczekały, próbowały ucieczki albo powodowały szkody, które wkrótce zaczną irytować właścicieli, mimo że to zwykle oni są winni.

Poproszona o znalezienie tymczasowego domu dla Haatchiego, Ira Moss skontaktowała się z organizacją charytatywną ratującą owczarki anatolijskie. Jednak u nich było już pełno, więc nie mogli go przyjąć. W tej sytuacji zwróciła się do jednej ze stałych opiekunek zastępczych, które wspomagają jej organizację. Lorraine Coyle z Hendon w północnym Londynie wyprowadza cudze psy i zajmuje się nimi. Kiedy usłyszała, że zwierzę, które potrzebuje pomocy, prawdopodobnie zostało przywiązane na torach i teraz dopiero dochodzi do siebie po poważnej operacji, współczucie wypełniło jej serce.

– Ten biedny pies przeżył bardzo ciężkie chwile – powiedziała. – Najpierw potracił go pociąg, a potem ocknął się bez nogi, ogona i na dodatek wykastrowany. Życie wyglądało całkiem inaczej niż tamto, które pamiętał.

Lorraine chętnie zgodziła się przygarnąć Haatchiego, dopóki nie znajdzie się dla niego dom na stałe, więc ustalono szczegóły przekazania i wolontariusz z All Dogs Matter przywiózł owczarka do jej domu. Przedtem wielokrotnie opiekowała się bezpańskimi psami, ale szybko stało się dla niej jasne, że tym razem to nie jest zwyczajna sytuacja.

Chociaż Haatchi zachowywał się niewiarygodnie pasywnie i zaprzyjaźnił się z jej dwunastoletnim bokserem Bobbym, nadal przeżywał silną traumę. Był młodziutki, pełen energii, więc próbował biegać, ale ciągle się przewracał i walił kikutami o

podłogę. Miał założone szwy, jednak rana nogi, jeszcze nie całkiem zagojona, wyglądała okropnie.

– Ujmijmy to tak: od tamtej pory nie mogę patrzeć na udziec jagnięcy – wyjaśniła Lorraine.

Zrozpaczony Haatchi został u niej tylko przez jedną noc. Cały czas tłukł się po domu, upadał i za każdym razem skomlał żałośnie, aż wreszcie Lorraine nie mogła już dłużej tego wytrzymać. Po kilku bezsennych godzinach uznała, że pies jest u niej nieszczęśliwy, i obawiała się, że nie ma odpowiednich dla niego warunków. Bardzo niepokoiły ją również jego otwarte rany. Jej zdaniem owczarek wymagał dalszej opieki weterynaryjnej. Następnego dnia wczesnym rankiem zatelefonowała do All Dogs Matter, by zawiadomić, że okaleczony anatolian powinien wrócić do szpitala.

Zdawała sobie sprawę z ryzyka – gdyby Haatchi nie znalazł odpowiedniego domu, mógł zostać uśpiony. I nawet przez moment zastanawiała się, czy to nie litościwsze rozwiązanie. Mimo to poinformowała All Dogs Matter, że chętnie znów weźmie owczarka, kiedy tylko rany całkiem mu się zagoją. Jeśli alternatywą miałyby być eutanazja, Lorraine zdecydowanie chciała jeszcze raz spróbować.

Przez kilka tygodni nie słyszała ani słowa na temat nieszczęśliwego psa, który spędził u niej noc, więc któregoś dnia sama zapytała o niego pracowników All Dogs Matter. Jak się okazało, oni też stracili go z oczu. Zmartwiona uznała, że biedak pewnie został uśpiony.

– Bardzo tego nie chciałam, ale naprawdę nie wiem, co więcej mogłam zrobić – powiedziała.

Chociaż RSPCA, Dogs Trust i inne organizacje charytatywne zajmujące się pomocą dla zwierząt starają się uratować niemal 120 tysięcy bezpańskich psów, porzucanych w Wielkiej Brytanii każdego roku (czyli 325 zwierząt dziennie), pewna liczba ocalonych stworzeń (w tym również kotów) musi zostać uśpiona, bo są zbyt poważnie ranne, zbyt chore albo po prostu nie można dla nich znaleźć odpowiednich domów. Z tej łącznej liczby, jak szacuje organizacja Dogs Trust, tylko w 2012 roku uśpiono prawie 9 tysięcy psów, co oznacza, że co godzina więcej niż jeden pies dostaje śmiertelny zastrzyk, zwykle z dużymi oporami personelu organizacji.

Żeby rozpoznać rozmiar problemu, Dogs Trust rokrocznie zamawia sondaż u wszystkich lokalnych władz w kraju (które w 2008 roku przejęły od policji odpowiedzialność za bezdomne psy). Firma badawcza pyta, jak dużo psów zostało

schwytych lub przekazanych do podlegających samorządom schronisk, a potem dowiaduje się, ile z tych zwierząt trafiło z powrotem do swoich właścicieli, ile do nowych domów, a ile trzeba było uśpić.

Według danych z sondażu w 2012 roku w ciągu poprzedzających dwunastu miesięcy w ręce 327 lokalnych samorządów w Wielkiej Brytanii trafiły 118 932 bezdomne i porzucone psy. Tylko 15 procent spośród tych zwierząt dostarczyły osoby postronne. Cała reszta została schwytana przez strażników, a potem umieszczona w którymś z komunalnych schronisk (kilkaset policyjnych klatek dla psów, w większości ustawionych na tyłach posterunków policji, zlikwidowano zgodnie z ustawą z 2008 roku). Kiedy te schroniska są już pełne, psy przekazuje się na koszt podatnika do miejsc komercyjnych i zegar zaczyna tykać.

Pracownicy licznych w całym kraju ośrodków charytatywnych, które szukają dla zwierząt nowych miejsc, przyjmują tyle bezpańskich psów, ile tylko zdołają, ale finansowanie organizacji opieki nad zwierzętami zmalało w okresie recesji. Przy tym są one zalewane dodatkowymi niechcianymi stworzeniami, ponieważ właściciele pozbywają się swoich pupilów, na których utrzymanie nie mogą sobie dłużej pozwolić. W dodatku liczne władze lokalne wprowadziły zakaz trzymania psów w mieszkaniach i domach czynszowych – dotyczący nawet tych lokatorów, którzy już mieli zwierzęta – więc schroniska stały się jeszcze bardziej przeładowane.

Spośród wszystkich psów, które w roku 2012 trafiły pod opiekę władz, 47 procent powróciło do dawnych właścicieli, 9 procent znalazło nowe domy, 24 procent przekazano organizacjom lub schroniskom charytatywnym, a 7 procent – czyli 8903 psy – uśpiono. Pozostałe zwierzęta albo znaleziono martwe bądź zdychające, albo zostały w końcu przygarnięte przez swoich znalazców.

Chociaż łączna liczba porzuconych psów, o których zebrała informacje Dogs Trust, okazała się nieco niższa niż w roku poprzednim, sondaż wykazał, iż znaczna część tych zwierząt (23 procent) należała do ras nazywanych „prestizowymi”, takich jak: bulteriery staffordshire, rottweilery, akity oraz większe mieszańce. Te psy wyglądają na niebezpieczne, co ma być czynnikiem podnoszącym status właściciela. Wykorzystywane przez młodocianych chuliganów i gangi jako broń do zastraszania na ulicach i w parkach, często są zachęcane do agresywnych zachowań i wystawiane dla pieniędzy w nielegalnych walkach. Wielu właścicieli często zaniedbuje i w różny sposób dręczy te zwierzęta – czasem przemoc jest stosowana celowo, żeby wzmóc



agresję. Masowy wychów takich psów, przeznaczonych do zdobywania nieopodatkowanych dochodów, tylko powiększa problem. Z raportów organizacji charytatywnych wynika, że alarmująco wzrasta liczba zgłoszeń dotyczących walk i hodowli specjalizujących się w rasach „prestizowych”.

Część organizacji utrzymuje, że rośnie fala okrucieństwa. Napływają też informacje na ten temat z innych części Europy, na przykład z niektórych krajów dawnego bloku wschodniego, gdzie opieka nad zwierzętami jest często na znacznie niższym poziomie niż w Wielkiej Brytanii<sup>[5]</sup>.

Według raportu RSPCA z 2012 roku 400 inspektorów złożyło do swoich wydziałów prokuratury doniesienia o 2093 przypadkach niewłaściwego traktowania zwierząt i 3181 osobach źle traktujących zwierzęta, co zaowocowało 4168 sądowymi wyrokami skazującymi. Oznaczało to 34-procentowy wzrost tego typu przestępstw w stosunku do poprzedniego roku i obejmowało kilka najgorszych przypadków, z jakimi RSPCA kiedykolwiek się zetknęło.

Wobec narastających potrzeb największe brytyjskie organizacje opieki nad zwierzętami zmieniły w 2010 roku zasady swojego działania – nie przyjmują już zwierząt, które są jedynie niechciane. Mimo to w 2012 roku wolontariusze RSPCA zdołali znaleźć odpowiedniego pupila dla ponad 55 tysięcy rodzin i pojedynczych osób, które zgłosiły się do schronisk Królewskiego Towarzystwa lub odwiedziły jego strony internetowe.

Takie szczęśliwe zakończenie jednak nie było jeszcze dane Haatchiemu. Po krótkim epizodzie z opieką zastępczą owczarek wrócił do Harmsworth Hospital. Przyszłość psa, zwróconego przez tymczasowych opiekunów, rysuje się jeszcze bardziej ponuro, ponieważ wzrasta prawdopodobieństwo, że nie da się go nigdzie umieścić – szczególnie gdy ma poważne problemy ze zdrowiem, które raczej nie ustąpią, nie podlegają ubezpieczeniu i wiążą się z kosztami. A właśnie tak było w przypadku Haatchiego.

Większość osób zgodziłaby się z opinią, że wobec tak wielkiej liczby porzuconych lub źle traktowanych zwierząt weterynarze i pielęgniarze pracujący dla RSPCA zdumiewająco dobrze sobie radzą. Ale to już wszystko, co mogą zrobić; zwłaszcza przy tylu nowych bezpańskich stworzeniach, dowożonych każdego dnia do zatłoczonych schronisk towarzystwa. Organizacje dobroczynne znają wiele takich przypadków, kiedy weterynarze ratowali zwierzętom życie, potem przetrzymywali je o wiele dłużej,

niż tego od nich wymagano, a w końcu po kilku tygodniach – z powodu napływu większej liczby ofiar, niż mogli obsłużyć – i tak musieli umieszczać swoich pacjentów na strasznej liście PTS (*Put to Sleep*, Do Uśpienia).

Wyglądało na to, że Haatchi przetrwał po wypadku na kolejowych torach tylko po to, by zajrzała mu w oczy śmierć innego rodzaju.

Szczęśliwie dla tego okaleczonego psa (i innych mu podobnych) istnieje niezliczona rzesza anonimowych wolontariuszy, którzy robią co w ich mocy, żeby ocalić zwierzęta z listy PTS. Znani jako wrywacze, weterynarze, pielęgniarze, ochotnicy i pracownicy przytułków dla zwierząt regularnie fotografują najbardziej zagrożone psy w nadziei, że uda się je wydobyć ze schronisk, zanim będzie za późno. Umieszczają te zdjęcia na licznych portalach internetowych, dzwonią do każdego, kto ewentualnie mógłby pomóc, lub czekają, by któraś spośród setek brytyjskich organizacji charytatywnych, działających na podstawie zasady „żadnego zabijania”, ulitowała się nad skazanym zwierzęciem.

Michelle Hurley z All Dogs Matter ciągle jeszcze miała w swoim telefonie fotografie Haatchiego, i to właśnie ona umieściła je na stronie Rescue Helpers Unite. Ta tworzona przez wolontariuszy z całego kraju organizacja non profit ma ogromną bazę danych opiekunów zastępczych, kontrolerów i transportowców. Od chwili rozpoczęcia swojej działalności w 2007 roku RHU pomogła już ponad 400 tysiącom zwierząt.

Wśród czekających na ocalenie psów owczarki anatolijskie trafiają się stosunkowo rzadko, była więc nadzieja, że mimo licznych problemów Haatchi zostanie przez kogoś dostrzeżony i uratowany.

Suzanne Syers jest pedikiurzystką, ale wyniesiony z dzieciństwa sentyment do owczarków niemieckich sprawił, że w 2010 roku powołała do życia organizację charytatywną UK German Shepherd Rescue. Suzanne jest właścicielką siedmiu uratowanych owczarków i zanim zdecydowała się pójść własną drogą, przez wiele lat w ramach innych instytucji dobroczynnych podejmowała opiekę nad bezpańskimi psami. Obecnie UKGSR to druga co do wielkości organizacja spośród tych, które koncentrują się na konkretnych rasach. Kierując nią ze swojego domu w Warrington (Cheshire), Suzanne – wraz z zespołem współpracowników – od chwili rozpoczęcia działalności uratowała ponad 500 wilczurów, a ponieważ renoma organizacji stale rośnie, wrywacze wiedzą, że jeśli zagrożony jest jakiś owczarek, należy natychmiast



skontaktować się z panią Syers.

UKGSR na ogół zajmuje się zwierzętami w najbardziej naglącej potrzebie. Zgodnie z prawem wszystkie bezpieczne psy, które nie są ranne ani chore, trafiają do komunalnych schronisk na siedem dni. Od ósmego dnia grozi im już uśpienie, jeśli nie znajdą nowego domu, dlatego ich szczegółowe dane umieszcza się na tak wielu forach, jak to tylko możliwe. Obecny trend pozbywania się psów najboleśniej dotyka rasy „prestizowe”, na przykład bulteriery staffordshire czy wielkie mieszańce – niektórzy wręcz nazywają to „eksterminacją staffordów”. Zdjęcia ich zatroskanych mord po brzegi zapełniają strony internetowe. I wreszcie są takie zwierzęta jak Haatchi, które – uratowane i leczone przez RSPCA – zwykle zyskują opiekę na znacznie dłużej niż niechciane psy „prestizowe”. Jednak kiedy poczują się lepiej, dla nich też zegar zaczyna odmierzać czas.

Suzanne Syers większość poranków spędza na przeglądaniu stron organizacji pomocowych – szuka owczarków i próbuje określić, jak bardzo rozpaczliwe jest położenie poszczególnych zwierząt. Pewnego dnia w styczniu 2012 roku, siedząc przy komputerze, wyklikała na forum Rescue Helpers Unite fotografię Haatchiego.

– Wystarczył mi jeden rzut oka na jego mordkę! – wspominała później.

Chociaż Haatchi to nie wilczur, jednak należy do rasy owczarków i to wystarczyło, żeby pozyskał sobie szefową UKGSR na tyle, by zaangażowała się w pomoc. Prawdę mówiąc, Suzanne Syers uważa, że i tak by go ratowała. Jego przenikliwemu spojrzeniu trudno było się oprzeć.

W informacji o psie odnotowano tylko, że został potrącony przez pociąg i stracił tylną łapę. Suzanne nie wiedziała nic więcej i nie chciała wiedzieć. Dla członków UKGSR przeszłość psa nie ma znaczenia – starają się koncentrować tylko na jego przyszłości. Kobieta doskonale zdawała sobie sprawę, na czym polega problem ze zwierzęciem takim jak Haatchi. Patrząc na nie, ludzie automatycznie myślą: rachunki za leczenie, a do tego koszty wyżywienia. Dlatego szczególnie nie dziwił jej dotychczasowy brak chętnych, by go przygarnąć.

Kiedy zadzwoniła do Harmsworth Hospital, pielęgniarka, wyraziła obawę, że dni Haatchiego są już policzone i w najbliższym tygodniu pójdzie do uśpienia. Ponieważ ta rozmowa odbywała się w niedzielę, Suzanne obiecała, że UKGSR natychmiast zabierze psa.

Tamtego dnia los uśmiechnął się do Haatchiego. Suzanne Syers była pewnie jego ostatnią szansą.

Chcąc załatwić sprawę jak najszybciej, zatelefonowała do Tracey Harris, zaprawionej w bojach o fundusze weteranki działalności charytatywnej, a zarazem koordynatorki UKGSR na Londyn i południowo-wschodnią Anglię – do jej domu w Berkshire – żeby znalazła kogoś, kto najszybciej, jak się da, zabrałby Haatchiego. Tracey, która sama kieruje organizacją o nazwie A Better Life ratującą psy z Rumunii, zadała szpitalowi wiele dodatkowych pytań i usłyszała, że Haatchi nie tylko został potrącony przez pociąg, ale być może również przywiązany do szyn. Wstrząśnięta, wprost nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł zrobić coś podobnego. Jednak wiedziała, że RSPCA nie wymyśla takich historii.

Natychmiast zaczęła wydzwaniać, gdzie można umieścić biedaka. Przede wszystkim należało jak najszybciej zabrać go z Harmsworth. Tracey była pewna, że ktokolwiek opublikował zdjęcie owczarka, zapewne chwycił się już wszelkich sposobów: RSPCA uratowało tego psa z torów kolejowych i walczyło o jego życie, więc decyzja o uśpieniu nie przyszlaby tam nikomu łatwo, ale pracownicy Królewskiego Towarzystwa muszą czasami dokonywać trudnych wyborów, aby móc ocalić inne zwierzęta.

Podczas gdy Suzanne szukała odpowiednich opiekunów dla Haatchiego i umieszczała jego fotografię na Facebooku, Tracey skontaktowała się z jedną ze swoich wolontariuszek, Nicolą Collinson, która mieszka w Essex, niedaleko Stansted. Zostało ustalone, że Nicola lub ktoś inny spośród nowicjuszy zaopiekuje się okaleczonym zwierzęciem, dopóki organizacja nie znajdzie mu właściwego miejsca. Suzanne prosiła, by wolontariuszka czym prędzej pojechała do szpitala Harmsworth, dobrze Nicoli znanego, bo to właśnie tam kręcono jej ulubiony program, nagrodzony serial telewizji BBC *Animal Hospital*.

Wyjazd po Haatchiego był jej pierwszą pracą dla UKGSR, więc Nicola w zasadzie nie wiedziała, czego się spodziewać. Usłyszała tylko, że ma odebrać owczarka anatolijskiego. Nie orientowała się, jak on dokładnie wygląda ani jakiej jest wielkości. Sama miała półrocznego owczarka niemieckiego o imieniu Vinnie, więc przypuszczała, że ten nowy pies będzie podobnego wzrostu.

Poświęcając niedzielny odpoczynek, wskoczyła do swojego volkswagena golfa, żeby jak najszybciej dotrzeć do Holloway. Już na miejscu stwierdziła, że szpital znajduje się w szemranej okolicy i z zewnątrz wcale nie wygląda zachęcająco. Ze

względu na liczbę zabezpieczeń skojarzył się jej z bazą wojskową Fort Knox i zupełnie nie przypominał tego, co widziała w serialu.

Wszystkie drzwi były zamknięte na klucz, więc nacisnęła dzwonek z nadzieją, że wszystko dobrze się ułoży. Niestety dopiero teraz sobie uświadomiła, że nie zabrała ze sobą żadnych papierów, więc zaczęła się obawiać, że personel szpitala nie pozwoli jej zabrać psa. Na szczęście kobieta, która ją wpuściła do środka, najwyraźniej już na nią czekała.

Nicola została zaproszona do poczekalni. Siedziała tam, nadal rozmyślając, czego ma się spodziewać, kiedy otworzy się drzwi i do pomieszczenia niezdarnie wkuśtykał wielki pies bez tylnej łapy i tylko z kikutem ogona. Jedno spojrzenie na psią mordkę wystarczyło. Nicola postanowiła, że jeśli nie uda się znaleźć dla niego domu, sama go przygarnie.

– Przyczłapał do mnie, chwiejąc się na trzech łapach, i położył mi na kolanach swój duży łeb – wspominała. – Potem popatrzył na mnie tymi bursztynowymi ślepiami, a ja poczułam, że topnieje mi serce. Roześmiałam się i powiedziałam: „O kurczę, jesteś ogromny! Jak ja cię upchnę w swoim aucie?”

Pracownica szpitala, która przedtem wpuściła Nicolę, teraz pomogła jej wsadzić Haatchiego do volkswagena. Pies zachowywał się anielsko grzecznie. Umościł się z tyłu na kanapie i wyglądał przez okno, jakby to była najnaturalniejsza rzecz w świecie.

Sprawdzając, czy nie nadeszły jakieś nowe wiadomości, Nicola znalazła SMS od szefowej. Tracey prosiła, żeby zawieźć Haatchiego do miejsca obsługi podróżnych przy autostradzie M25 w South Mimms (Hertfordshire). Znalazła kogoś, kto się psem chwilowo zaopiekuje, więc wolontariuszka miała zatrzymać się na odległym końcu parkingu i tam poczekać na przyjazd land rovera. Nicola czuła się trochę rozczarowana, bo duży misiek, który podróżował na tylnym siedzeniu, już zdobył jej serce.

Ross McCarthy i James Hearle prowadzą w Oksfordshire firmę Dogs and Kisses. James ma wykształcenie rolnicze i zawodowo zajmował się zwierzętami w instytucjach społecznych, dopóki sam nie założył pierwszorzędного ośrodka opieki dziennej i zastępczej dla psów. Wspólnik Jamesa, Ross, jest uznanym behawiorystą zwierzęcym, zresztą obydwaj są ekspertami od psich i kocich zachowań. Kiedy zobaczyli na Facebooku fotografię Haatchiego i dowiedzieli się, że wymaga on natychmiastowej pomocy, od razu zaoferowali, że tymczasowo zajmą się psem. Mieli

już jedenaście własnych psów, w tym kilka dogów niemieckich, więc Tracey wiedziała, że przy podobnym doświadczeniu i przygotowaniu idealnie nadają się na opiekunów tak zwanego zwierzęcia z problemami.

Kiedy tylko Ross i James dostali od niej zielone światło, również rzucili wszystko, czym akurat się zajmowali, i popędzili do miejsca obsługi podróźnych, by poznać Haatchiego.

Tymczasem Nicola już nadjeżdżała w ich kierunku z przeciwnej strony. Mając nadzieję, że to działa uspokajająco, przez całą drogę przemawiała do zwierzęcia za jej plecami. Kiedy dotarli do South Mimms, pomyślała, że dobrze będzie pozwolić Haatchiemu się załatwić. Otworzyła tylne drzwi i pomogła owczarkowi wydostać się na zewnątrz.

Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że nijak nie da rady sama wsadzić go z powrotem do auta, więc razem usiedli przy jej volkswagenie. Ona gawędziła, a pies obwąchiwał ziemię i od czasu do czasu przechylał łeb, jakby uważnie słuchał każdego słowa.

Wreszcie obok nich zatrzymał się land rover, z którego wysiedli Ross i James. Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, bo uznali, że wyglądają jak dilerzy narkotyków, którzy w kącie parkingu robią jakieś podejrzane interesy. Nowym opiekunom Haatchi spodobał się od pierwszego wejrzenia. Pochwalili, że śliczny z niego misiek. Potem – bez afer i lęku – owczarek pokuśtykał do swoich nowych opiekunów i pozwolił wsadzić się na tył ich terenówki. Ross był zaskoczony, że tak spokojnie i łatwo mogli się z nim uporać; zupełnie jakby pies wiedział, że go ratują.

Nie minęła doba od chwili, gdy zdjęcie psiej mordki pojawiło się na ekranach komputerowych w całym kraju i dostrzegła je Suzanne Syers, a Haatchi już był bezpieczny.

– Jest w nim coś, co trudno opisać – mówiła później Suzanne. – To bardzo wyjątkowy pies i zdecydowanie musiał być taki również przed wypadkiem. Roztaczał jakąś aurę. Ten pies pokonuje wszystkie przeszkody tym swoim trójłapym, zamaszystym krokiem. Nic go nie zbija z tropu. Zupełnie jakby doskonale wiedział, po co znalazł się na tej ziemi. I jakby postanowił, że sobie poradzi. Że możliwie najlepiej wykona to, co do niego należy.

Jednak nikt, nawet sam Haatchi, nie mógł przewidzieć, jak ważne czeka go zadanie – ważne zwłaszcza dla pewnego małego chłopca.

Bo wkrótce obaj mieli rozpocząć nowe życie.

# Rozdział 2

*Bohater to zwyczajny człowiek, który odnajduje dość siły, by wytrwać mimo przytłaczających przeszkód.*

Christopher Reeve

Owen Howkins był wesołym, bystrym i odważnym chłopcem, choć wiedziało o tym niewiele osób spoza kręgu najbliższych.

Inni nieczęsto mieli okazję się przekonać, jaki jest słodki, między innymi dlatego, że ten sześciolatek cierpiący na rzadką chorobę mięśni dosłownie się kulił niemal za każdym razem, kiedy w wózku inwalidzkim wywożono go z domu.

– Ludzie gapią się na mnie! – skarżył się swojej licznej, wielopokoleniowej kochającej rodzinie, która nieustannie go otaczała i wspierała. I zawsze, gdy to mówił, na nowo łamał im serca.

Owen urodził się 25 sierpnia 2005 roku w szpitalu w Dundee. Tata chłopca Will i jego mama Kim służyli w brytyjskich siłach powietrznych i stacjonowali w pobliskiej bazie RAF-u, Leuchars. Spotkali się na szkoleniu w październiku 2002 roku, kiedy Kim miała dziewiętnaście lat, a Will dwadzieścia cztery. Dwa lata później, pewnego zimnego styczniowego dnia wzięli ślub w Devon, niedaleko miejsca zamieszkania rodziców panny młodej. Do dziś wspominają to bardzo szczęśliwe wydarzenie.

Kiedy się poznali, starszy szeregowy Will Howkins, specjalista od systemów napędu, odbył już służbę w Kosowie i Chorwacji i właśnie po raz pierwszy wybierał się do Iraku. Natomiast jego przyszłą żonę Kim, technika uzbrojenia w stopniu szeregowca sił powietrznych, wkrótce również czekała podobna misja. Pomimo tak intensywnego, czasem wręcz niebezpiecznego trybu życia młodej pary wieść o zbliżających się narodzinach została przez wszystkich przyjęta z wielką radością. Owen miał być pierwszym wnukiem zarówno rodziców Kim, jak i Willa, którzy także mieszkali w południowej Anglii. Kiedy Kim stwierdziła, że jest w ciąży, oboje z Willem niemal natychmiast zaczęli planować przeprowadzkę w tamte strony, żeby korzystać z pomocy obydwu rodzin. Serdecznie pragnęli dziecka, ale praca, którą

wykonywali, mogła na całe miesiące rzucić ich w drugi koniec świata, więc wiedzieli, że niemal na pewno będzie im potrzebne wsparcie.

Poród przebiegł normalnie i zdaniem wszystkich Owen był idealnie zdrowym niemowlęciem. Kim zauważyła tylko, że maluch ma odrobinę skręcony czubek jednego uszka – szczegół, na jaki większość ludzi w ogóle nie zwróciłaby uwagi (później Howkinsowie dowiedzieli się, że to objaw charakterystyczny dla choroby, która ostatecznie została rozpoznana u ich synka).

Will natychmiast polubił rolę ojca i wziął sprawy w swoje ręce. Kim mówi, że od samego początku był doskonałym tatą i opisuje go jako „bardzo nowoczesnego mężczyznę”, któremu nie można niczego zarzucić. Kiedy cierpiała na depresję poporodową, mąż od razu zaangażował się w pomoc i zwykle to on wstawiał po nocach, żeby nakarmić i przewinąć dziecko. Potem, gdy po czterech miesiącach Kim wróciła do pracy, dzielili się opieką nad Owenem, gdy chłopczyk nie był w żłobku. Mniej więcej pół roku po narodzinach syna Howkinsowie zostali oddelegowani do bazy RAF Odiham w Hampshire.

Z początku dobrze sobie radzili, zwłaszcza że ich maleństwo dużo spało: co noc dziesięć godzin jednym ciągiem plus drzemki w dzień. Sądzieli, że po prostu mają szczęście. Z pomocą rodziców – Sary i Hugh Knottów oraz Joan i Billa Howkinsów – stworzyli zżyłą i spójną rodzinę.

Wszystkie wczesne fotografie Owena ukazują szczęśliwego pulchnego dzidziusia. Pielęgniarka środowiskowa zapewniała, że z dzieckiem jest wszystko w porządku, ale w miarę upływu czasu Will i Kim zaczęli się zastanawiać, czy ich synek rzeczywiście rośnie zdrowo. Owen ciągle się zaziębiał, szybko się przegrzewał i pocił. Wkrótce zaczął często kasłać, a potem wymiotować w nocy. Młodzi rodzice starali się tym nie zamartwiać.

W 2006 roku Willa wysłano do Iraku, a jego żona została w Odiham, gdzie musiała godzić stresujące obowiązki matki ze swoją wymagającą pracą zbrojmistrza. Na szczęście ich trójkę otaczała zdumiewająca sieć wsparcia ze strony rodziny i przyjaciół. Kim zawsze mogła liczyć na pomoc bliskich w opiece nad dzieckiem.

Jednak zanim Owen skończył półtora roku, było już jasne, że nie rozwija się całkiem prawidłowo. Dziadkowie z obu stron zwrócili uwagę, że późno zaczął raczkować, a raczej pełzać jak żółw, takie to było mozolne. Kuzynka Owena Molly urodziła się rok po nim, a wydawało się, jakby była od niego starsza. Przyjaciele i rodzina zaczęli się

niepokoić. Zresztą nie tylko oni.

Will i Kim zauważyli, że ich synek raczej ciągnie po ziemi ciało, niż raczkuje. Poza tym zbyt szybko przestawał być niemowlęco pulchny i zbyt długo nie korzystał z toalety. Zabrali go do doktora, ten dokładnie chłopca przebadał i wyczuł, że maluch ma napięty brzusek, co – jak przypuszczał – oznaczało, że dziecko męczą zaparcia. Przepisał jakiś środek, ale lekarstwo w ogóle nie pomogło i Owen nadal tracił na wadze.

W marcu 2007 roku Kim została wysłana na cztery miesiące do Kataru, a Will miał sam zajmować się malcem i pracować na pełny etat. To nie były łatwe dni.

Chcąc dać synowi chwilę wytchnienia, Joan i Bill zabrali wnuka na weekend do siebie. Jednak kiedy Will pojawił się po dziecko, poprosili go, żeby usiadł i ich wysłuchał. Chociaż bardzo nie chcieli być postrzegani jako tacy dziadkowie, którzy się wtrącają, to jednak musieli powiedzieć, że ich zdaniem należy zasięgnąć rady specjalisty. Byli mocno zaniepokojeni tym, że chłopiec bardzo wolno raczkuje. Zauważyli też, że jego ruchy są sztywne, niemal mechaniczne. Wydawało się, jakby nie mógł zgiąć kolan.

Bill Howkins, dawny komendant straży pożarnej, pracujący na emeryturze jako doradca od spraw ochrony przeciwpożarowej, z największym trudem poruszył tę sprawę. Owen nazywał go swoim dziadziem „Nee-Nah” z powodu dźwięku, który wydaje syrena wozu strażackiego. Bill kochał to dziecko z całego serca. Zarówno on, jak i jego żona Joan, wykwalifikowana pielęgniarka, nie chcieli się wyrwać z jakimiś niepotrzebnymi obawami, ale niemal od początku narastał w nich lęk, że z ich wnukiem coś jest poważnie nie tak. Przychodziło im do głowy wszystko, od autyzmu po białaczkę, a Joan podejrzewała również, że malec ledwo widzi. Nie wiedzieli, czy to problem natury fizycznej, psychicznej czy umysłowej, kiedy chłopczyk reagował nadmiernym zdenerwowaniem, gdy opuszczali wers w jego ulubionych wierszykach albo wyjmowali zabawkę z idealnego szeregu, który ułożył. Zamiast tryskać zdrowiem, był słaby, blady i nie mógł pozbyć się paskudnego kaszlu. Bill i Joan należeli do ostatnich osób, które by zapomniały, że to Will i Kim są rodzicami Owena, a nie oni. W żadnym też razie nie krytykowali syna. Jednak czuli, że już najwyższa pora, by coś w tej sprawie zrobić – tak to tłumaczyli, zapewniając, że tylko chcą pomóc.

Mniej więcej w tym samym czasie rodzice Kim również zaczęli wyrażać swoje zaniepokojenie. Niewiele wcześniej wrócili z dwutygodniowych wakacji w Portugalii,



na które zabrali wnuka. Podczas wyjazdu zauważyli, że mały często płacze i ciągle się poci. Kąpiąc Owena, Sara zwróciła uwagę, że chłopiec ma niezwykle wyraźnie zaznaczone mięśnie. Napięte bicepsy i mięśnie brzucha, jak u jakiegoś miniaturowego kulturysty, opisywała. To nie było normalne. A poza tym wiedziała, że w tym wieku dziecko powinno już chodzić. Knottowie robili, co tylko mogli, próbując ośmielić wnuka do stawiania pierwszych samodzielnych kroków. Mieli nadzieję, że mały zrobi Kim i Willowi wspianą niespodziankę, kiedy spotkają się na lotnisku. Ale dziecko po prostu sobie nie radziło.

Will bardzo liczył się z opiniami rodziców i teściów. Zawsze powtarzał, że jeśli mają jakąś radę dotyczącą wychowania dziecka, on i Kim przynajmniej jej wysłuchają. Jednak chociaż w głębi ducha też już zaczynał się niepokoić opóźnionym rozwojem synka, w najmniejszym stopniu nie był przygotowany na to, co mu zasugerowano. Dlatego obawy rodziców wytrąciły go z równowagi.

– To było nasze pierwsze i jedyne dziecko, więc Kim i mnie Owen nadal wydawał się idealny pod każdym względem – opowiadał. – Chyba obydwójce nie przyjmowaliśmy prawdy do wiadomości.

Przez tydzień Will odsuwał od siebie to, co powiedzieli mu rodzice. Próbował utwierdzać się w przekonaniu, że nie dzieje się nic złego, ale podświadomie zauważał coraz więcej rzeczy, których jego synek nie może robić. I zaczynał być przerażony wynikami swoich obserwacji. Najbardziej rzucało się w oczy to, że Owen w ogóle nie potrafi chodzić bez pomocy. Jako podpórek używał małych plastikowych kijów do golfa. Will zabrał mu je – próbował skłonić malca, żeby ruszył samodzielnie, ale nic z tego nie wyszło.

Pod nieobecność żony, która nadal pracowała na drugim końcu świata, Will Howkins poprosił pielęgniarkę środowiskową, żeby po raz kolejny oceniła stan Owena. Pielęgniarka zmierzyła, zważyła chłopca, naniosiła wyniki na siatkę centylową, ale koniec końców skierowała go do Basingstoke and North Hampshire Hospital.

Kim wolno było rozmawiać przez telefon tylko raz w tygodniu przez dwadzieścia cztery minuty, więc gdy znów się skontaktowali Will wykorzystał cały ten krótki czas, próbując wyjaśnić żonie, co się dzieje. Przeraziła się tak samo jak on. Pod wieloma względami dla niej to było jeszcze gorsze, bo znajdowała się daleko od domu. Dopiero później wyznała Willowi, że potajemnie przypuszczała, że Owen cierpi na autyzm. Zauważyła, jak synek metodycznie odnosi się do najmniejszych szczegółów i jak lubi

układać wszystko w rzędzie – nawet winogrona, zanim je zje. Przy tym był bardzo bystry, dobrze sobie radził z układankami i zabawkami edukacyjnymi.

W miarę jak upływały tygodnie i miesiące, ciało malca stawało się coraz bardziej napięte, a buzię miał tak wychudzoną, że ludzie zaczęli się na niego gapić. Za każdym razem, kiedy rodzina zabierała Owena na basen, ubierali chłopca w koszulkę, żeby nikt nie zauważył, na ile różni się wyglądem od innych dzieci. Również jego głos był wyższy niż normalnie. Coraz bardziej rzucało się w oczy, że coś jest nie w porządku.

Próbując rozpoznać problem, lekarze pilnie wykonywali różne badania. Z początku wspominali, że to może być miotonia wrodzona. Tak zwana choroba Thomsena charakteryzuje się nadmierną reakcją mięśni, które po skurczu nie mogą się rozluźnić, co powoduje swojego rodzaju zacisk, jaki obserwowano u chłopca. W wielu takich przypadkach pomaga rozgrzewanie mięśni i pacjenci często nie potrzebują już dalszego leczenia. Jednak u Owena ta metoda nie działała. Skonsternowani lekarze w końcu skierowali rodzinę do Wessex Clinical Genetics Service przy szpitalu ogólnym w Southampton, który blisko współpracuje z genetykami z Southampton University.

Ponieważ Kim nadal była nieobecna i gdzieś na końcu świata ze zmartwienia odchodziła od zmysłów, na pierwszą ważną wizytę w klinice z Willem i Owenem pojechali starsi państwo Howkinsowie, żeby wspierać syna. Już gdy weszli do gabinetu i zobaczyli sześciu lekarzy, uświadomili sobie, że sprawa musi być poważna. Wiedzieli, że zwoływanie konsylium nie jest zwykłą praktyką w publicznej służbie zdrowia. Widok posępnych twarzy specjalistów jeszcze dodatkowo wzmógł ich niepokój.

Ordynator, doktor Neil Thomas, zanotował coś na kartce i powiedział im, że jego zdaniem malec może cierpieć właśnie na to. Nazwa, którą napisał, brzmiała: zespół Schwartza-Jampela. Właśnie wtedy rodzina Owena usłyszała o tej chorobie po raz pierwszy.

W trakcie swojej kariery zawodowej doktor Thomas – neurolog dziecięcy, specjalista od chorób nerwowo-mięśniowych – widział ponad pięć tysięcy pacjentów, ale nigdy przedtem ani on, ani żaden z jego kolegów nie zetknął się z pacjentem z zespołem Schwartza-Jampela. Choroba ta została wykryta dopiero w 1962 roku i doktor Thomas sądził, że Owen jest pierwszym chorym z tym zespołem w Wielkiej Brytanii (dotychczas znanych było mniej niż stu na całym świecie).

Wyjaśnił Howkinsom, że dziecko wykazuje oznaki miotonii. Polega to na tym, że mięśnie naprężają się, a potem nie rozluźniają. To trochę tak, jakby ucisnąć komuś dłoń i nie móc jej puścić. Z powodu nieustannego skurczu mięśnie stają się stopniowo coraz sztywniejsze, bardziej napięte i ciągle naciskają na szkielet. Przez ten nacisk kości nie mogą się prawidłowo rozwijać i powstają cechy charakterystyczne dla tej choroby, między innymi drobna postura i „kurza klatka piersiowa”, która może zakłócać ruch żeber w górę i w dół przy oddychaniu. Osoby z zespołem Schwartz-Jampela mają również specyficzny wygląd: sztywniejące mięśnie ściągają im rysy twarzy, nie pozwalają szeroko otworzyć oczu i ściskają wargi. Zawinięte do środka ucho może być kolejnym wczesnym wskaźnikiem. Wielu chorych ma pogorszony wzrok, szczególne problemy z zębami i wyższy niż normalnie tembr głosu.

Howkinsowie zostali też powiadomieni, że są dwa główne typy tej choroby, z czego 1B jest o wiele gorszy i zwykle objawia się od samego urodzenia. W tym przypadku pacjenci dożywają zazwyczaj tylko piętnastu–siedemnastu lat. Ponieważ Owen nie miał widocznych symptomów do osiemnastego miesiąca życia, doktor Thomas był niemal całkowicie pewien, że chłopczyk cierpi na typ 1A, co oznacza, że powinien móc prowadzić stosunkowo normalne życie.

Trudność polega na tym, że zespół Schwartz-Jampela dotyka ludzi w najróżniejszy sposób, więc nie ma jednego wzorca albo klasycznego przypadku, według którego dałoby się oceniać nowych pacjentów. Podobnie jak u innych chorych z tym zespołem, u Owena zdiagnozowano mutację w genie o nazwie perlekan, jednak przebieg choroby zależy od tego, gdzie zajdzie mutacja w genie i co z tym genem robi.

Obecnie na całym świecie – w tak odległych miejscach, jak Nepal, Arabia Saudyjska, Stany Zjednoczone i Europa – znanych jest około trzydziestu osób, które żyją z zespołem Schwartz-Jampela. U wielu z nich ostatecznie i oficjalnie zdiagnozowano tę chorobę, dopiero gdy mieli po kilkanaście lat albo nawet więcej. Niemal wszyscy, żeby móc funkcjonować, muszą być na silnych lekach zmiotczających mięśnie.

Wiadomość, że Owen cierpi na rzadką chorobę genetyczną, była dla Willa i jego rodziców szokiem. Z trudem przyswajali te wszystkie informacje. Słuchanie tego, co lekarze mieli im do powiedzenia, było bardzo trudne i budziło skrajne emocje. Podczas tej pierwszej wizyty padło znacznie więcej pytań niż odpowiedzi. Howkinsowie chcieli przede wszystkim wiedzieć, jak według wszelkiego prawdopodobieństwa

choroba będzie oddziaływać na Owena i jakie są przypuszczalne długoterminowe rokowania.

Jak wyjaśnili lekarze, chłopiec niemal na pewno będzie potrzebował częstej fizjoterapii, żeby łagodzić nacisk skurczonych mięśni na szkielet. Istniała również ewentualność, że będzie musiał nosić szyny, aby rozciągać mięśnie nóg, a kiedy podrośnie, może czekać go cała seria operacji. Istniało też ryzyko, że późniejsze lata swojego życia Owen spędzi przykuty do wózka.

Zanim diagnoza mogła zostać oficjalnie potwierdzona, należało wykonać jeszcze więcej badań. Owen przeszedł ich mnóstwo, od pobierania krwi po prześwietlenia rentgenowskie, elektromiografię i ultrasonografię. Kolejna wizyta u doktora Thomasa została wyznaczona na następny miesiąc.

Cała rodzina była zdruzgotana wiadomością, którą otrzymali tamtego dnia. Konsekwencje tak poważnej choroby małego Owena budziły przerażenie. Kim nadal przebywała w Katarze i wszyscy bardzo się starali na odległość podtrzymywać ją na duchu. Przez kilka pierwszych dni po tym, jak jej synkowi postawiono diagnozę, popadła w takie przygnębienie, że nawet nie mogła z nikim rozmawiać. Później Will opowiadał o tym trudnym okresie.

– Tkwiała na drugim końcu świata, tęskniąc za Owenem i za mną, więc i tak było jej nielekkko. Sprawdziła w Google'ach informacje o zespole Schwartz-Jampela, i to pewnie była najgorsza rzecz, jaką mogła zrobić, bo przeczytała, że przy tej chorobie przewidywana długość życia wynosi często zaledwie dwanaście lat. Kim wpadła w kompletny popłoch. Z daleka czuła się taka bezradna. Płakała do słuchawki, przekonana, że życie Owena będzie trwało zbyt krótko. Królewskie Siły Powietrzne zachowały się wspaniale. Dostała długoterminowe karty telefoniczne, więc rozmawialiśmy o naszej sytuacji, ale nic nie mogliśmy zrobić. Pozostawało tylko czekać.

Kiedy Kim przyleciała do domu na urlop, małżonkowie chcieli wspólnie odwiedzić doktora Thomasa, więc Will zadzwonił do jego gabinetu i zaproponował, że zapłaci za prywatną wizytę. Lekarz wszystko rzucił i umówił się z nimi na następny dzień. To wtedy powiedział im, że teraz ma już niemal stuprocentową pewność, że ich synek cierpi na zespół Schwartz-Jampela, i potwierdził, że nie są znane przypadki wyzdrowienia. Doktor Thomas i jego współpracownicy mogli jedynie przepisywać dziecku lekarstwa, żeby próbować zmniejszyć sztywność mięśni. Zespół Schwartz-

Jampela, jak wyjaśnił Howkinsom, występuje tylko wtedy, gdy dobiórą się wadliwe chromosomy u obojga rodziców. Chociaż w żadnej z obu rodzin nie było poważnych problemów ze zdrowiem, każdy człowiek ma kilka zmutowanych genów, a u Willa i Kim zdarzyło się tak, że obydwójce mają wadliwy dziesiąty chromosom. Wyjątkowo rzadko się zdarza, żeby para miała te same wadliwe geny.

– Nic o tym nie wiedzieliśmy, kiedy staraliśmy się o dziecko, ale to było tak, jakby się zeszły „Titanic” z górą lodową – mówił Will. – Prawdopodobieństwo, że dobierze się dwoje ludzi z dokładnie tymi samymi wadliwymi genami wynosiło jeden do dwóch milionów i mniej więcej jeden do czterech miliardów, że urodzi nam się dziecko z tym zespołem.

Lekarz powiedział Willowi i Kim, że tylko w jeden sposób można zyskać absolutną pewność, czy Owen faktycznie cierpi na zespół Schwartz-Jampela: należało pobrać małeńki skrawek skóry – wielkości ziarnka ryżu – i posłać go do specjalistycznych laboratoriów we Francji. Analizy i porównywanie wszystkich chromosomów i genów z próbek ich krwi oraz z próbki pobranej od Owena, dla uzyskania ostatecznej diagnozy, mogły zająć nawet pół roku.

Will brał udział w szkoleniu, kiedy Kim ze swoimi rodzicami i siostrą Kate zawiozła Owena na pobranie wycinka skóry i badanie nerwów za pomocą elektrod. To było, jak potem opowiadali, potworne przeżycie. Owen zawsze powtarzał, że jego najlepszym przyjacielem jest dziadek Hugh (którego nazywał „Whoop-Whoop” ze względu na jego pracę w policji), ale tamtego dnia nie było mowy o przyjaźni. Hugh Knott, który swego czasu służył w brytyjskiej piechocie morskiej, przytrzymał krzyczącego wnuka, żeby mały się nie ruszał. Kim była tak rozstrojona, że niemal fizycznie się pochorowała i musiała wyjść z gabinetu.

Perspektywa zmagania się przez całe życie z tą rzadką chorobą wstrząsnęła młodymi Howkinsami, choć każde z nich inaczej musiało sobie z tym radzić. Obydwójce byli zdruzgotani, że na przypadek Owena nie ma lekarstwa i że ich dziecko czekają lata bólu. Kim znów wyjechała służbowo do Kataru, natomiast Will, który został w domu, towarzyszył synkowi przy niemal każdej wizycie lekarskiej, więc okoliczności bardziej mu pozwalały przywyknąć do tej myśli. Jednak przygnębiony oczekiwaniem na wyniki badań z Francji, przeszukał różne strony internetowe i poprosił o skierowanie do londyńskiego szpitala dziecięcego Great Ormond Street Hospital po drugą opinię. Tym razem jako wsparcie pojechali rodzice Kim i ciocia Laura.

Jak wiele innych osób, Will uważał, że Great Ormond Street Hospital jest najwybitniejszą tego typu placówką, i rozpaczliwie chciał uzyskać poradę od tamtejszych specjalistów. Rodzina czekała godzinami, gdy Owen przechodził całą serię badań. W końcu lekarze zapytali, kto do tej pory sprawował nad chłopcem opiekę medyczną. Kiedy Will powiedział im, że dziecko jest pacjentem doktora Thomasa z Southampton Hospital, szczerze się zdziwili.

– To co wy tutaj robicie? Przecież doktor Thomas jest najlepszym specjalistą w kraju!

Tak więc Will musiał wrócić do Southampton z podkulonym ogonem, ale oczywiście doktor Thomas rozumiał, że ojciec po prostu próbuje za wszelką cenę ratować swojego synka.

Kiedy Kim przyleciała z misji, kupili chodzik i na zachętę ozdobili go na zielono, bo to kolor ulubieńca Owena – bohatera kreskówki, Bena 10. Przyczepili też światełka i nalepili naklejki, ale chłopiec odnosił się do chodzika wyjątkowo niechętnie, podobnie jak do prób samodzielnego chodzenia.

Potem małżonkowie zamienili się rolami, bo Will został wysłany na trzy miesiące do Iraku. Tak więc to Kim pojechała z Owenem do Southampton Hospital po ostateczne wyniki badań.

– Kiedy diagnoza została potwierdzona, załamalam się – opowiadała. – To wydawało się zbyt okrutne. Pamiętam, jak wypłakiwałam się mamie, że Owen nigdy nie będzie chlapał kaloszami w kałużach, nigdy po wspólnym niedzielnym obiedzie nie pójdzie z tatą grać w piłkę w ogrodzie.

Will odczuwał to bardzo podobnie.

– Człowiek chce widzieć, jak jego dziecko biega po parku. Chce pokopać piłkę ze swoim synem. Właśnie wtedy dotarło do mnie z całą mocą, że to się nigdy nie wydarzy.

Głęboko wstrząśnięta, Kim wpadła w stan skrajnego przygnębienia, więc zapisała się do psychoterapeutki, a ta zaleciła, żeby Will po powrocie z Iraku też porozmawiał ze specjalistą. Później Howkins opowiadał, że z początku poszedł tylko po to, żeby się upewnić, że nie popada w obłęd. Jednak terapia naprawdę podziałała. Uświadomił sobie, że to, co czuje, jest normalne. Nie popadł w depresję, ale przechodził proces „gruntownego przystosowania się do zmiany trybu życia”. Psychoterapeutka pomogła mu również dostrzec coś pozytywnego: istnieją dwa typy zespołu Schwartza-Jampela; Owen ma ten łagodniejszy.

Kiedy służba w Iraku dobiegła końca, Will starał się koncentrować na pozytywach, co nie zawsze przychodziło łatwo, zwłaszcza że malec zaczął często się przewracać. Kiepsko się poruszał, miał zaburzoną równowagę, a mięśnie coraz bardziej napięte. Ponieważ nigdy się nie rozluźniały, w zasadzie nie mógł wyciągnąć rąk i się osłonić przy upadku. Dlatego często odnosił różne obrażenia. Pewnego razu w restauracji ześlizgnął się z ławki i rozciął sobie głowę. Wszędzie było pełno krwi i Kim musiała wezwać karetkę. Podobny wypadek przydarzył się w przedszkolu, a przez springer spaniela dziadków nabił sobie śliwę pod okiem, bo pies niechcący wbiegł mu pod nogi.

– Kiedy Owen upada, leci jak kłoda – tłumaczyła Kim – bo nie może się skulić, żeby sobie pomóc, chociaż mój tata próbował go nauczyć robić przewrotki jak komandosi.

Wszyscy stale musieli być czujni. Kim miała ogromną chęć rozpieszczać Owena, ale zarówno ona, jak i inni członkowie rodziny starali się tego unikać, mimo że czasem wiele ich to kosztowało.

– Ludzie często mi mówią: „Mogło być gorzej”, a ja im odpowiadam: „Tak, do cholery, ale też mogło być o całe niebo lepiej!” Nie jest łatwo mieć niepełnosprawne dziecko.

Ponieważ zespół Schwartza-Jampela występuje bardzo rzadko, nie istnieje kuracja specjalnie dostosowana do łagodzenia jego licznych skutków. Środki przeciw konwulsjom, stosowane w przypadku epilepsji i innych chorób, to zwykle jedyne, co lekarz może przepisać.

Z początku, po potwierdzeniu diagnozy, Owen był jeszcze w stanie gramolić się w górę i na dół po schodach, czy manewrować swoim samochodem-zabawką, którym jeździł na dworze. To się zmieniło, kiedy dostał silny środek zwiotczający mięśnie. Później Will odkrył, że skutki uboczne tego konkretnie leku to między innymi: senność, zaparcia i uszkodzenie wzroku. Może również występować utrata równowagi.

– Owena bolało, płakał, jęczał, sztywniały mu mięśnie. Lekarstwo zmniejszyło ból, więc nie mieliśmy wyboru; musieliśmy je stosować, chociaż obawiałem się, że jednocześnie robimy mu krzywdę. Znaleźliśmy się między młotem a kowadłem.

Owen regularnie był poddawany fizjoterapii i brał udział w terapii zajęciowej (tylko częściowo finansowanymi z budżetu państwa). Poruszał się z pomocą specjalnego balkonika. W tym początkowym okresie potrafił iść pod górę do przedszkola i wracać

pieszo. W drodze powrotnej podnosił nogi i zwoził się z pagórka na dół. Potem rodzice kupili składane krzeselko na kółkach, które ułatwiało chłopcu życie w domu. Jednak w przedszkolu, na placu zabaw malec usiłował nadążyć za innymi dziećmi – biegał na palcach ze swoim balkonikiem. Will sądzi, że połączenie leku z pozycją na palcach przyczyniło się do większego zaburzenia równowagi i skrócenia mięśni łydek. Potem, żeby je rozciągać, musieli Owenowi zakładać do spania szyny na stopy i łydki. A to była nowość niemile widziana.

Pełnoetatowa opieka nad Owenem i rozstania na całe miesiące nieuchronnie prowadziły do tego, że małżeństwo Willa i Kim zaczęło się psuć. Dlatego w końcu para poszukała pomocy psychologa.

– Obydwoje dostrzegaliśmy, że mamy w naszym związku problemy, i próbowaliśmy je rozwiązać – opowiadał Will. – Żadne z nas nie jest typem człowieka, który łatwo się poddaje, a ja pochodzę z rodziny o silnie zakorzenionych wartościach chrześcijańskich. Zawsze mnie uczono, że trzeba pracować nad tym, żeby ciągle być razem.

W 2008 roku Kim została wysłana na misję do Afganistanu i Will zajmował się ich synem. Do pracy chodził na dzienną zmianę, w tym czasie Owen był w przedszkolu albo pod opieką kogoś z rodziny. Para miała dużo problemów; między nimi nie układało się dobrze. Oddalali się od siebie coraz bardziej. W ich życiu nie było nikogo innego i żadne z nich nigdy nie myślało, że małżeństwo skończy się rozwodem, ale podczas wielu długich telefonicznych rozmów ostatecznie uznali, że będzie lepiej, jak się rozstaną. Chociaż ta decyzja ich załamała, musieli jeszcze postanowić, co w tej sytuacji będzie najlepsze dla Owena.

Myśl, że mógłby nie mieszkać przez cały czas ze swoim dzieckiem, wstrząsnęła Willem najbardziej. Od samego początku to głównie on wstawał w nocy do synka. Pozwolił żonie spokojnie odzyskać siły po porodzie i wyjść z poporodowej depresji, a kiedy już dobrze się czuła i wróciła do pracy, nadal karmił małego i się nim opiekował.

– Kim jest fantastyczną mamą, więc nawet nie przyszło mi do głowy, że to mnie może zostać przyznana opieka. Panuje opinia, że po rozwodzie zawsze matki dostają dzieci – opowiadał. – Ale potem rozmawiałem z prawnikiem, który stwierdził, że niekoniecznie tak musi być. Zwłaszcza że to głównie ja opiekowałem się Owenem. Doradzono mi, żebym nie wyprowadzał się z domu, tylko przeniósł do pokoju gościnnego i w razie czego niech sąd decyduje.



Kiedy Kim wróciła z Afganistanu tuż przed Bożym Narodzeniem 2008 roku, Will postawił sprawę jasno, powiedział, że ma takie same prawa do syna jak ona. Kim zamurowała. Zakładała, że Will po prostu opuści należący do RAF-u dom, w którym wspólnie mieszkali, i na tym koniec. Zaszokowana jego słowami, przepłakała całą noc. Czuła, że nie może być z mężem pod jednym dachem, dlatego następnego ranka wyczerpana spakowała swoje rzeczy i odeszła.

Obydwoje zdawali sobie sprawę, że przenoszenie Owena z jednego domu, jaki zna od zawsze, w ogóle nie wchodzi w grę.

Kim wyjaśniała:

– Kiedy się rozstaliśmy, trochę mi odbiło. To był dla mnie straszny szok. Myślałam, że skoro jestem mamą Owena, to mnie przyznają opiekę nad nim. Ale jednocześnie wiedziałam, że Will jest wspaniałym ojcem, pod wieloma względami lepiej wychowuje dziecko niż ja.

Nie wiedziała, jakie jest najlepsze wyjście ani czy poradziłaby sobie jako dwudziestosześcioletnia samotna matka niepełnosprawnego dziecka, pracująca na pełny etat. Choć jej rodzice i siostra odgrywali ogromną rolę w życiu Owena i zawsze pomagali się nim opiekować, Kim zdawała sobie sprawę, ile obowiązków spadłoby na jej głowę. Po ukończeniu kursu z zakresu doradztwa dostała awans i zaproponowano jej oddelegowanie do Oksfordu.

Wtedy podjęła decyzję, że zrobi to, co najlepsze dla chłopca.

– Nie uciekałam – mówiła. – Miałam mieszkać tylko czterdzieści pięć kilometrów dalej i widywać go przez cały czas, ale wydawało się, jakby to było całkowite zerwanie. Nigdy w życiu nie musiałam podjąć trudniejszej decyzji i zawsze czułam, że ludzie mnie za nią osądzają. A jednak w tamtym momencie czułam, że będzie lepiej, jak ustąpię i pozwolę Willowi zaopiekować się naszym synem.

Will i jego bliscy mają dla Kim wyłącznie słowa pochwały.

– Zdobyła się na największe poświęcenie, na jakie może zdobyć się matka – powiedział Will. – Kocha Owena i nadal pełni ogromną i niezwykle ważną rolę w jego życiu, zresztą tak jak cała jej rodzina, ale uświadomiła sobie, że będzie lepiej, jeśli Owen zostanie ze mną.

Dzięki organizacji samopomocowej para osobiście przygotowała ustalenia rozwodowe, żeby zaoszczędzić sobie czasu, pieniędzy i bólu<sup>[6]</sup>. W lutym 2009 roku Kim zaakceptowała wszystko i zgodziła się, żeby były mąż został głównym opiekunem

ich syna.

Chociaż uzyskał to, czego chciał, minęło jeszcze trochę czasu, zanim dopadła go rzeczywistość, a wtedy wszelkie perspektywy zaczęły wyglądać dość beznadziejnie. Will liczył, że dostanie awans, miał też szansę na wymarzoną pracę. Jednak po tygodniach starań i borykania się z kolejnymi wyzwaniami, rzucił to wszystko i odpuścił sobie dalszą karierę, żeby całkowicie poświęcić się Owenowi – być dla niego najlepszym ojcem, jakim potrafi. Teraz przyznaje, że zdarzyła się chwila, gdy pomyślał: Cholera, w co ja się wpakowałem? A kiedy poszedł na rozmowę z oficerem do spraw rekrutacji, aby poinformować go o swoim położeniu, usłyszał: „Niech ona się zajmie!” Starszy oficer najpierw przekonywał, że Howkins popełnia głupstwo, ale w końcu przyznał, że potrafi zrozumieć jego racje.

Na domiar złego, kiedy sprawa rozwodowa jeszcze trwała, Will dostał przydział na cztery miesiące do Afganistanu, a Kim dowiedziała się, że wkrótce wyślą ją do Kenii na dwa miesiące ćwiczeń. Mimo to zaproponowała, że przeprowadzi się tymczasowo do dawnego domu i – przy wsparciu dziadków z obydwu stron – będzie zajmować się Owenem, dopóki Will nie wróci, a ona z kolei nie wyjedzie. Jej siostra Katie też zadeklarowała pomoc, a mniej więcej w tym samym czasie rodzice przeprowadzili się z dwupiętrowego szeregowca w Devonshire do parterowego wolno stojącego domu z podjazdem, więc Owen mógł również u nich mieszkać. Knottowie i Kim zaczęli organizować różne akcje charytatywne – m.in. półmaraton, loterię, sprzedaż pasztecików i babeczek – żeby zgromadzić 8,5 tysiąca funtów na nowy wózek inwalidzki Zippie dla Owena. Royal Marines zebrali 400 funtów do puszek na ulicy i na organizowanych przez siebie imprezach.

Rodzice Owena nigdy nie zapomną, jak bliscy i przyjaciele przyszli im wtedy z pomocą – zresztą tak jak zawsze. Cokolwiek wydarzyło się między Willem a Kim, wszyscy nadal troszczyli się o dziecko.

O tym, że sąd wydał już prawomocne orzeczenie w sprawie rozwodu, przyszły starszy kapral Howkins usłyszał, gdy oczekiwał na wylot z bazy RAF Brize Norton w Oksfordshire. Miał wtedy więcej pilnych problemów na głowie, więc powiadomił swojego prawnika, że papiery muszą poczekać.

Opuszczając Wielką Brytanię w służbie królowej i kraju, przypięty pasami w brzuchu transportowego Herculesa C-130, Will zastanawiał się, jaką przyszłość jemu i jego synkowi przyniesie los. Mógł mieć tylko nadzieję na lepszy obrót spraw.

Ale nigdy by nie przypuszczał, co ich wkrótce czeka.

## Rozdział 3

*Miłość jest jak motyl. Im bardziej za nim gonisz, tym bardziej ci się wymyka. Ale jeśli zajmiesz się czym innym, powróci i delikatnie usiądzie ci na ramieniu.*

Autor nieznany

Colleen Drummond przyznaje, że w ogóle nie zna się na nowych technologiach. Więc kiedy latem 2009 roku pełne najlepszych chęci koleżanki zamieściły jej zdjęcie i dane na portalu randkowym, wiedziały, że nie będzie umiała się z niego wypisać.

Trzydziestoosmioletnia Nowozelandka nigdy nie myślała o korzystaniu z takich stron w sieci – to ją przerażało. Uważała, że takie akcje są tylko dla desperatów. Ktoś ją oszuka, co do tego nie miała wątpliwości. Albo zwabi ją na randkę jakiś psychopata. Przyjaciółki przekonywały, że to tak samo jak poznać faceta w knajpie, ale Colleen nawet w knajpach rzadko bywała.

Jednak dziewczyny dotąd się upierały, że zbyt długo już jest sama, aż wreszcie na wybranym przez nie portalu pozwoliła założyć sobie profil. Zamieściły tam jej fotografię z agresywnie wyglądającym owczarkiem belgijskim odmiany malinois. Pies na zdjęciu był autorskim pomysłem Colleen.

– Wabiła się Alpha. Prawdziwa piękność – wyjaśniała później – ale też miała wygląd, który mówi: „Zabiję cię, jeśli skrzywdzisz moją panią”.

Następnego dnia Colleen zajrzała na swój randkowy profil i zobaczyła uśmiechniętą buźkę, czyli: „ktoś, komu się podobasz, chciałby nawiązać kontakt”. W pierwszej chwili spanikowała. Jednak okazało się, że nadawca buźki, Will, ma trzydzieści jeden lat, wychowuje syna i pracuje za granicą, więc uznała, że chodzi o mailową znajomość. Zebrała się na odwagę i też posłała mu „uśmieszek”. W ogóle nie przypuszczała, że jej wielbiciel mieszka niecałe piętnaście kilometrów dalej i nawet robią zakupy w tym samym supermarkecie.

Colleen Drummond dorastała w Hokitika, mieście położonym na Południowej Wyspie Nowej Zelandii. Pochodziła z rozbitej rodziny i rzadko kontaktowała się z

ojcem po tym, jak odszedł, gdy miała pięć lat. Jej matka Kathryn, pielęgniarka w szpitalu psychiatrycznym, ciężko pracowała, żeby utrzymać troje maluchów. Przez część dzieciństwa zajmowali się nimi dziadkowie, Sylvia i Bruce, korzystając z nieocenionej pomocy i rad ciotki Tui, wolnego ducha, kobiety, która nigdy nie wyszła za mąż, a swoje siostrzenice i siostrzeńca traktowała jak własne dzieci. Colleen jako najstarsza z rodzeństwa szybko zaczęła zajmować się całym domem. Nie miała jeszcze ośmiu lat, a już gotowała rodzinie posiłki; zanim skończyła trzynaście, pracowała u fryzjera przy myciu włosów, żeby zarobić parę groszy, a w wieku siedemnastu lat przeniosła się do Australii, bo chciała poszukać tam sobie zajęcia i podróżować. Imiała się najróżniejszych prac, od segregowania dokumentów po sprzątanie hotelowych pokoi. W połowie lat 90. przyjechała do Londynu, gdzie wynajęła mieszkanie do spółki z pewnym Nowozelandczykiem. Wkrótce dostała posadę w domu towarowym na West Endzie i szybko awansowała na kierownicze stanowisko. Jednak stęskniona za świeżym powietrzem i otwartymi przestrzeniami swojej młodości, rozpaczliwie pragnęła znaleźć jakieś zajęcie pod gołym niebem.

Zawsze kochała psy (kiedy była mała, jej matka wystawiała na pokazach bulteriery staffordy), więc latem 2000 roku zmieniła zawód i zgłosiła się do pracy z psami w Surrey.

Rozwiodła się stosunkowo wcześnie, niedługo po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, a potem wplątała się jeszcze w parę nieudanych związków. Teraz nie była z nikim już od dwóch lat. Kupiła sobie dom w Aldershot, w Hampshire, gdzie prowadziła, jak to sama ujęła, „dosyć przyjemne życie”, ale uważała, że raczej jest jej pisana samotność. Psy wydawały się Colleen o wiele bardziej lojalne niż mężczyźni i o wiele łatwiej sobie z nimi radziła. Więc kiedy ten obcy człowiek, Will, z drugiego końca świata przysłał jej uśmiechniętą buźkę, w ogóle nie oczekiwała, że to doprowadzi do czegokolwiek ponad korespondencyjną znajomość.

Jednak Will widać miał więcej zapału, bo zasugerował, żeby kupiła sobie kamerkę internetową i zainstalowała Skype'a. Szybko odkrył, że Colleen nie ma zbyt dużego pojęcia o komputerach, więc tłumaczył jej w mailach krok po kroku, co robić. Ze względu na poufny charakter miejsca, gdzie przebywał, przez kamerę mogli się tylko widzieć, a komunikować musieli się pisemnie, bo nie mógł włączyć dźwięku.

Kiedy twarz Willa pojawiła się na ekranie, Colleen była przyjemnie zaskoczona. Nowy znajomy wyglądał atrakcyjnie, a przy tym zupełnie nie przypominał mężczyzn w

jej dotychczasowym typie. To byli zawsze blondyni albo faceci z ogolonymi głowami. Uśmiechając się i machając do siebie, zaczęli gawędzić w sieci – szło im zdumiewająco dobrze.

Pierwsza myśl Willa: Podoba mi się! I naprawdę z niecierpliwością czekał na kolejne rozmowy. To doświadczenie zmieniło jego pogląd na portale randkowe. Po rozwodzie z Kim zapisał się do kilku, ale stopniowo coraz bardziej tracił złudzenia. Parę kobiet, z którymi się na tych portalach kontaktował, określił jako „koszmarne”, a jedną nazwał „Panną Kłamczuchą”, dlatego w końcu przestał sobie zawracać nimi głowę.

W dzień po tym, jak koleżanki założyły Colleen profil w sieci, Will zalogował się, żeby anulować subskrypcję. Miał jakąś wiadomość, ale ją sobie odpuścił. A potem pomyślał, że skoro już wszedł na ten portal, po raz ostatni rzuci okiem, kto tam napisał. Właśnie wtedy trafił na zdjęcie jasnowłosej Colleen z imponującym psem. Coś go w tej kobiecie zaintrygowało, wziął głęboki wdech i posłał jej uśmiechniętą buźkę. Jeśli w ciągu doby nie przyjdzie odpowiedź, postanowił, wypisze się z portalu, tak jak wcześniej planował.

Colleen miała więc wyznaczony ostateczny termin.

Przez kolejnych pięć tygodni para nadal spotykała się i rozmawiała za pomocą Skype’a. Z powodu różnicy czasu albo układu godzin pracy te kontakty dość często odbywały się w porach, które nazywali nieludzkimi. Im lepiej Colleen poznawała Willa, tym bardziej go lubiła, ale na początku wyłącznie jako znajomego. Kontaktowała się w sieci z jeszcze kilkoma innymi mężczyznami – też wyłącznie po koleżeńsku – ale o nim nie mogła przestać myśleć.

Will odbierał ich znajomość podobnie, jednak wyczuwał dystans Colleen do portali randkowych. Była podejrzliwa. Aby dowieść swojej szczerości i uczciwości, zaczął odrobinę więcej o sobie opowiadać, chociaż jeszcze ukrywał przed nią chorobę Owena.

Colleen nadal trzymała się trochę na odległość. Will był od niej młodszy i mieszkał z synkiem, a ona nie chciała takiego obciążenia. A jednak ten mężczyzna miał w sobie coś naprawdę pociągającego.

Kiedy inny internetowy znajomy zaprosił ją na randkę, wpadła w popłoch, ale przyjaciółki powiedziały, że w pewnym momencie musi podjąć ryzyko, więc niechętnie się zgodziła. Mimo to zaraz po wyjściu wysłała do jednej z nich SMS-a i

kolejnego, kiedy dotarła na miejsce, na wypadek gdyby mężczyzna towarzyszący jej przy obiedzie okazał się brutalnym mordercą. Wkraczając do restauracji na to pierwsze spotkanie, czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Randka w ciemno nie poszła dobrze. Wieczorem, po powrocie do domu, Colleen uświadomiła sobie, że pierwszą osobą, z którą chce pogadać, jest Will.

Zdumiewające, ale czuła się winna, bo chociaż codziennie się kontaktowali, nie powiedziała mu o zaproszeniu na randkę. Nigdy nie dawali sobie do zrozumienia, że będą podtrzymywać tę relację, a mimo to Colleen miała wrażenie, jakby go zdradziła.

– Był zalogowany – wspominała później. – Zapytał, gdzie się podziewałam, więc odparłam zgodnie z prawdą, a jemu wyraźnie zredła mina. Wtedy zaczęłam opisywać ze szczegółami, jaka to była katastrofa, i w miarę, jak wystukiwałam na klawiaturze swoją opowieść, widziałam, że on coraz bardziej zanosi się śmiechem. Kiedy napisałam: „Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię, przecież nie jestem twoją dziewczyną”, w głębi ducha pomyślałam: Cholera, coś do ciebie czuję!

Wtedy on wystukał: „Muszę ci coś wyznać... Naprawdę Cię lubię”.

Odpowiedziałam: „Mogłeś mi wcześniej powiedzieć!”

A on napisał: „A ty mogłaś mnie uprzedzić, że wybierasz się na randkę!”

Kilka minut po tym, gdy skończyli rozmawiać w sieci, zadzwonił telefon Colleen – na wyświetlaczu pokazał się numer z nieznanym brytyjskim kierunkowym. Odebrała ostrożnie i usłyszała, jak ktoś wytwornym tonem mówi: „Dobry wieczór, tu Will”.

Znała tylko jednego mężczyznę o tym imieniu, a on był w Afganistanie, nie w Wielkiej Brytanii. Natychmiast wyobraziła sobie, że Will to w rzeczywistości jakiś psychol, który oszukuje ją przez Internet, i że siedzi w jakiejś fałszywej afgańskiej dekoracji. Po jej niepewnym głosie rozmówca od razu domyślił się, o co chodzi, i wyjaśnił, że centrala telefoniczna przełączyła jego rozmowę z kwatery głównej. Colleen naprawdę ulżyło.

Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszeli się nawzajem. Polubili się przez Internet, teraz zaczęli jeszcze bardziej się zżywać przez telefon. Wkrótce nie mogli już się doczekać powrotu Willa do kraju.

Miał przylecieć 14 sierpnia 2009 roku. Tego samego dnia wieczorem byli umówieni na obiad w Farnham, w Surrey. Jeszcze zanim się spotkali, Will wreszcie opowiedział Colleen wszystko o rozwodzie i o niepełnosprawności syna, żeby, jak to ujął, „dać jej jeszcze szansę na ucieczkę”. Postawił sprawę jasno: szuka kogoś, z kim by się dobrze

bawił, a nie matki dla Owena. „On już ma fantastyczną mamę, którą bardzo kocha”, wyjaśnił. „Nasz związek byłby na weekendy i wieczorne wyjścia”.

Ze względu na swoją przeszłość Colleen nie wierzyła w takie zjawisko jak „dobry tata”, a już na pewno nie „dobry samotny tata”. Kiedy usłyszała, że Will podjął się opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem, „zupełnie ją zatkało”.

– Pomyślałam, że jeśli jest taki lojalny wobec chorego chłopczyka, nie mogłabym sobie wymarzyć nikogo lepszego. To nie jakiś niedzielny tatuś. To prawdziwy ojciec. Kogoś takiego szukałam przez całe życie.

W dniu, kiedy mieli się spotkać, poszła do fryzjera, po czym wyruszyła na romantyczne rendez-vous. Zabrała ze sobą swoją ulubioną bransoletkę z bohaterami książeczek Beatrix Potter<sup>[7]</sup>. Uwielbiała tę pisarkę i ze względu na owczą farmę pani Potter, żartobliwie nazywała ją „Nowozelandką na niewłaściwej półkuli”.

Ponieważ Colleen nie umiała sama sobie zapiąć bransoletki, trochę wcześniej zatrzymała się na parkingu supermarketu, gdzie była umówiona z Willem, i poprosiła o pomoc jakąś nieznaną. Starsza kobieta popatrzyła na nią jak na wariatkę i odparła, że się spieszy. Musiała jednak zauważyć rozczarowaną minę Colleen, bo przystanęła i zapytała: „Na co to pani?” A gdy usłyszała, że chodzi o randkę w ciemno i bransoletka ma przynieść szczęście, zakomenderowała: „Proszę ją tu dać!”, i pomogła zapiąć zamek.

Colleen Drummond nie wiedziała, że Will – który wrócił do Wielkiej Brytanii dopiero kilka godzin wcześniej – już zaparkował i czeka, żeby wreszcie spotkać się ze swoją sympatią. Obserwując scenę na parkingu, w pierwszej chwili pomyślał, że Colleen przyprowadziła ze sobą matkę. Jednak Dobra Samarytanka wreszcie odeszła, życząc nieznanemu powodzenia. Wtedy zatrąbił klaksonem i pomachał.

Kiedy wysiadł z samochodu, przystojny i opalony po swoim ostatnim okresie służby, Colleen zatrzymała się w pół kroku i szepnęła do siebie: „Rany! Właśnie spotkałam swojego przyszłego męża!” Natychmiast zaiskrzyło.

Obiad był uroczy. Tak się zagadali i zasiedzieli, że personel restauracji musiał ich grzecznie wyprosić, bo nadeszła pora zamykania. Kilka dni później spotkali się znowu – tak jak to oboje określili: po staroświecku – i bez pośpiechu poznawali się lepiej.

Will planował, że przedstawi Colleen swojemu synkowi, dopiero gdy się upewni, że ona naprawdę zamierza z nim się związać. Jednak dziesięć dni później mały kończył cztery lata – w dzień po jej urodzinach – i Colleen została zaproszona, żeby poznać



Owena.

Zrozumiała, że bardzo się denerwowała. Sama nigdy nie chciała być matką. W gruncie rzeczy uważała, że jej styl życia i dzieci do siebie nie pasują; że to po prostu nie dla niej. Chociaż większość przyjaciółek miała mężów i rodziny, to co przydarzyło się jej mamie, zniechęcało Colleen całkowicie.

Tamtego dnia, kiedy się po raz pierwszy spotkali, Owen siedział w swoim specjalnym fotelu z małą, puszystą poduszką i Colleen przemknęło przez myśl, że to najśłodsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziała. Postanowiła nie reagować przesadnie ani nie rzucać się na niego z czułościami, co, jak przypuszczała, mogło chłopca tylko wystraszyć. Nie chciała też wdzierać się w jego życie ani nadepnąć komukolwiek na odcisk.

– To dziecko Kim, a ona jest doskonałą matką. Nie moją rolą jest mu matkować. Mam być po prostu Colleen.

Nie miała zbyt dużego doświadczenia z dziećmi, więc – jak sama mówiła – na ogół traktowała je podobnie jak swoje psy, czyli nagradzała za dobre zachowanie.

– Więc powiedziałam do Owena: „Cześć, kolego. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mały kumplu. Mogę usiąść koło ciebie?” Skinął głową, uśmiechnął się do mnie i pozwolił, żebym go przytuliła. I tak został moim „Małym Kumplem”, stąd jego przydomek „Little B”.

Colleen bardzo chciała kupić Owenowi prezent urodzinowy, ale nie wiedziała, co by się chłopczykowi mogło spodobać. Poprosiła Willa o radę, a on odparł: „Cokolwiek z Benem 10”. Więc poszła do sklepu Toys„R”Us i zapytała o zabawki związane z Benem 10, chociaż nadal nie miała pojęcia, kto to taki (Ben 10 jest chłopcem z czarodziejskim zegarkiem, który przemienia go w kosmitę). Ostatecznie wybrała zdalnie sterowany samochód, ponieważ zamiast joysticka miał duży, okrągły pilot, jak sądziła, wygodniejszy dla Owena. W dniu urodzin Colleen wręczyła ten prezent i była zdumiona reakcją malca. Chłopiec położył paczkę na stole, po czym najpierw otworzył kartkę z życzeniami i udawał, że ją czyta (bo wtedy jeszcze nie umiał czytać). Potem rozpakował prezent, delikatnie ściągając taśmę klejącą, żeby nie porwać papieru.

– Był tak słodki, inteligentny i grzeczny, że w tamtej chwili zdobył moje serce na zawsze!

Tych dwoje od razu się zaprzyjaźniło. Will odczuł taką ulgę, że w następnym tygodniu zaprosił Colleen na „porządne rendez-vous” i w lawendowym ogrodzie Waddesdon Manor, w Buckinghamshire, wyznał jej miłość.

Colleen odwzajemniała uczucie Willa, ale para nadal się nie spieszyła. Nie chcieli działać zbyt pochopnie, bo każde z nich musiało rozważyć wiele rzeczy. Następnym razem Colleen zobaczyła się z Owenem w domu rodziców Willa. Właśnie wtedy ich poznała i natychmiast się polubili. Kiedy weszła do salonu, gdzie Little B bawił się na podłodze, powiedziała: „Dzień dobry, kolego, jak się miewasz?”

Chłopczyk podniósł główkę, wykrzyknął: „Colleeeen!”, i powłókł się wzdłuż mebli, żeby wyciągnąć do niej rękę. Później Colleen wspominała:

– W jednej chwili rozpląnęłam się jak masło.

W miarę jak ich miłość stawała się coraz głębsza, Colleen zaczęła spędzać noce w domu Willa w Odiham. Była tam, kiedy pewnego wieczoru Owen zleciał ze schodów – wszyscy śmiertelnie się przerazili. Potem zdarzyło się to znowu.

Para odkryła, że Little B nauczył się przechodzić przez krawędź łóżka i wydostawać ze swojej sypialni, bo chciał chodzić jak duży chłopiec. Kiedy dreptał do nich do pokoju, słyszeli jego rączki klepiące po ścianie, klap-klap-klap. Ale któregoś dnia spróbował zejść po schodach, żeby przygotować śniadanie niespodziankę. Nie miał wtedy jeszcze pięciu lat.

Colleen nie mogła znieść myśli o kolejnym upadku Owena. Parę dni później wystawiła swój dom na sprzedaż i zaproponowała Willowi, że wspólnie kupią bungalow. Znali się zaledwie kilka miesięcy, jednak Will wiedział, że to jest dobre rozwiązanie i Colleen ma rację.

Ponieważ bardzo chcieli, żeby malec uczestniczył we wszystkich decyzjach, które wpływały na jego życie, zabierali go ze sobą na oglądanie domów. A kiedy znaleźli ten właściwy, w Basingstoke, gdzie w końcu zamieszkali, Little B wszedł do środka i krzyknął: „Jejku! Nie ma schodów!” Bungalow wymagał sporego remontu, zanim mogli się do niego wprowadzić, ale decyzja została podjęta. Mieli być rodziną.

Chociaż Owen zaczął chodzić do szkoły i – jak się wydawało – całkiem nieźle dogaduje się z innymi dziećmi, zauważyli, że stopniowo zamyka się w sobie. Przez lata chronili go bliscy, a teraz nagle stanął twarzą w twarz z rówieśnikami, którzy byli w pełni sprawni ruchowo i rozbiegani, podczas gdy on mógł iść, tylko trzymając się ścian. Nie potrafił samodzielnie wstawać i z każdym dniem był coraz bardziej zależny

od swojego balkonika.

Często podczas długiej przerwy musiał siedzieć w klasie ze strachu, że ktoś go potrąci i przewróci. Zbyt mały, żeby ubrać to w słowa, wyraźnie zaczynał rozumieć, że są pewne rzeczy dostępne dla jego kolegów – na przykład gra w piłkę nożną – których on nigdy nie zdoła robić, i naprawdę to przeżywał. Zawsze był bystry, zabawny, dość spostrzegawczy, ale teraz zamykał się w sobie, a jego ojciec zupełnie nie wiedział, jak wydostać go z tej skorupy.

Will miał nadzieję, że jeśli Little B będzie bardziej mobilny, przestanie się czuć takim outsiderem, więc podjął trudną emocjonalnie decyzję, żeby wystąpić do lokalnej służby zdrowia o przyznanie wózka inwalidzkiego, co wydawało się już wielkim krokiem naprzód. Niestety władze orzekły, że skoro chłopiec jest w stanie od czasu do czasu chodzić (z pomocą), nie kwalifikuje się do niczego więcej niż podstawowy darmowy model – ciężki, nieporęczny i bardzo trudny do manewrowania. Jednak sam Owen ułatwił wszystkim sytuację. Okazał niezwykły entuzjazm z powodu tej, jak mówił, większej, lepszej bryki, chociaż nie mógł sam nią kierować, a poza tym okropnie trzęsła na wybojach, przyprowadzając go o bóle głowy.

Akurat gdy przywykł do tego nowego środka transportu i wreszcie znalazł w szkole kilku przyjaciół, zaczął gwałtownie rosnać, co wywołało skurcze mięśni jeszcze silniej zaostrzające rysy dziecięcej buzi. Oczy Owena coraz bardziej się zwężały, mięśnie na ciele zarysowywały jeszcze wyraźniej.

– Ludzie naprawdę zwracali na niego uwagę – powiedział Will. – Kiedy się zorientował, zaczął spuszczać głowę. Nienawidził tego i im bardziej się gapili, tym bardziej się chował.

Wkrótce Little B nie chciał już bywać w miejscach publicznych. Ilekroć Will mówił mu, że wybierają się do parku albo do sklepu, protestował. Kiedy ojciec nalegał, Owen błagał, żeby wobec tego go poniósł na rękach. Powtarzanie, że jest na to zbyt ciężki, łamało Willowi serce. Nie było rady, musieli przypinać chłopca pasami w wózku inwalidzkim i tak czy owak zabierali go na dwór, ale chłopiec tego nie cierpiał i bardzo się denerwował. Gdy tylko znaleźli się poza domem, Owen zwieszał głowę, garbił się i kulił w ramionach.

Przy różnych okazjach skarżył się Kim:

– Ludzie się na mnie gapią, a ja tego nie lubię!

Z początku próbowała go przekonać, że interesują się nim, bo jest uroczym

dzieckiem. Potem tłumaczyła, że przecież on też przyglądał się kalekim żołnierzom, których czasami widywali w bazie.

– Patrzysz na nich – mówiła – ale to wcale nie znaczy, że ci się nie podobają. Są trochę inni i to wszystko.

W końcu jednak musiała synkowi powiedzieć, że niektórzy ludzie po prostu tego nie rozumieją.

Co najmniej raz w miesiącu babcia Joan zabierała Owena do pobliskiego kościoła. Ale chociaż chłopiec lubił nabożeństwa i przyłgwał do niektórych parafian, przez większość czasu był bardzo wycofany i ukrywał twarz przed spojrzeciami, całkowicie izolując się i wznosząc barierę. Tylko jeśli ktoś próbował bezpośrednio go zagadnąć, Little B pozwalał sobie na opuszczenie gardy i odpowiadał.

Colleen również robiła, co w jej mocy, aby ośmielić swojego Małego Kumpla, ale on przestał się odzywać w miejscach publicznych i wyraźnie nie radził sobie z tym, jak inni postrzegają jego ułomność. Niektórzy ludzie, niekulturalni i gruboskórni, gapili się tak otwarcie, że Colleen czasami pytała bez ogródek: „A przypadkiem nie chcą państwo zrobić zdjęcia?”

Jednak wkrótce spadło na nią więcej przytłaczających zmartwień. Ledwie opłakała śmierć ukochanej babci Sylvii (zmarła w 2009 roku), straciła również dziadka Bruce’a. Dziadkowie, którzy przeżyli sześćdziesiąt lat w szczęśliwym małżeństwie – pobrali się jako nastolatki – przez całe dzieciństwo byli dla niej źródłem inspiracji i pokrzepienia. Ta podwójna strata załamała Colleen.

Niedługo potem jej pies Alpha zaczął się przy niej dziwnie zachowywać – trącał ją łapą i obwąchiwał. Stało się to na tyle kłopotliwe, że chociaż nie miała żadnych dolegliwości, poszła do lekarza i poprosiła o zrobienie badań. Słyszała bowiem o przypadkach, gdy psy alarmowały swoich właścicieli, wyczuwając ich zdrowotne problemy. I rzeczywiście, badania wykryły komórki przedrakowe. Colleen niemal natychmiast została zapisana na usunięcie macicy.

A kiedy po operacji potrzebowała czułości i pomocy, Will pokazał, jaki z niego urodzony opiekun. Ponieważ Colleen przez kilka tygodni miała być na zwolnieniu, zdecydowali, że to dobra pora, żeby przygarnąć psa. Will dorastał z retrieverem o imieniu Jessie i uwielbiał zapraszać zwierzęta, z którymi pracowała jego ukochana. Obydwoje mieli nadzieję, że Owenowi dobrze zrobi, jak będzie miał własnego pieska. Wybrali szczeniaczka, krzyżówkę spaniela z collie, i nazwali go Mr Pixel. Jednak

choć chłopiec pokochał Mr Pixela, nigdy nie nawiązał z nim takiej więzi, na jaką liczyli, i nadal nie chciał opuszczać domu w wózku inwalidzkim, żeby wyprowadzić pupila na spacer.

Oslabiona po operacji, jeszcze o kulach, Colleen mimo wszystko postanowiła z wdzięczności za troskliwą opiekę zabrać Willa w lipcu 2010 roku na wakacje do Szkocji. Dziadek zostawił jej trochę pieniędzy, więc zarezerwowała tygodniowy pobyt w luksusowym domku na drzewie, na terenie posiadłości Kinlochlaich Estate, koło Fort William.

Gdy tylko Will dowiedział się o wyjeździe, uznał, że to będzie doskonała okazja, żeby poprosić ukochaną o rękę. Ponieważ Colleen nie chciała mu powiedzieć, dokąd pojedą, on także postanowił zrobić jej niespodziankę. Szukając pierścienia zaręczynowego, w tajemnicy zaczął wertować strony internetowe. Ale pewnego wieczoru Colleen zauważyła, co Will ogląda na monitorze, i rozplakała się z radości.

W końcu wybrał pierścienek z różowego i białego złota z motylami, ukochanymi stworzeniami jej babci, które Colleen też zawsze bardzo lubiła. Była zachwycona, ale chciała sama go jeszcze obejrzeć, więc poszli do sklepu razem. Pierścienek okazał się idealny, a Colleen nie posiadała się ze szczęścia. Wtedy Will zaszokował ją – poprosił sprzedawczynię, żeby odłożyła dla niego ten egzemplarz, do czasu aż będzie go potrzebował. Tydzień później, w tajemnicy przed ukochaną, odebrał pierścienek i trzymał schowany, dopóki nie wyjechali.

Podczas długiej podróży do Szkocji Will miał wrażenie, że pierścienek z motylami wypala mu dziurę w kieszeni. Kiedy w sobotę, 28 lipca, znaleźli się w Fort William, już z trudem hamował napięcie. Przetrzymał jeszcze niedzielę, ale już nie mógł zebrać myśli – musiał znać odpowiedź. W poniedziałek wczesnym rankiem wywołał Colleen na dwór, na deszcz, a kiedy pytała po co, napięcie wzięło górę i warknęło: „Po prostu wyjdź, kobieto!”

Później Colleen opowiadała:

– Okres po operacji był naprawdę trudny. Miałam szwy, bolało mnie i w ogóle czułam się okropnie. A on wyciągnął mnie z domu, naćpaną lekami po uszy. Myślałam, że chce mi pokazać jakiegoś rzadkiego ptaka.

Wyszłam i patrzę, a Will klęczy na jednym kolanie. Zawołałam: „O Boże! Co się stało?”, bo myślałam, że się przewrócił. A potem zrozumiałam, co się dzieje, i zaczęłam płakać. Popatrzył na mnie z dołu i powiedział: „Wiesz, że cię bardzo kocham,

i jesteś cudowna dla Owena. Wyjdiesz za mnie?” Chwyciłam się go i zawołałam: „Jasne, tak!”

Colleen nie mogła się doczekać, żeby podzielić się z kimś radosną nowiną, więc pokuśtykała do domu właścicieli posiadłości i zastukała do drzwi. To właśnie oni dowiedzieli się pierwsi. Tymczasem jej narzeczony umieścił na Facebooku zagadkową uwagę, że widoki w Szkocji są bardzo zajmujące, a Colleen jest już zajęta<sup>[8]</sup>. Potem obijał się przez resztę tygodnia.

Will, zanim się oświadczył Colleen, oczywiście zapytał synka, co on na to i czy chciałby mieć Colleen za macochę. Little B wykrzyknął: „Taak!” Pokochał ją od pierwszej chwili, więc był tym pomysłem zachwycony.

A na pytanie, czy uczyni ojcu ten zaszczyt i zostanie jego družbą, odpowiedział: „Super!”

W tej sytuacji Will telefonicznie poprosił jeszcze o zgodę przyszłą teściową, która w 1999 roku również przeniosła się do Wielkiej Brytanii i mieszkała w Gants Hill, w północnym Londynie, gdzie pracowała jako pielęgniarka. Kathryn uwielbiała Willa i Owena, a córki nigdy nie widziała tak szczęśliwej, więc bardzo cieszyła się ich radością. Z kolei Colleen zadzwoniła do swojej młodszej siostry Charissy, do Nowej Zelandii, i do brata Marcusa, do Australii Zachodniej, żeby przekazać im nowinę. Dla nich to też była wspaniała wiadomość.

Po zakupie domu, który wymagał jeszcze długich miesięcy poprawek i przeróbek dla Owena, zanim mogli się tam wprowadzić, z pieniędzmi zrobiło się krucho. Narzeczeni wiedzieli, że potrzebują czasu, żeby zaoszczędzić na taki ślub, jaki chcieliby mieć, więc ustalili datę na lato 2013 roku. Ponieważ szczęśliwą liczbą Colleen jest siedemnastka, wybrali jedyną sobotę, która wypadła siedemnastego – w sierpniu – i teraz cała rodzina oczekiwała na ten wielki dzień.

Owen odrobinę lepiej radził sobie w klasie, ale gdy zdarzyło się parę razy, że dzieci mu dokuczały, zaczął ostro reagować. Pewnego dnia doszło do utarczki na boisku. Jakiś chłopiec powiedział, że Owen wygląda śmiesznie, na co on rąbnął go z byka. Will musiał pójść do szkoły i porozmawiać z synem. Chłopiec początkowo uparcie twierdził, że jego przeciwnik po prostu się pośliznął i uderzył w głowę. Ojciec wziął Owena na poważną rozmowę i wyjaśnił mu, że może kogoś uderzyć wyłącznie wtedy, gdy ten ktoś pierwszy go fizycznie zaatakuje. Od tamtej pory nic podobnego już się nie

zdarzyło.

Bez względu na to, jak grzecznie zachowywał się w szkole i jak swobodnie czuł się ze swoją rodziną lub w miejscach, gdzie każdego znał, przy obcych Little B nadal był straszliwie nieśmiały, lękliwy, wycofany i nie chciał, żeby go widziano. Wszyscy, od Willa i Colleen po Kim i dziadków, coraz bardziej się tym martwili. Te zahamowania oznaczały, że Owen nie rozwija umiejętności społecznych. Prawie nigdy nie bawił się z innymi dziećmi ani nie był do nich zapraszany – prawdopodobnie ich rodzice obawiali się, że nie będą wiedzieli, co robić z niepełnosprawnym chłopcem. Niecierpliwił się też z powodu szyn, które czasem trzeba było mu zakładać na nogi, i że musi brać lekarstwa – a jedno i drugie wymagało z jego strony pełnej współpracy.

Najszczęśliwszy był w domu, kiedy oglądał telewizję, albo w restauracji, z rodziną. Jego ulubionym lokalem stała się pobliska pizzeria Pizza Express – za każdym razem dokładnie wiedział, co tam zamówić. Jednak, kiedy bliscy zabierali go do innych publicznych miejsc, wyraźnie nie czuł się tam dobrze. Kiedyś w supermarkecie napyskował starszej pani, która się na niego gapiła. Najpierw poprosił, żeby przestała, a ponieważ nie odwróciła wzroku, powiedział, że od niej śmierdzi. Will nie puścił mu tego płazem. Wyjaśnił chłopcu, że zawsze ma zachowywać się kulturalnie, nawet jeśli ktoś inny jest niegrzeczny. Ale na Owena wyraźnie zaczęła oddziaływać narastająca świadomość własnej niepełnosprawności i tego, jak postrzega go otoczenie.

W nadziei, że podniesie go na duchu, Will urządził synowi urodziny w sali parafialnej w Odiham. Little B mógł wybrać taki temat zabawy, jaki tylko sobie wymarzy. Chłopiec, który często przy śniadaniu chciał, żeby mu puścić Metallicę, zdecydował się na Rock'n'Roll: wszyscy musieli przyjść przebrani za gwiazdy rocka. Poprosił też o zamek do skakania, bo chciał, żeby goście dobrze się bawili.

– To był dla niego fantastyczny dzień – opowiadał potem Will. – Nawet wszedł na nadmuchiwany zamek i miał frajdę z tego, jak się tam wszyscy razem kotłowali i na siebie wpadali. Myślę, że to właśnie wtedy wiele dzieciaków i ich rodzice uświadomili sobie, że Little B może się tak samo dobrze bawić w grupie jak inni. To im otworzyło oczy. Zobaczyli, że Owen zachowuje się w towarzystwie jak zwyczajny chłopiec.

Później tamtego roku Will dowiedział się, że po raz drugi ma zostać wysłany na misję do Afganistanu jako członek zespołu zajmującego się przeglądem i konserwacją helikopterów Chinook. To oznaczało, że spędzi poza domem Boże Narodzenie. Tamte

święta oboje z Colleen opisują teraz jako najgorsze w życiu.

Ponieważ Colleen pracowała na pełny etat, łącznie z nocnymi zmianami, rodzice Willa zaproponowali, że przeniosą się tymczasowo do jego domu w Odiham i pomogą opiekować się Owenem. Pewnego razu Joan zabrała wnuka na jednodniową wycieczkę, aby pokazać mu katedrę w Chichester. Była zdumiona, jak chłopczyk zareagował na piękno i dostojność budowli, którą widział po raz pierwszy w życiu. Nagle z boku nawy, za kutą kratą, dostrzegł małą kaplicę z migoczącymi płomykami świec i zapytał babcię, czy mogą tam wejść, zapalić świeczkę i pomodlić się za tatusia. Joan była bardzo wzruszona. Dopiero później odkryła, że to Chapel of St Clement ze zwieńczoną godłem RAF-u tablicą ku pamięci poległych lotników. Owen nie mógł widzieć tej tablicy z miejsca, gdzie wtedy stali, Joan po prostu czuła, jakby jej wnuka coś tam ciągnęło.

Little B miał spędzić Boże Narodzenie z Kim, bo to była jej kolej, więc Joan i Bill Howkinsowie zaprosili Colleen do siebie do domu w Midhurst (West Sussex). Przyjechali też ich drugi syn Ed oraz dwie córki, Esther i Bethany, razem ze swoimi partnerami i dziećmi. Jednak wszystkim brakowało Willa.

Zadzwoił w dzień Bożego Narodzenia, kiedy siedzieli przy pieczonym indyku. Tamtego miesiąca w Camp Bastion często wysiadał prąd i w ogóle to był o wiele trudniejszy pobyt niż poprzedni. Colleen przełączyła rozmowę na głośnik, żeby zgromadzona przy stole rodzina też mogła słyszeć, ale kiedy wszyscy życzyli Willowi wesołych świąt, on zupełnie się rozkleił.

Ze słuchawką przy uchu Colleen wybiegła do drugiego pokoju. Chciała zamienić z narzeczonym parę słów na osobności. Po jakimś czasie Joan poszła sprawdzić, czy wszystko w porządku, i nie mogła powstrzymać łez, kiedy zobaczyła, jak jej przyszłej synowej od gwałtownego płaczu aż leci krew z nosa. To był pierwszy okres służby Willa, kiedy musieli się na długo rozstać. Dopiero teraz Colleen w pełni zdała sobie sprawę, że kochać kogoś, kto służy w armii, nie jest łatwo, zwłaszcza jeśli bywa wysyłany do stref zagrożenia.

A poza tym bała się jeszcze jednego.

– Oczywiście, byłam dosłownie chora ze strachu o jego bezpieczeństwo, ale dręczył mnie też lęk, że gdyby Willowi coś się stało, straciłabym nie tylko miłość swojego życia, ale też chłopca, który stał się dla mnie prawie jak własne dziecko. Sądzę automatycznie przekazałby małego pod opiekę Kim. I słusznie, ona jest jego matką. Ale



taka wizja naprawdę mnie przerażała.

Colleen niepokoiła się nie tylko ze względu na siebie. Nie chodziło jej tylko o własne uczucia. Wiedziała, że Little B rozpaczliwie potrzebuje taty. Łączyła ich silna więź, byli niemal nierozłączni. Gdyby Willa zabrakło, to – przy częstych służbowych wyjazdach Kim – Owen byłby zapewne przekazywany od jednego wytrwałego członka rodziny do drugiego.

Colleen nie pozostawało nic innego, jak tylko przestać myśleć o najgorszym i czekać, aż Will szczęśliwie wróci. Co też, ku uldze całej rodziny, nastąpiło w lutym 2011 roku.

Nareszcie mieli czas, żeby zabrać się do stworzenia przytulnego domu dla Little B, dla siebie i dla Mr Pixela. Dwa pracujące psy Colleen zamieszkały w nowym ogrodzie w specjalnie wybudowanych budach.

Mogli również więcej uwagi poświęcić Owenowi, który teraz już potrzebował regularnej fizjoterapii i hydroterapii, a także częstych wizyt u kręgarza. Kurczenie się mięśni twarzy ściągało chłopcu rysy i zwężało powieki, przez co coraz gorzej widział. Lekarze powiedzieli Willowi, że niewykluczone, że w końcu trzeba będzie powieki zoperować, aby Little B w ogóle mógł mieć oczy otwarte. W dodatku – częściowo na skutek zażywania leków – chłopcu osłabił się wzrok i niezbędne okazały się okulary.

W Southampton Hospital często poddawano Owena badaniom podczas snu, żeby sprawdzić pobór tlenu. Skurcze w klatce piersiowej nasiliły się, co oznaczało, że kiedy chłopiec kładł się spać, naprężone mięśnie ścisnęły mu pierś, utrudniając oddychanie. W rezultacie nieustannie budził go kaszel – czasami nawet po pięćdziesiąt razy w ciągu jednej nocy. Ponieważ klatka piersiowa nie mogła się w pełni rozszerzać, rozwinęła się również astma, a to z kolei spowodowało spadek zawartości tlenu we krwi, czyli hipoksję, która może uszkadzać serce lub mózg.

Początkowo Will i Colleen obawiali się, że to psia sierść pogarsza stan Owena, ale zapewniono ich, że akurat z jego problemem nie ma ona związku. Little B kasłał od najmłodszych lat (zanim jeszcze zetknął się z psami), a kaszel był znanym objawem zespołu Schwartza-Jampela.

Doktor Thomas ze szpitala w Southampton przyznawał, że te kłopoty z oddychaniem są powodem do niepokoju. Sztywnienie niekorzystnie wpływało na mięśnie oddechowe do tego stopnia, że Owen nie mógł ani całkowicie wypuścić, ani głęboko

wciągnąć powietrza. To zwiększało ryzyko infekcji dróg oddechowych, a możliwości leczenia były bardzo ograniczone.

Lekarze opiekujący się chłopcem nie mieli innego wyboru, jak zalecić mu maskę tlenową na noc. Specjalistyczna firma musiała wyposażyć jego pokój w aparat nadmuchowy i dostarczyć butle z tlenem, które mogą być legalnie przewożone tylko przez licencjonowanego dostawcę i opatrzone są całą masą ostrzeżeń – na przykład nie wolno w pobliżu nich palić i trzeba uważać, żeby stały stabilnie.

Tlen pomógł, chociaż Little B nie lubił połączonej z rurką maski na nos ani koniecznej do jej przytrzymania tasiemki. Will nastawiał budzik i każdej nocy wstawał cztery, pięć razy, żeby sprawdzić, czy maska jest na swoim miejscu. Inaczej synowi groziły duszności.

Kłopoty z oddychaniem oznaczały, że Little B mógł sypiać wyłącznie tam, gdzie jest aparatura tlenowa i oczyszczacz powietrza. W innym przypadku trzeba było wszystko to specjalnie dla niego instalować, również podczas wyjazdów wakacyjnych czy wycieczek. Dziadkowie z obu stron zaopatrzyli się w niezbędny sprzęt, więc Owen mógł u nich mieszkać – ale Kim miała większy problem.

Kiedy chodziło o potrzeby Owena, Królewskie Siły Powietrzne zawsze traktowały ją i Willa niezwykle życzliwie i okazywały pomoc. Przez lata obydwójce raz za razem dostawali wolne na wizyty w szpitalu i inne badania. Nie mogli się spotkać z większym zrozumieniem. Tak było do czasu, gdy Kim wyprowadziła się z domu i potrzebowała odpowiedniego lokum.

Ministerstwo Obrony oficjalnie nie uznaje wspólnej opieki nad dzieckiem, kiedy rodzice mieszkają osobno. Skoro to Will był głównym opiekunem, Kim nie miała innego wyjścia, jak przenieść się do umeblowanej kawalerki w bloku RAF-u na terenie bazy lotniczej. To mieszkanko nie miało nawet osobnej łazienki. Tymczasem Kim, jako matka Owena, nadal potrzebowała miejsca, gdzie chłopczyk mógłby mieć instalację tlenową i trochę własnych rzeczy, kiedy ją odwiedzał. Chociaż nie mieszkał z nią cały czas, spędzali razem wiele weekendów, więc tak naprawdę potrzebowała tego samego co Will, który i tak zamierzał zrezygnować z domu przyznanego mu przez RAF.

Po przewlekłej batalii z Ministerstwem Obrony Kim otrzymała wreszcie tymczasowy przydział na nadliczbowy pustostan w Bordon, w Hampshire, niezbyt daleko od Basingstoke, dom, gdzie Owen mógł ją bezpiecznie odwiedzać. Niestety nie wolno tam było wprowadzać żadnych trwałych zmian – na przykład budować

podjazdów, montować uchwytów – a dotychczasowy lokator mógł być wyrzucony z zaledwie miesięcznym wypowiedzeniem, gdyby RAF nagle potrzebował tej kwatery dla kogo innego. Jednak to zwycięstwo pozwoliło jej wreszcie zabierać do siebie synka, kiedy nie przebywała służbowo za granicą. Znalazła również szczęście z kolegą z wojska, Lee, rozwiedzionym ojcem dwojga dzieci.

Willowi też ulżyło, że Kim ma odpowiedni własny kąpiel.

– Jest fantastyczną matką i niesamowicie rozpieszcza Owena. Kiedy jest w Wielkiej Brytanii, spędza z nim tyle czasu, ile tylko może. Stara się mieć go u siebie przynajmniej dwa razy w miesiącu i w czasie wakacji. To jego mama. On ją bardzo kocha.

Tymczasem Will i Colleen ciężko pracowali, żeby spłacić nowy dom i odłożyć pieniądze na ślub, a przede wszystkim opiekowali się Owenem. Jednak mimo tak zabieganego i wypełnionego obowiązkami życia, zaczęli myśleć o powiększeniu rodziny. Zastanawiali się nad wzięciem psiego towarzysza dla Mr Pixela i wpadli na pomysł, że uratują jeszcze jednego psa. Musieli dobrze przemyśleć wybór ze względu na Little B, ale Colleen sporo wiedziała o szkoleniu psów i o korygowaniu ich złych zachowań, więc sądziła, że z większością problemów sobie poradzi.

Idealne, jej zdaniem, byłoby zwierzę, które już mieszkało w domu zastępczym. Obydwoje z Willem szukali psa podobnej wielkości jak Mr Pixel albo mniejszego. Mógłby to być na przykład king charles spaniel, west highland terrier albo cocker spaniel.

Ponieważ Colleen nie była w stanie oglądać potencjalnych kandydatów w schroniskach – za każdym razem przynajmniej jednego psa chciałyby stamtąd zabrać – mniej więcej przez trzy miesiące przeglądała różne strony internetowe, w tym ogłoszenia RSPCA, Dogs Trust i Battersea Dogs Home. Chociaż i ona, i Will wypatryli kilka uroczych stworzeń, które rozpaczliwie potrzebowały domu, wstrzymywali się z decyzją, bo wiedzieli, że w tej sprawie pośpiech nie jest wskazany.

Parę lat wcześniej Colleen przechodziła szkolenie u zwierzęcego behawiorysty Rossa McCarthy'ego, organizowane przez jego firmę London Dog Behaviour Company. Wiedziała, że McCarthy razem ze swoim wspólnikiem Jamesem Hearle'em założyli ośrodek opieki dziennej dla psów Dogs and Kisses i obserwowała ich działania na Facebooku.

Pewnego wieczoru w styczniu 2012 roku siedziała na kanapie obok Willa,

przeglądając strony ośrodka, kiedy nagle z ekranu popatrzyła na nią psia mordka – na jej widok Colleen gwałtownie wciągnęła powietrze.

Intensywne spojrzenie owczarka anatolijskiego przewiercało ją na wylot.

Narzeczoney zauważył jej minę. „No nie – co znalazłaś?”, powiedział, ale ona nie mogła wykrztusić słowa. Odwróciła tylko laptop w jego stronę.

Will rzucił okiem na szczenięce ślepiec i mruknął: „O cholera!” Obydwoje natychmiast zdali sobie sprawę, że to właśnie pies dla nich. W tamtym momencie wiedzieli o nim tylko, że wabi się Haatchi.

Zanim Will zdążył cokolwiek powiedzieć, Colleen chwyciła komórkę i wysłała do Rossa pytanie, czy mogłaby zobaczyć tego owczarka, bo właśnie zakochała się w nim przez Internet. Will – który przecież właśnie w taki sposób spotkał swoją narzeczoną i znał ją aż za dobrze – razem z Owenem dosłownie zwijał się ze śmiechu na kanapie.

# Rozdział 4

*Ktokolwiek powiedział, że za pieniądze nie można kupić szczęścia, zapomniał o szczeniętach.*

Gene Hill

Colleen odkryła, że Haatchi stracił łapę, dopiero kiedy poczytała o nim trochę więcej na facebookowej stronie Dogs and Kisses. I ogarnęły ją mdłości, gdy wreszcie dotarło do niej, jak to się stało.

Z początku wiedziała tylko, że potrącił go pociąg, i głównie przejmowała się tym, czy Haatchiego przypadkiem nie szukają właściciele. Jednak zapewniono ją, że od wypadku minęły długie tygodnie, a jak dotychczas nikt się nie zgłosił. Zwierzę nie miało mikroczipu, więc nie udało się wytropić jego państwa.

Ani jej, ani Willa prawie wcale nie przstraszyło kalectwo psa. Dużo bardziej martwili się jego rozmiarami i temperamentem. Colleen przez lata mieszkała i pracowała z owczarkami niemieckimi, więc nie zniechęciła się informacjami o rasie Haatchiego, ale musiała sama go obejrzeć, żeby ocenić, na ile jest agresywny.

Nie mogła czekać.

Jednak najpierw należało poddać się pewnym procedurom – a więc, po pierwsze, wypełnić formularz organizacji UKGSR, która potem rozpatruje wnioski adopcyjne. Colleen odpowiedziała na wszystkie pytania, chociaż irytowało ją, że nie ma miejsca na dodatkowe wyjaśnienia. Mimo to udzieliła wymaganych informacji; również takiej, że oboje z Willem pracują.

Parę dni później, właśnie gdy w lodowatym chłódzie szkolili kilka psów na lądowisku, zawibrował jej telefon. To Ross z Dogs and Kisses przesłał jej kopię związłego e-maila, który dostał z UKGSR. Odpowiedź na prośbę o adopcję Haatchiego brzmiała: „Nie nadają się”.

Ich wniosek został odrzucony.

Jako powód podano, że Haatchi zapewne przebywałby sam przez więcej niż cztery godziny dziennie. A Colleen nikt nie dał szansy wytłumaczyć, że zdarzałoby się tak

sporadycznie, o ile w ogóle, bo oboje pracują na zmiany.

Czuła się upokorzona. Zatelefonowała do Willa i oznajmiła: „Nie dostaniemy go!” Narzeczony zaproponował, że skontaktuje się z UKGSR i wszystko wyjaśni, ale prosiła, żeby sobie odpuścił. „Może los tak chciał i Haatchi nie jest nam pisany”, powiedziała, choć w głębi serca była bardzo przygnębiona.

Godzinę później odezwał się sygnał jej telefonu. Dzwoniła Tracey Harris z biura UKGSR. Twierdziła, że właśnie otrzymali od Colleen e-mail. Przez moment Colleen była kompletnie dezorientowana. Jednak po chwili uświadomiła sobie, że to Will musiał zalogować się na jej konto i oprotestować odmowę. Ross i James też ze swojej strony przesłali – jak potem mówili – superopinię, w której informowali organizację, że według ich profesjonalnej oceny Colleen i Will idealnie nadają się na właścicieli Haatchiego.

Tracey chciała wiedzieć, dlaczego wybrali właśnie tego psa, na co Colleen odparła, że jej narzeczony służy w RAF-ie, a Haatchi po przeszkoleniu mógłby być wspaniałym psem terapeutycznym dla żołnierzy po amputacjach. Ponieważ jest taki duży i puchaty, od razu przyszło jej to do głowy. Dodała też, że z tego, co wie od Rossa, owczarek równie dobrze czułby się w towarzystwie dzieci. „Może dzięki niemu mój pasierb by się uśmiechał”, powiedziała. „On ciężko choruje, a Haatchiego jest tyle do przytulania”.

Pojawienie się Mr Pixela nie odmieniło życia Owena w sposób, jakiego by sobie życzyli, więc tak naprawdę Colleen nie wiązała z Haatchim zbyt wielkich nadziei. Po prostu modliła się, żeby w towarzystwie tego dużego, mięciutkiego miśka jej mały koleżka poczuł się choć odrobinę szczęśliwszy.

Odkąd pracownicy UKGSR uzyskali dodatkowe informacje, ze zdecydowanie większym entuzjazmem zaczęli rozpatrywać kandydaturę Colleen i Willa i po kilku dniach zostały zorganizowane odwiedziny u Haatchiego. Colleen pojechała sama do pełnej zakamarków wiejskiej posiadłości Rossa i Jamesa w Oksfordshire. Miała wrażenie, że znalazła się pośrodku jakiegoś psiego zoo z kilkoma dogami niemieckimi, szpicami i nawet paroma pieskami rasy chihuahua.

Ross powiedział jej, że Haatchi wzbudził w sieci spore zainteresowanie, ale większość chętnych nie nadawała się na właścicieli. Nie daliby sobie rady z takim wielkim niepełnosprawnym zwierzęciem. Zgodził się na odwiedziny Colleen, bo wiedział, że pracuje z psami i będzie gotowa poświęcić owczarkowi czas.

– Umiem podchodzić do psów na chłodno. Muszę umieć – mówiła Colleen. – Pracuję z nimi, więc nie mogę za bardzo się przywiązywać. Niektóre zwierzęta z trudem dają się ułożyć, a trzeba dla nich znaleźć dom. Więc jechałam tam z nastawieniem, żeby ani trochę bardziej nie zakochać się w Haatchim.

Kiedy wyszła z Rossem do ogrodu, zobaczyła Claude’a, wielkiego doga niemieckiego, który zastygł w posągowej pozie na środku trawnika. Stał na trawie jak wmurowany, ale w prześwicie pod jego brzuchem Colleen zauważyła jeszcze jednego psa – trójnogiego.

Spod torsu Claude’a wyglądał ku niej duży łeb z tymi samymi świdrującymi oczami, które widziała na ekranie komputera. Wciągnęła wielki haust powietrza, aż ją zatkało. Nigdy, jak żyje, nie wyczuła czegoś takiego w żadnym psie – nigdy.

– Ross dostrzegł, że dosłownie sinieję. Klepnął mnie w plecy i krzyknął: „Colleen! Oddychaj!” Wypuściłam powietrze i przyciskając dłonie do piersi, gwałtownie łapałam oddech. To uczucie było tak obezwładniające.

Ross zabrał ją do domu, żeby doszła do siebie, a potem James przyprowadził Haatchiego. Siedziała na kanapie, kiedy do pokoju chwiejnym krokiem wkuśtykał owczarek anatolijski – co chwilę wpadał w poślizg, bo jeszcze nie przywykł, że ma tylko trzy łapy. Colleen przykucnęła, a Haatchi zwałił się na nią i wcisnął jej w szyję swój nakrapiany nos.

Wydawał się niesamowicie smutny, skomlał, wyraźnie go bolało. Rozpoznała, że jest złakniony ludzkiej uwagi i zupełnie zdezorientowany.

Ross wyjaśnił, że psu pozbawionemu ogona bardzo trudno porozumiewać się ze swoimi pobratymcami, bo u wielu zwierząt ogon to ważne narzędzie komunikacji. To tak, jakby stracił głos. Poza tym inne psy uważały trójnoga za obcego zarówno ze względu na wygląd, jak i zapach, więc raczej go unikały (pachniał środkami dezynfekującymi, bo jeszcze czasem krwawił).

Co gorsza, przez jakiś czas Haatchi cierpiał z powodu tak zwanej kończyny fantomowej – wydawało mu się, że utracona łapa nadal jest na swoim miejscu. Usiłował drapać się nią za uchem, ale tylko się naszarpał i potem skomlał z frustracji i bólu.

Kiedy wreszcie przywitał się z Colleen, przewrócił się na grzbiet i odsłonił przed nią resztkę łapy: ogoloną, krwistoczerwoną, z widocznymi szwami. „Pozwolisz mi dotknąć?”, zapytała Colleen łagodnie. Pies najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu,

więc położyła dłoń na kikucie: był gorący. Właśnie wtedy Haatchi całkiem ją sobie zdobył.

Nagle James szturchnął Rossa i szepnął: „Spójrz!”

Mały strzępek ogona zaczął się poruszać – po raz pierwszy, odkąd Haatchi u nich zamieszkał. Jak potem jej mówili, nawet nie wiedzieli, że potrafi nim merdać.

– Od tamtej chwili nie miałam już cienia wątpliwości – opowiadała Colleen. – To Haatchi nas wybrał, a nie odwrotnie. Jest w nim coś prawdziwie duchowego. Pokochałam go i w głębi serca wiedziałam, że do niego należymy.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, rozplakała się, opowiadając Willowi, jaki niesamowity jest Haatchi i jak jej smutno z powodu tego, co go spotkało. Para dostała dwa tygodnie, żeby rozważyć, czy faktycznie są gotowi przejąć opiekę nad takim wielkim, trójłapym psem. Musieli mieć pewność, że podejmują dobrą decyzję. Priorytetem dla Willa było dziecko. Musiał być stuprocentowo przekonany, że Owenowi nic się nie stanie, kiedy w pobliżu znajdzie się zwierzę, które zaznało tyle okrucieństwa. Zapowiedział więc Colleen, że jedno warknięcie i Haatchi wylatuje.

Podjęli już decyzję, ale przed uzyskaniem zgody na odbiór Haatchiego czekała ich jeszcze wizyta kontrolna z UKGSR. Trochę się denerwowali, kiedy w ich domu odbywała się inspekcja i zadawano im takie pytania, jak na przykład: gdzie będą Haatchiego trzymać albo na ile czasu w poszczególne dni będzie zostawiany sam. Dopiero gdy powiadomiono ich, że kontrola wypadła pomyślnie, Colleen mogła pojechać do Oksfordshire po nowego pupila.

Owen zawsze kochał sekrety i niespodzianki, więc nawet się nie zająknęli o tym, kto z nimi zamieszka. Zanim późnym wieczorem 18 lutego Colleen i Haatchi dotarli do domu, chłopiec już mocno spał. Will i Colleen zamknęli drzwi dzieciennego pokoju i pozwolili anatolianowi zwiedzić pozostałe pomieszczenia. A potem zapoznali go z Mr Pixelem. Tak jak mieli nadzieję, psy odniosły się do siebie życzliwie, a Haatchi nie okazywał żadnych cech tak często wymienianych w związku z jego rasą.

Kiedy, kuśtykając, obwąchał już każdy kąt i sprawdził, gdzie co jest, wrócił pod sypialnię Owena i tam zaczął węszyć. Otworzyli mu więc po cichu drzwi.

Mimo swoich obrażeń Haatchi – który miał dopiero pięć miesięcy – był szczeniakiem pełnym energii. Niezwykle podekscytowany wędrował po całym domu, choć co rusz rozjeżdżały mu się trzy łapy. Ale jego zachowanie zupełnie się zmieniło, gdy przekroczył próg sypialni Little B z obrazkami z *Gwiezdnych Wojen* i *Toy Story* na



ścianach (Will sam namalował je dla synka).

Gdy zobaczył maskę i aparaturę tlenową, parę razy wciągnął w nozdrza powietrze, po czym niemal na palcach zbliżył się do miejsca, gdzie spało dziecko. Will i Colleen obserwowali, jak przygląda się z przechylnym łbem, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Hm, tu mamy coś interesującego”. I jakby rozumiał, że to bezbronny chłopiec, a ta cała maszyneria i rurki wyznaczają miejsce, gdzie psu nie wolno wchodzić. Potem bezszelestnie zawrócił.

Następnego ranka Will obudził Owena o siódmej i usiadł na brzegu łóżka. Jego śpioszek leniuszek, ziewając, przecierał oczy. Jednak kiedy ojciec oznajmił mu, że mają dla niego wielką niespodziankę, szybko oprzytomniał i wpadł w entuzjazm. Wtedy Will poprosił Colleen, żeby wprowadziła Haatchiego. Chłopiec patrzył z otwartą buzią, jak trzy razy większy od niego pies podbiega ciężko i bez żadnej zachęty, jak gdyby nigdy nic, spokojnie opiera łeb na jego nodze. Spojrzeli jeden na drugiego i serca im stopniały. Była to miłość od pierwszego wejrzenia – u obu.

Później Colleen opowiadała, że w jednej chwili w pokoju zmieniła się atmosfera.

– Powietrze stało się wręcz naelektryzowane od połączenia prawdziwej miłości i akceptacji. Trudno opisać więź pomiędzy tą dwójką. Wyglądało to tak, jak gdyby właśnie się odnaleźli – raczej jak spotkanie starych przyjaciół niż nawiązanie znajomości. Żałowałam, że nie mam pod ręką kamery, żeby ten moment zarejestrować.

Willa zadziwiło, że ani chłopiec, ani pies nie cofnęli się na swój widok. Nie wydawali się też w najmniejszym stopniu zbici z tropu. Najwyraźniej obaj mieli świadomość, że w tym drugim jest coś niezwykłego. Haatchi nie był doskonały, nie wyglądał jak inne zwierzęta, ale Owen widział, że chociaż pies jest taki duży, jakoś radzi sobie z niepełnosprawnością i nie zadręcza się nią. Will sądził, że to naprawdę do jego syna trafiło.

Potem chłopiec zapytał, co się stało z łapą i ogonem psa. Nie chcieli kłamać, chociaż to historia trudna zarówno do opowiadania, jak i do słuchania. Kiedy wyjaśniali mu wszystko najlepiej, jak umieli, Little B płakał i przez cały czas gładził dużą psią głowę. Ogarnięty smutkiem spytał, jak ktoś mógł być taki okrutny. Will i Colleen odparli, że nie wiedzą, ale zapewnili, że policja tego kogoś na pewno złapie i wtedy mu się dostanie. To Owena trochę pocieszyło.

Wstał z łóżka i przy balkoniku powędrował do salonu. Haatchi lojalnie dreptał z tyłu. Obaj zwinęli się w kłębek na kanapie. Little B dalej głaskał swojego nowego

przyjaciela, a potem zaczął szeptać mu coś do ucha. Więź, która zrodziła się pomiędzy nimi tamtego ranka, jest czymś, co tylko oni dwaj będą rozumieli.

Przez resztę weekendu chłopiec i pies leżeli razem – w łóżku, na kanapie albo na podłodze. Byli już nierozłączni, a Will i Colleen wiedzieli, że Haatchi zadomowił się na dobre.

– Poczułem się naprawdę szczęśliwy – z uśmiechem mówił później Owen. – Tamtego dnia wszystko w moim życiu się zmieniło.

W Dogs and Kisses Haatchi był żywiony surowizną. Colleen i Will przeczytali kilka artykułów o tym, że to zdrowsza dieta i bardziej naturalna dla psów, więc zdecydowali się karmić surowym jedzeniem i jego, i Mr Pixela. Colleen przekopywała strony internetowe różnych dostawców, aż trafiła na firmę Natural Instinct, mieszczącą się niezbyt daleko, w Camberley (Surrey). Zamówiła u nich wszystko, czego potrzebowała, i poprosiła Willa, żeby na eBay-u wyszukał odpowiednią zamrażarkę, w której będą mogli trzymać psie zapasy. Ostatecznie jedną znalazł, ale mogła do nich dotrzeć dopiero za kilka dni, więc Colleen zatelefonowała do Natural Instinct z prośbą o przesunięcie terminu dostawy. Kiedy jej rozmówczyni zainteresowała się przyczyną, Colleen wyjaśniła jej sprawę z zamrażarką i opowiedziała o Haatchim. Ogromnie poruszona kobieta poprosiła, żeby koniecznie przesłać jej fotografię trójłapego psa, który znalazł u nich dom.

Godzinę później odebrali telefon od Suzanne Brock, siostry dyrektora firmy Davida Brocka. Kiedy powiedziała, że Natural Instinct chce zostać sponsorem Haatchiego i dożywotnio dostarczać mu darmową karmę, Colleen nie mogła uwierzyć własnym uszom. Z wrażenia aż się rozpląkała – to był naprawdę niezwykle szczodry gest.

Wtedy jeszcze Will i Colleen nie wiedzieli, jak niesamowicie historia ich owczarka poruszy ludzi i do ilu dobrych uczynków doprowadzi.

Ponieważ Colleen znalazła Haatchiego dzięki Facebookowi, zdecydowała, że fajnie będzie założyć mu własną stronę na tym portalu społecznościowym. Na początek, w opowieści o tamtym dniu, kiedy spotkali się po raz pierwszy, Haatchi „napisał”: 14 lutego – dużo szczęścia z okazji walentynek! Dla mnie to dzień jeszcze bardziej wyjątkowy, bo właśnie zapewniłem sobie dom na zawsze! Wzbudziłem miłość! Samego siebie określił jako „komika, zabawiacza oraz pracującego na własny rachunek psychologa”. Pod hasłem „Edukacja” wyjaśnił, że na Uniwersytecie życia i ciężkich

prób studiował, jak przetrwać pod kołami pociągu, gdy ktoś specjalnie przywiąże cię do szyn. A w nagłówku na luty „napisał”: Rzuciłem robotę w RSPCA – specjalisty od przetrwania. Dodał przy tym, że odbył intensywny kurs na temat różnorodności ludzkiej rasy. Poznał tych zdecydowanych mnie zabić; tych, którzy walczyli, żeby utrzymać mnie przy życiu, a także takich, którzy chcą już zawsze ulepszać mi to życie, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

Później Colleen zamieściła fotografie z pierwszego spaceru owczarka (Owen na wózku ma – jeszcze wtedy – spuszczoną głowę), z pierwszej wizyty u fryzjera dla psów i nawet filmik, jak Haatchi chrapie przez sen. Pstryknięto mu zdjęcie przed supermarketem podczas zbiórki pieniędzy na rzecz Help for Heroes i dosłownie w ciągu kilku dni Haatchi miał już ponad tysiąc fanów.

Coraz więcej osób poznawało jego historię i wzruszało się nią, użytkownicy Facebooka na całym świecie zaczęli dzielić się zdjęciami i filmami z trójłapym anatolianem. Aby sprostać zapotrzebowaniu, Colleen wzbogacała stronę Haatchiego o kolejne wydarzenia, takie jak: „Pocałuj Piegowatego Piętaszka” („Kiss a Freckle Friday”) z cotygodniowymi zbliżeniami piegowatego psiego nosa i „Czwartkowy Powrót do Przeszłości” („Throwback Thursday”), czyli facebookowy trend, żeby umieszczać stare fotografie. Na większości zdjęć pod hasłem „Ja i mój Little B”(„Me and my Little B”) zaczął pojawiać się Owen, który wyglądał na przeszcześliwego, że może przytulać swojego dużego, dzielnego kumpla.

Colleen zarejestrowała się też na stronie poświęconej żywieniu psów surowizną i tam również zdobyła dla Haatchiego kolejnych przyjaciół, między innymi panią Jan Wolfe, która niedaleko Oban, na zachodnim wybrzeżu Szkocji, zarządzała kilkoma domkami letniskowymi z wyżywieniem we własnym zakresie. Podobnie jak Will i Colleen, zdecydowanie uważała, że surowa karma to optymalne jedzenie dla psów, żeby były zdrowe. W przypadku Haatchiego to było szczególnie istotne ze względu na jego obrażenia.

Narzeczeni zaprowadzili owczarka do miejscowego weterynarza, żeby ocenił, jak goją się rany. Szczególnie niepokoił ich kikut ogona, który nadal krwawił. Haatchi często upadał, więc bez przerwy naruszał ranę i ciągle ogon bandażowano. Weterynarz ostrzegł ich, że gdyby doszło do poważnego zakażenia, nie pozostanie nic innego, tylko psa uspić, bo amputacja została przeprowadzona blisko kręgosłupa. Od tamtego dnia wiedzieli, że trzeba pupila bacznie obserwować – tak jak przywykli mieć na oku

Owena. Jak to ujęli: „musiało się udać”, dlatego przez następnych kilka tygodni praktycznie chodzili za Haatchim krok w krok z nadzieją, że go złapią, kiedy będzie się przewracał.

Codziennie też opatrywali mu kikut łapy: przemywali, nakładali żel z aloesu. Po jakimś czasie rana zaczęła się goić i zarastać. Haatchi nigdy jej nie lizał – zupełnie jakby wiedział, że tak jest lepiej – więc nie musiał nosić kołnierza.

Wkrótce do Willa i Colleen zaczęło docierać, ile wysiłku będzie wymagało utrzymanie Haatchiego w zdrowiu i dobrej formie. Pies potrzebował stałego dozoru i częstych wizyt u weterynarza, a to wszystko należało zgrać ze szkołą i wizytami lekarskimi Owena oraz z wymaganiami pełnoetatowej pracy ich obojga. Jednak byli gotowi się poświęcić, żeby tylko śliczny owczarek anatolijski pozostał w ich życiu.

Natomiast zupełnie nie oczekiwali przemiany, jaką dzięki Haatchiemu przeszedł Little B. Chłopiec nagle zaczął się wydawać o wiele szczęśliwszy. To była dla nich wszystkich niespodzianka.

Z wiekiem Owen stopniowo stawiał coraz większy opór w sprawie brania lekarstw, które przyjmował głównie w postaci płynnej, ze strzykawki. Oznajmił ojcu, że nienawidzi ich smaku. Zaczęły się też niemal codzienne sprzeczki o zdrowe jedzenie – zwłaszcza o zielone warzywa. Willowi i Colleen zależało, żeby je jadał, bo poprawiały odporność i pomagały chronić go przed infekcjami. Ale kiedy chłopiec zobaczył, że Haatchi grzecznie pochłania swoją surową karmę i łyka tabletki, postanowił być równie dzielny jak jego pies.

Teraz, kiedy najlepszy przyjaciel nie spuszczał z niego oka, Little B układał przed sobą na stole wszystkie swoje lekarstwa w odpowiedniej kolejności, żeby mieć pewność, że te najbardziej niesmaczne będzie miał z głowy na początku. Potem oznajmiał Haatchiemu i tacie: „Muszę być mężczyzną!”, i wypijał wszystkie. Doszło nawet do tego, że jeśli przegapili jakiś lek albo godzinę, Owen sam o tym przypominał.

Młodziutki owczarek okazał się również nieocenionym wsparciem psychicznym podczas bolesnych sesji fizjoterapeutycznych. Nie odstępował wtedy Little B i na pocieszenie lizał go dużym, różowym językiem. W chwilach szczególnego podekscytowania Haatchi przemawiał do Owena w swojej psiej mowie. Brzmiał wtedy trochę tak jak rysunkowy Scooby Doo. I, oczywiście, nigdy nie zabrakło uścisków i przytulaniek, zanim obaj położyli się spać.

Na uczucia dziecka, którego ochronę uważał teraz za swój obowiązek, pies odpowiadał równie intensywnie. Kiedy w poniedziałek – po pierwszym weekendzie Haatchiego w nowej rodzinie – Owen poszedł do szkoły, owczarek szukał go wszędzie. Aż do powrotu chłopca krążył nerwowo po domu. Było wyraźnie widać, że tęskni za przyjacielem.

Nazajutrz, gdy Will pojechał odebrać Owena, Haatchi usiadł w oknie i przyciskał pysk do szyby (zostawiając na szkle, jak mawiali żartobliwie, swoją „nosową sztukę”), dopóki ojciec i syn się nie pojawili. A trzeciego dnia zajął pozycję w oknie dziesięć minut przed wyjściem Willa – i od tamtej pory zawsze już tak robił. Zupełnie jak jego japoński imiennik, wypatrywał powrotu swojego pana.

Na samym początku pobytu Haatchiego pod ich dachem Will zabrał synka i oba psy na codzienną przechadzkę. Owen, jak zwykle, przybrał swoją zrezygnowaną pozę: czapka naciągnięta niemal na oczy, głowa spuszczone, ręce wbite w kieszenie, skulone ciało. Howkinsowie mają nawet fotografię, na której tak siedzi, a obok zbity z tropu owczarek wyraźnie się zastanawia, gdzie też podział się jego mały przyjaciel.

Jeden po drugim obcy ludzie zaczęli zwracać uwagę na niezwykle zwierzę, które towarzyszy chłopcu na wózku. Zachwyceni wielkością psa i faktem, że tak dobrze radzi sobie na trzech łapach, podchodzili bez oporów, żeby się przywitać i pogłaskać go – Owena natomiast całkowicie ignorowali.

Minęły dwa tygodnie od przybycia Haatchiego, kiedy Little B zaszokował ojca pytaniem, czy mogliby pójść na spacer po śniegu. Will zgodził się ochoczo i wyruszyli. Owczarek był luźno przywiązany smyczą do oparcia wózka. Ludzie nadal obserwowali tę nietypową rodzinną grupę, ale teraz już z innego powodu. Po prostu zamiast gapić się na nieśmiałego chłopca w wózku inwalidzkim, podziwiali pięknego trójłapego psa. W pewnym momencie jakieś zupełnie nieznanym osobom podeszły zapytać o Haatchiego, a wtedy, zanim Will zdążył otworzyć usta, ku jego osłupieniu Owen podniósł głowę i opowiedział całą historię. Wtedy właśnie po raz pierwszy nawiązał rozmowę z kimś obcym. Od tamtej chwili niezmiennie wywoływał u słuchaczy łyzy współczucia – zwłaszcza u kobiet, które szczególnie wzruszał. Will nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Ta przemiana była wprost niewiarygodna. Z totalnie nieśmiałego chłopca stał się kimś, kto potrafi porwać audytorium!

Opowieść o tym, jak Haatchi stracił łapę i ogon, działała na ludzi różnie. Im byli starsi i im bardziej lubili zwierzęta, tym mocniej ich zasmucała. Niektórzy nawet

wybuchali płaczem na środku ulicy, zwłaszcza gdy się dowiadawali, że obrażenia psa to wynik ludzkiego okrucieństwa.

Colleen i Will uważali, że drastyczne szczegóły tego, co przydarzyło się Haatchiemu, należy pomijać przy małych dzieciach, więc poinstruowali Owena, żeby wspominał tylko o potrąceniu przez pociąg, a potem ostrzegał dzieciaki, żeby nie bawiły się przy torach. Natomiast wszyscy, młodzi i starzy, byli zafascynowani tym, jak dobrze Haatchi radzi sobie na trzech łapach, i niemal zawsze mówili Owenowi, że ma superpsa, a potem komplementowali samego Little B i jego brykę.

Chłopiec szybko nauczył się poruszać serca słuchaczy, niezależnie od ich wieku, i wyraźnie polubił rolę narratora niesamowitej historii o przetrwaniu swojego fantastycznego owczarka.

Wszyscy członkowie rodziny, od Kim po dziadków, niemal natychmiast zauważyli zmianę, jaka zaszła w Owenie. Na początku niemal wszyscy przerazili się na wieść, że Will i Colleen, przy tylu obowiązkach, adoptują jeszcze trójłapego olbrzyma, jednak szybko przekonali się do Haatchiego, kiedy Little B zaczął w jego towarzystwie rozkwitać.

– Pamiętam, jak pomyślałam: „O nie, tylko nie kolejny pies!” – opowiadała Kim. – Ale potem zobaczyłam, jak Owen się zmienia, nabiera pewności siebie. Ciągłe o nim mówił: Haatchi to, Haatchi tamto. Naprawdę stał się innym dzieckiem. Ten pies to jakiś cud.

Po raz pierwszy w swoim młodym życiu Owen miał świadomość, że ludzie przyglądają mu się nie z powodu jego inności, ale dlatego, że jest właścicielem odjazdowego psa. Nie minęło wiele czasu, kiedy poprosił, żeby Will przyszedł po niego z Haatchim do szkoły. Chciał pokazać swojego przyjaciela innym dzieciakom. I wkrótce jego niezwykle kumpel stał się tematem szkolnych referatów i prac plastycznych.

Nauczyciele już mówili o różnicy w zachowaniu chłopca. Zamiast prosić innych, żeby mu coś podali albo podnieśli rzecz, którą upuścił, próbował robić to sam. Doszło do tego, że nawet zaczął się przyznawać, że lubi kilka dziewczynek z klasy – wszystkie, oczywiście, po uszy zakochały się w jego owczarku – i poprosił Colleen, aby do jednej z nich pomogła mu napisać list.

Wyglądało na to, że Little B odkrył własną samodzielność, obserwując, jak Haatchi odnajduje swoją.

Owen zdecydowanie podciągnął się też w nauce, dotyczyło to zwłaszcza czytania, pisania i liczenia. W ciągu kilku miesięcy przeszedł od wyników poniżej przeciętnej do średnich i powyżej. Zarówno nauczyciele, jak i rodzina byli pod wrażeniem. Z Haatchim u boku Owen co wieczór zasiadał do odrabiania pracy domowej i sam z siebie włączał laptop, żeby wziąć się do Mathletics<sup>[9]</sup>. Tłumaczył przy tym wszystko swojemu psu, który mu towarzyszył – siedział na kanapie i słuchał, przechylając łeb, jakby starał się to pojąć.

Aż wreszcie pewnego dnia Little B zrobił coś, czego nikt nigdy by się po nim nie spodziewał. Wystąpił przed klasą i opowiedział o swoim ambitnym celu – chciał znów nauczyć się chodzić. Oznajmił, że zamierza to osiągnąć z pomocą swojego wyjątkowego psa. Wszystkim stanęły łzy w oczach.

Każdy, kto był świadkiem tych przemian, przyznawał, że są one głównie zasługą Haatchiego. To jemu Owen zawdzięczał świeżo odnalezioną pewność siebie, której raczej nie mógłby mu dać żaden człowiek. Chłopiec i pies stali się jedną drużyną i razem szli przez życie. Dzięki naturalnej zwierzęcej miłości i akceptacji Haatchi nauczył Owena, co naprawdę oznacza przyjaźń.

Nie minął jeszcze miesiąc, odkąd Haatchi u nich zamieszkał, kiedy Will i Colleen zdecydowali się zabrać jego i Owena na Crufts, słynną międzynarodową wystawę psów rasowych, która co roku odbywa się w National Exhibition Centre w Birmingham. Ich sponsor, firma Natural Instinct, zarezerwowała tam stoisko, żeby promować własne wyroby, więc z wdzięczności za życzliwość Will i Colleen zaoferowali swoje wsparcie. Chcieli również pokazać innym psiarzom, że Haatchi, chociaż zaczynał od bardzo kiepskiego stanu, teraz w niewiarygodnym tempie wraca do zdrowia i z każdym dniem czuje się lepiej, co – jak uważali – wiele mówi o diecie opartej na surowiźnie.

Wizyta w NEC miała być największym wyjściem między ludzi w dotychczasowym życiu Little B, bo frekwencja na wystawie dochodziła do kilku tysięcy. Już w parę godzin po przyjeździe było dla każdego jasne, że Haatchi ma niesamowitą zdolność przyciągania tłumów. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby większość osób się zatrzymała. O różnych porach nowi fani trójłapego anatoliana zwartą grupą otaczali stanowisko Natural Instinct. Zupełnie obcy ludzie porzucali ewentualne wcześniejsze obawy, klękali obok niego, żeby go objąć, albo nawet zaczęli tarzać się z nim po

podłodze.

Ani Will, ani Colleen nie mieli pojęcia, że Haatchi będzie wywierał takie wrażenie. W osłupieniu patrzyli, jak inni na niego reagują.

Ponieważ publiczność Crufts nieustannie gromadziła się wokół małego stoiska z surową karmą, Owen musiał już non stop wyjaśniać, co się Haatchiemu stało. Wkrótce też cieszył się równym zainteresowaniem jak jego pies – ze wszystkimi rozmawiał i razem ze swoim kudłatym przyjacielem ochoczo pozował do zdjęć. Udzielił nawet kilku wywiadów. Patrząc na występy chłopca, Will i Colleen z trudem mogli uwierzyć, że to to samo dziecko, które przedtem prawie nie odzywało się do obcych.

– Wtedy właśnie wszystko się zaczęło – wspominała Colleen. – Zupełnie jakby Little B był pakiem, który czeka na światło i miłość Haatchiego, żeby zamienić się w kwiat. Do tej pory był na świecie, ale nie z tego świata. Tylko maleńka jego część pozostawała widoczna i znana innym. Haatchi sprawił, że teraz wszyscy mogą się przekonać, jakim pięknym i ciekawym chłopcem jest w rzeczywistości Owen Howkins.

Tamtego dnia czekało ich jeszcze kilka przyjemnych niespodzianek. Specjalnie ze względu na nich stoisko Natural Instinct odwiedziła Suzanne Syers z UKGSR, ta sama, która pomogła zorganizować dla Haatchiego jedenastogodzinną akcję ratunkową z Harmsworth Hospital. Była zachwycona, że w końcu spotyka tego trójłapego ocalańca. Will i Colleen natomiast ucieszyli się, że mogą podziękować jej osobiście.

Naprzeciwko ich stoiska miała swój punkt masażystka dla psów Joanne Cleeve, założycielka gabinetu rehabilitacyjnego K9 Rehabilitation w Oksfordshire. Joanne podeszła, żeby poznać Haatchiego i z miejsca zakochała się w tym owczarku o bursztynowych oczach. Zapytała, czy może zrobić mu masaż. Na dotyk jej uzdrawiających dłoni Haatchi zareagował tak, jakby był stałym pacjentem. Zanim Will i Colleen się obejrzel, otrzymali propozycję darmowych lub zniżkowych masaży dla ich owczarka, ilekroć pojawią się na którymś z psich pokazów, gdzie bywa Joanne Cleeve, żeby zaprezentować ludziom, jak bardzo to psu pomaga.

Podczas Crufts Haatchi miał jeszcze jednego niespodziewanego gościa – Rossa McCarthy'ego z Dogs and Kisses. To on swego czasu tak życzliwie się nim opiekował. Obaj wyglądali na wyraźnie uszczęśliwionych tym spotkaniem, Ross klęczał, a owczarek leżał jak omdlały i pomrukiwał cichutko, wtulony w jego kolana.

Po powrocie do domu Haatchi nadal uczył się żyć bez jednej łapy. Ten brak zaczynał



być tragiczny w skutkach dla trzech pozostałych nóg. Pies dostał mały skórzany but, zrobiony na ocalałą tylną kończynę, żeby zwiększyć powierzchnię jej podeszwy, co pomagało zwłaszcza przy wstawaniu. Ze względu na Owena Will i Colleen zdecydowali się na laminowane drewniane podłogi, bo ułatwiały manewrowanie balkonikiem i wózkiem inwalidzkim. Poza tym dywany były niewskazane przy problemach oddechowych chłopca. Ale z drugiej strony wyfroterowana powierzchnia okazała się nie najlepszym rozwiązaniem dla ich coraz większego trójłapego pupila.

Jednak Haatchi, który zawsze pokonywał trudności, dość szybko połapał się, jak ma funkcjonować w nowych okolicznościach. Krótko mówiąc, przystosował się nad podziw dobrze. Zdołał nawet wymyślić, jak przepchnąć swoje zwaliste ciało przez stosunkowo małą kłapę, którą zamontowano w tylnych drzwiach dla Mr Pixela. Colleen zdążyła złapać kamerę i sfilmowała moment, gdy łeb i barki owczarka wynurzyły się gwałtownie z otworu (posyłając plastikową kłapę w powietrze). Potem Haatchi ostrożnie przełożył na zewnątrz jedną łapę, drugą i dopiero wtedy jakimś cudem precyzyjnie resztę futrzastej bryły. Wprost nie wierzyli własnym oczom.

Ale pomysłowość owczarka nie mogła zmienić faktu, że jest wielkim, ciężkim psem (z każdym tygodniem coraz większym i coraz cięższym), któremu od ustawiania tylnej łapy bardziej pośrodku i obracania jej dla lepszego oparcia, zaczął krzywić się kręgosłup. Z polecenia weterynarza Will i Colleen zawieźli Haatchiego do ośrodka rehabilitacji w Guildford – Greyfriars Veterinary Rehabilitation and Hydrotherapy Centre – gdzie na wieść o tym, co się Haatchiemu przydarzyło, personel życzliwie zaoferował pomoc. O połowę obniżyli stawki za hydroterapię, potrzebną mu dwa razy w tygodniu, i nie minął miesiąc, a pies już pływał, samodzielnie utrzymując równowagę dzięki wzmocnionym mięśniom tułowia.

– Jest w nim coś takiego, co skłania ludzi do robienia wspaniałych rzeczy – mówiła Colleen. – Każdy chce mu wynagrodzić to, co się stało. Wydaje się, że po doświadczeniu najgorszej strony ludzkiej natury Haatchi potrafi wydobyć z człowieka tę najlepszą.

Wiadomości o postępach trójłapego owczarka nadal umieszczała na Facebooku, który ciągle gromadził setki nowych zwolenników, bo jego niesamowita historia błyskawicznie rozprzestrzeniała się w sieci. Stał się też przedmiotem zainteresowania lokalnych i krajowych mediów, co tylko otworzyło jeszcze więcej drzwi. Początą zaczęły napływać prezenty dla niego i dla Owena.

Little B uwielbiał dostawać kartki, odkąd matka Colleen, Kathryn, przysłała mu widokówkę z Nowej Zelandii. Był więc bardzo podekscytowany, że teraz otrzymywał ich aż tyle od fanów swoich i Haatchiego. Pewna amerykańska rodzina z Idaho przysłała mu mapę świata na materiale, z której Will zrobił pikowaną mapę pocztówkową i powiesił ją w pokoju syna, żeby ten mógł zaznaczać nowe kraje, z których nadchodzą kartki. Europa szybko zapełniła się kolorowymi szpilkami, więc im bardziej egzotyczny stempel widniał na przesyłce, tym lepiej. Will nawet założył dla Little B specjalną skrytkę pocztową, żeby ta korespondencja nie obciążała ich listonosza.

Były też inne życzliwe gesty. Skontaktowała się z nimi Jenny Lewis, kręgarz dla psów, i zaproponowała, że podda Haatchiego leczeniu chiropraktyczną metodą McTimoneya. Podczas terapii pies był całkowicie odprężony. Will i Colleen ze zdumieniem obserwowali jego rozanielone spojrzenie, za każdym razem kiedy Jenny manipulowała mu przy zeszywniałych stawach kręgosłupa<sup>[10]</sup>.

Tymczasem Owen cieszył się, że dla odmiany stan zdrowia kogoś innego skupia teraz uwagę rodziny, chociaż miał własne kłopoty, bo jego kondycja fizyczna znowu się pogorszyła. Pod względem psychicznym i emocjonalnym było już nieporównanie lepiej, ale niestety nie zniknęły trudności związane z oddychaniem, a w dodatku chłopiec nabawił się paskudnego refluksu. Na szczęście miał Haatchiego, który odrywał go od tych problemów.

Wzruszeni wielkodusznością wszystkich, którzy zaoferowali pomoc ich cudem uratowanemu owczarkowi, Will i Colleen zaczęli wraz z Haatchim i Owenem jeździć na kolejne pokazy psów, żeby wspierać licznych nowych przyjaciół i sponsorów. W ciągu kilku następnych miesięcy wzięli udział w takich psych wydarzeniach, jak: Bark in the Park (Szczekanie w parku) w Basingstoke, Discover Dogs (Odkryj psy) w Earls Court, Paws in the Park (Łapy w parku) w Maidstone, Egham Royal County Show i wielu innych charytatywnych imprezach, w tym oczywiście również w rodzinnym dniu w bazie RAF w Odiham. Każda z tych wycieczek okazała się świetną zabawą: Haatchi i Owen cieszyli się wielkim zainteresowaniem, a w dodatku owczarek zdobywał wszystkie możliwe nagrody i wyróżnienia, od Best Rescue (Najlepszy ratownik) po Best Friend (Najlepszy przyjaciel).

Owen uwielbiał się nim chwalić, a wspólne wypady były szczególnie pomocne w uczeniu i chłopca, i psa, jak udzielać się towarzysko. Zdawało się, że nie tylko Little B

zyskuje na obecności Haatchiego. Will i Colleen zauważyli również wielką zmianę w tym, jak inni patrzyli na Owena czy nawet z nim rozmawiali. Zupełnie jakby poprzez obecność niepełnosprawnego psa u swojego boku chłopiec stawał się bardziej przystępny.

Latem 2012 roku, podczas igrzysk olimpijskich w Londynie, Will wziął trzytygodniowy urlop, żeby zostać z synem w domu i codziennie wspólnie oglądać sportowe zmagania w telewizji. Owen mógł nawet iść później spać z powodu ceremonii otwarcia, którą całą przesiedział, otaczając ramieniem kark Haatchiego.

Potem zaczęła się paraolimpiada. Will zauważył, jak bardzo jego dziecko jest zafascynowane tymi zawodnikami, którzy przezwyciężyli swoją niepełnosprawność i zostali sportowcami. Poprzez stronę internetową Tickets for Troops udało mu się kupić dla nich trojga bilety na kilka wydarzeń paraolimpijskich. A na mecz bocci (która przypomina bule albo petankę, tyle że z użyciem miękkich bil) zabrali nawet ze sobą Molly, sześciolletnią siostrzenicę Willa, żeby razem z Owenem obejrzała rozgrywkę. Little B uwielbia boccie i był całkowicie urzeczony tym sportowym widowiskiem. Will uważa, że mecz nauczył jego syna sporo na temat tego, jak zachować niezależność i być panem siebie, bez względu na wózek inwalidzki. Rodzina czuła, że dla Molly też było dobrze, że zobaczyła, jakie normalne może być życie ludzi niepełnosprawnych.

W sierpniu Haatchi otrzymał tytuł Top Dog w konkursie Drontal's Give Your Dog a Bone. Jurorzy wybrali go spośród setek zgłoszonych kandydatów, ponieważ – jak stwierdzili – wyróżniał się. Dodali też: „Godna uwagi historia, która kryje się za ocaleniem Haatchiego, i równie godna uwagi rodzina, która go adoptowała, są idealnym przykładem tej wyjątkowej więzi między psami a ich właścicielami”.

Will i Colleen postanowili przekazać nagrody – przenośną kamerę wideo z odtwarzaczem i wakacyjny talon o wartości tysiąca funtów – fundacji Make a Wish na rzecz poważnie chorych dzieci. Obie te rzeczy zostały zlicytowane na aukcji charytatywnej w hotelu Dorchester w Londynie.

Na pokazie Pup Aid – organizowanym w londyńskiej dzielnicy Primrose Hill, żeby upowszechnić wiedzę na temat okropnych praktyk w hodowlach szczeniąt – Haatchi zdobył tytuł Best in Show. Tym razem nagrodą miał być obraz Sary Abbott, sławnej portrecistki zwierząt. Zwykle artystka proponuje zwycięzcom konkursu portret 60 na 60 centymetrów przedstawiający popiersie zwierzęcia, ale kiedy zetknęła się z psem, który już osiągnął rozmiary kuczka szetlandzkiego, wiedziała, że musi pomyśleć o

czymś na dużo większą skalę. Natychmiast zdecydowała, że portret będzie obejmował całą postać, ponieważ siła historii Haatchiego kryła się w braku łapy. Sara w swojej karierze namalowała setki psów, ale jak wielu ludzi czuła, że nigdy dotychczas nie spotkała jeszcze takiego zwierzęcia.

– Zupełnie jakby był człowiekiem w psim ciele – mówiła. – Wydaje się, że on wszystko rozumie.

Odwiedziła ich i dostała zestaw fotografii mających jej pomóc w pracy, ale ostatecznie metrowy obraz powstał na podstawie zdjęcia, które pstryknęła, gdy Haatchi, słysząc w ogrodzie swojego małego pana, odwrócił się, żeby spojrzeć w jego stronę. Kiedy portret owczarka był już gotów, całą rodziną – w towarzystwie telewizyjnego weterynarza, Marca Abrahama, organizatora Pup Aid – udali się do domu malarki w Brighton na uroczystą prezentację dzieła. Kiedy zobaczyli, czego Sara Abbott zdołała dokonać, Little B i Colleen, wybuchnęli płaczem. Obraz *Czekając na Owena* wisi teraz na honorowym miejscu w salonie Howkinsów i wzbudza powszechny podziw. Haatchi i Little B dostali nawet własne wizytówki, na których wydrukowany jest ten portret.

We wrześniu 2012 roku Little B miał rozpocząć kolejny etap nauki w szkole w Basingstoke, którą starannie wybrali nie tylko ze względu na udogodnienia dla wózków inwalidzkich, ale też po to, żeby zapewnić Owenowi normalne traktowanie i zwyczajne, a nie specjalistyczne środowisko.

Jednak nikt z dawnej klasy nie szedł razem z nim do tej szkoły, a poza tym do pomocy dzieciom było tam jedynie dwóch opiekunów, którzy w dodatku pracowali na zmiany. Wszyscy się więc bardzo martwili, jak jeszcze czasem nieśmiały chłopczyk zareaguje na obce otoczenie.

Colleen, zawsze skora wesprzeć swojego Małego Kumpla – zwłaszcza gdy w grę wchodziło podtrzymywanie jego kontaktów towarzyskich – postanowiła zdobyć fundusze na supernowoczesny elektryczny wózek, którego Owen używałby w nowym miejscu. Pomysł po prostu jej się przyśnił.

– Pchałam Owena w tym jego koszmarnym wózku z państwowego przydziału, ale w poręczy był otwór na monety. Ludzie podchodzili i wrzucali tam po funecie. A wtedy za każdym razem wózek robił się coraz lepszy, aż wreszcie zmienił się w taki najwyższej klasy, elektryczny – wspominała.

Następnego ranka Colleen wcześniej się obudziła i powiadomiła Willa, że zamierza zorganizować „spacer za funta” z wózkiem inwalidzkim, żeby zebrać dla Owena na nowy pojazd od 8 do 12 tysięcy. Koszt zależał od rozwiązań technicznych. Obliczyła, że gdyby każdy z ich przyjaciół (i fanów Haatchiego na Facebooku) ofiarował po funcie, zgromadziliby kwotę co najmniej na zaliczkę. Celem Colleen było przejście na piechotę w jeden dzień od szpitala w Southampton do Basingstoke, gdzie mieszkali, czyli 50 kilometrów.

Dzięki niezwyklej hojności kolegów z pracy para zyskała wielką zachętę w postaci dotacji 5 tysięcy funtów z przeznaczeniem na pokrycie części kosztów nowego wózka. A potem, gdy Colleen założyła na Facebooku stronę poświęconą charytatywnej wędrownicy, zostali dosłownie zasypani datkami. Mimo prośby o wpłatę jednego funta, niektórzy przesyłali nawet 300 funtów i to również z tak odległych miejsc jak Ameryka. Na początku Colleen sądziła, że zaszła jakaś pomyłka, więc kontaktowała się z ofiarodawcami i wyjaśniała, że chodziło tylko o symboliczną jednofuntową pomoc. Jednak, jak się okazało, wszyscy darczyńcy bardzo dobrze zrozumieli jej apel, tylko po prostu chcieli wpłacić więcej. Colleen była zdumiona.

Wędrowka została zaplanowana na grudzień 2012 roku. Para w samą porę zdołała zebrać 3 tysiące funtów, których jeszcze brakowało. A wtedy firma produkująca wózki inwalidzkie powiadomiła ich, że nie muszą płacić podatku VAT, bo Owen jest zarejestrowany jako osoba niepełnosprawna. Tak więc cena, którą – jak sądzili – trzeba było zapłacić, nieoczekiwanie zmalała o dwadzieścia procent. Colleen natychmiast ogłosiła tę informację na Facebooku i poprosiła, żeby ludzie przestali już przysyłać pieniądze. Wielu zwolenników Haatchiego i Little B było pod wrażeniem jej uczciwości; tak czy inaczej nadal wpływały datki.

W końcu Colleen i Will przekazali nadwyżkę w wysokości 1068 funtów organizacji dobroczynnej Starlight, która ofiarowuje jednodniowe wycieczki i prezenty nieuleczalnie chorym dzieciom i ich rodzinom.

Na marsz z Southampton do Basingstoke Colleen i Will przygotowali T-shirty z napisami: „Nigdy nie idź sam”, a z tyłu: „Nieważne, ile masz nóg albo kół. Ważne, kto z tobą wędruje”.

Pewna nowa przyjaciółka zgodziła się dostarczyć partię specjalnych lizaków w kształcie mordki Haatchiego – do jedzenia i rozdawania po drodze – ale w ostatniej chwili odmówiła przyjęcia zapłaty. Niespodziewanie wygrała 500 funtów na loterii i

była przekonana, że ten szczęśliwy traf to zasługa dobrej karmy Haatchiego.

W marszu towarzyszyło Colleen dwoje przyjaciół: Laura Edmonston i Max Rafferty, chłopak jednej z jej najbliższych koleżanek Lisy Ford. Od czasu do czasu, dla moralnego wsparcia, dołączali do nich Will, Haatchi i Little B. Liczni przyjaciele wraz z dziećmi i psami dopingowali wędrowców na trasie, a inni darczyńcy mogli śledzić rozwój sytuacji na Facebooku i YouTube. Kiedy troje wędrowców – ciężkim krokiem, ale z lekkimi sercami – dotarło w końcu do szpitala w Basingstoke, czekali już tam na nich Haatchi i Little B.

Nowiutki wózek inwalidzki został Owenowi zaprezentowany jako niespodzianka w sklepie Natural Instinct, podczas rutynowego odbioru surowej karmy dla Haatchiego. Will sfilmował moment, gdy jego synka poproszono, żeby ściągnął z wózka białe prześcieradło. Udało się zrobić zbliżenia twarzy Little B, który na widok zachwycającego pojazdu gwałtownie chwyta powietrze.

Jaskrawoniebieska supernowoczesna maszyna z napędem na cztery koła – dzięki czemu mogła jeździć w terenie – miała światła i kierunkowskazy, pałąk ochronny, klakson, rajdowe pasy i indywidualną tablicę rejestracyjną „Owen”.

Po pierwszej rundce (jak zawsze z Haatchim u boku) Little B uśmiechnął się szeroko i wyraził aprobatę dla swojego niesamowitego środka transportu. „Totalny odlot!”, brzmiał werdykt.

Rodzina Owena miała wielką nadzieję, że ten wózek będzie dla niego zachętą – bardzo jej potrzebował w okresie adaptacji w nowej szkole i w nowej fazie życia, która niewątpliwie go przerażała.

# Rozdział 5

*Jest twoim przyjacielem, twoim towarzyszem, twoim obrońcą, twoim psem. Ty jesteś jego życiem, jego miłością, jego przywódcą. On będzie twój, wierny i lojalny, do ostatniego uderzenia serca. Musisz być wart takiego oddania, jesteś mu to winien.*

Autor nieznany

Pierwszego dnia nowej szkoły Will i Colleen zabrali do samochodu Haatchiego, żeby Little B mógł się pochwalić swoim przyjacielem. Widok trójłapego kudłacza wywołał wielkie poruszenie, które rodzina z największą przyjemnością wykorzystała.

Szkolni koledzy Owena byli w idealnym wieku, żeby nauczyć się czegoś zarówno na temat niepełnosprawności, jak i dobrego traktowania zwierząt. Na Colleen szczególne wrażenie zrobiła reakcja dzieci, kiedy Haatchi, merdając resztką ogona, przemawiał do nich w czystym „dialekcie Scooby-Doońskim”. Jako trenerka od początku planowała wyszkolić owczarka na psa terapeutycznego i im dłużej obserwowała, jak ludzie na niego reagują, tym bardziej jej zależało, żeby osiągnąć ten cel.

Pełni nadziei, że wszystko dobrze się ułoży, zostawili Little B pod opieką nowej nauczycielki. Jednak po powrocie do domu chłopiec wybuchnął płaczem, czym naturalnie wzbudził ich niepokój. Podczas gdy Owen wtulał twarz w szyję Haatchiego, Will przestraszony, że ktoś dokuczał synkowi, usiłował dociec, co takiego się wydarzyło.

– Nie lubię, jak dziewczyny mówią, że jestem słodki!, wyszło chał wreszcie Little B. Will i Colleen bardzo starali się nie roześmiać.

Wkrótce odkryli, w czym rzecz. Kiedy koleżanki nazywały Owena „słodkim”, on sądził, że chodzi im o to, że jest taki mały. Minął tydzień, zanim zdołali go uspokoić, a Will musiał wielokrotnie tłumaczyć, że w określeniu „słodki” nie ma absolutnie nic złego.

– Ja tam byłbym zachwycony, gdyby dziewczyny z klasy uważały, że jestem

uosobieniem słodczy!, twierdził uparcie.

Po niedługim czasie Owen pokochał swoją nową szkołę – zwłaszcza że cały personel i inni uczniowie po prostu jedli mu z ręki. Kiedy odkrył w sobie psotne poczucie humoru, wypracował zawadiacki styl i wkrótce miał już krąg przyjaciół gotowych zażarcie go bronić.

Podobnie też jak jego tata, lubił wszystko, co związane z techniką. Szczególnie dobry był w matematyce, nieźle sobie radził z pisaniem i rysowaniem, ale z czytaniem i francuskim też nie najgorzej. Zarówno w klasie, jak i poza nią znajdował mocne oparcie w przyjaźni i wydawało się, że każdy chętnie go wspiera.

Jego dwie szkolne opiekunki, panna O'Hagan i pani Hayward – koszt dzielonego przez nie etatu ponosiła szkoła do spółki z lokalnymi władzami – na zmianę pomagały mu w sprawach, z którymi miał kłopot, takich jak korzystanie z toalety czy z rzeczy poza jego zasięgiem. Will ostrzegł obie kobiety, żeby nie pozwoliły Owenowi wykorzystywać sytuacji, co było ważne, bo chłopiec musiał nauczyć się być niezależny.

Will chodził do szkoły anglikańskiej, więc początkowo bardzo chciał, żeby jego syn też do takiej uczęszczał, ale najbliższa okazała się niezbyt dobrze przystosowana do potrzeb niepełnosprawnych, więc mogłaby się stać „logistyczną zmorą”. Nowa podstawówka Owena była pod tym względem o wiele odpowiedniejsza, a personel nie mógłby dla Little B robić więcej. Już po kilku dniach rodzina wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Will i Colleen zawsze podkreślali, że Owen, nie licząc problemów ze skurczem mięśni, jest całkowicie w normie, więc to ważne, żeby traktowano go jak każdego chłopca w jego wieku. Oczywiście miał kogoś do pomocy w związku ze swoją fizyczną ułomnością, a dzięki nowej bryce potrafił nadążyć za resztą klasy.

I tak jak każdemu małemu chłopcu, trzeba mu było przypominać, żeby się grzecznie zachowywał, odrabiał lekcje, jadł warzywa i w dni powszednie nie wysiadywał do późna przy grach komputerowych.

Pocziwy, łagodny Haatchi też musiał być od czasu do czasu karcony. Chociaż kochał ludzi i dobrze znosił obcych, nawet na zatłoczonych pokazach, jego natura anatolijskiego psa stróżującego objawiła się tak – zwłaszcza gdy czekał na Owena z nosem przy szybie – że zaczynał regularnie obszczekiwać każdego, kto przechodził w pobliżu domu. Instynkt nakazywał owczarkowi bronić swojej rodziny i dlatego Haatchi ujadał też na wszystkie psy (szczególnie te nerwowe albo agresywne), które postrzegał jako zagrożenie. A ponieważ miał głos niczym syrena okrętowa, to zwykle wystarczało,



żeby odstraszyć intruzów. Oraz ich właścicieli.

Z początku Colleen martwiła się tymi hałasami, ale potem pewna poznana na Crufts hodowczyni anatolianów rozproszyła jej obawy. Powiedziała, że życzliwa sława, którą zyskiwał Haatchi, może być korzystna dla całej jego rasy, bo owczarkom anatolijskim właśnie z powodu ich skłonności do zagorzałego pilnowania groziło, że znajdą się na oficjalnej liście psów niebezpiecznych. Hodowczyni miała nadzieję, że powszechnie znana łagodność Haatchiego może ocalić rasę przed błędną oceną.

Spokojne zachowanie ich psa w obecności ludzi (oprócz tych, co przechodzili mu pod oknem) przekonało rodzinę, że w jakimś momencie swojego młodego życia Haatchi doświadczył miłości, chociaż nikt nigdy się po niego nie zgłosił. Zdawało się, że zna ludzką dobroć, co doprowadziło Colleen do wniosku, że swoje pierwsze tygodnie musiał spędzić w miejscu, gdzie był kochany – zwłaszcza przez dzieci (bo zawsze dobrze na nie reagował). Potem coś się wydarzyło. Może urósł za duży, może stał się zbyt niesforny lub zbyt kosztowny i został oddany albo skradziony. Niestety, tamten etap skończył u człowieka, który zabrał go na tory kolejowe i obszedł się z nim tak okrutnie. Jednak oboje z Willem odsuwali od siebie mściwe myśli.

– Wierzę w karmę – powiedziała Colleen. – Obecność Haatchiego tylko umocniła we mnie tę wiarę. Każdemu, kto mu pomaga, wyraźnie przytrafiają się dobre rzeczy. Nam też. Mam nadzieję, że ktokolwiek wyrządził mu krzywdę, widzi teraz, że dzięki Haatchiemu życie wielu ludzi zmieniło się na lepsze. Pies, którego próbował zabić, ma się świetnie, a przy tym jest radością i pociechą dla innych, zwłaszcza dla pewnego dziecka. Ten ktoś mógł sobie planować, że zniszczy to istnienie, ale jego plan miał odwrotny skutek.

Dzięki pogodnemu usposobieniu owczarka rodzina skoncentrowała się tylko na tym, co dobre. Szybko doszli do wniosku, że gdyby Haatchi nie został przedtem potraktowany tak okrutnie, nigdy nie spotkałby się z Owenem. Teraz, właśnie dzięki Haatchiemu, mogli na światową skalę upowszechnić świadomość, że istnieje ta rzadka choroba, na którą cierpi Little B, i informować, na czym ona polega, a także ogólnie propagować wiedzę o niepełnosprawności i opiece nad zwierzętami. To, jak bardzo Haatchi zmienił życie Owena, było dla nich wszystkich czystym cudem. Więc zamiast uważać ten cud za rzecz oczywistą i zatrzymywać tylko dla siebie, starali się podzielić swoim dobrem z innymi. Angażowali się – także ze względu na Little B – w mnóstwo imprez charytatywnych i dążyli do tego, żeby Haatchi został psem

terapeutycznym.

Szkolenie Haatchiego na psa wykorzystywanego w zooterapii (w Wielkiej Brytanii takich psich terapeutów jest około 5 tysięcy) rozpoczęło się, kiedy owczarek miał niewiele ponad pół roku. Colleen najpierw fachowo oceniła stan zdrowia, temperament i predyspozycje anatoliana, potem nauczyła go, jak reagować na parę podstawowych komend (typu „siad”) i jak grzecznie brać smakołyk. Haatchi przyswoił te umiejętności niemal zupełnie naturalnie. Kolejną próbą był hałas. Colleen wywołała w pobliżu niezłe zamieszanie – z hukiem pękały balony, spadały ciężkie przedmioty, przeraźliwie brzęczały dzwonki – po to, żeby upewnić się, czy pies zachowa spokój. Ani razu nie zareagował nerwowo, traktował to po swojemu – zupełnie na luzie.

Haatchi często brał udział w imprezach charytatywnych i pokazach psów, poza tym rosła liczba jego fanów na Facebooku i Twitterze, dlatego rodzina zaczęła otrzymywać prośby, żeby pies odwiedzał różnych chorych i rannych. Pewna pani, poznana na wystawie Crufts, bardzo kiepsko się czuła i niemal bezwładnie siedziała w wózku inwalidzkim, ale kiedy zobaczyła Haatchiego, jej uśmiech „mógł rozświetlić cały Londyn”.

Wielbicielką Haatchiego była także dziewczynka z Southampton, która zakochała się w nim na pokazie psów i zaczęła na Facebooku obserwować jego stronę. Kiedy okazało się, że mała idzie do szpitala na poważny zabieg, Colleen zapytała jej rodziców, czy córeczce sprawiłoby przyjemność, gdyby Haatchi ją odwiedził. Potwierdzili bez wahania.

Ze względu na ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, aby móc przekroczyć próg szpitala albo domu opieki, Haatchi musiał jeszcze zostać oficjalnie zarejestrowany jako pies terapeutyczny. Ten system ma zapewniać dopasowanie odpowiedniego psa do danego miejsca i pacjenta, zależnie od rozmiarów zwierzęcia i jego temperamentu. Jednak Colleen tak bardzo chciała podnieść dziewczynkę na duchu, że zawiozła owczarkę do szpitala w nadziei, że chora zdoła go zobaczyć chociaż przez okno swojej sali.

Kiedy Haatchi znalazł się przed szpitalnym wejściem, drzwi szybko zablokował tłumek, który chciał go głaskać albo się z nim witać. Pielęgniarka z oddziału dziewczynki wyjrzała przez okno, zobaczyła, co się dzieje, i pozwoliła wprowadzić psa. Colleen wzięła głęboki wdech i powiedziała do swojego podopiecznego: „No

dobra, koleżko, zobaczymy, jak sobie z tym poradzisz!” Podłogi w szpitalu były wypolerowane na połysk, ale owczarek jakoś dał radę iść. Już na oddziale skierował się prosto do sali, gdzie leżała dziewczynka, i delikatnie trącił nosem jej rękę, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczył Owena. Rodzice małej z trudem powstrzymali ją, żeby nie wyskoczyła z łóżka, by objąć puchatego gościa.

Colleen podarowała jej naszyjnik z motylami i odrobinę perfum, a po kilku dniach zadzwonili rodzice dziewczynki, żeby przekazać dobre wieści: chora szybko wraca do zdrowia i niedługo wyjdzie ze szpitala. Wszystkie pozostałe dzieci na oddziale też chciały zobaczyć Haatchiego, łącznie z pewnym chłopcem, tak słabym, że ledwie mógł unieść głowę, ale kiedy dostrzegł trójłapego psa, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Odwiedziny w szpitalu były dla Colleen bardzo poruszające. Mówiła potem, że od tamtego dnia miała bajkową wizję, jak to mali pacjenci czują się lepiej na sam widok owczarka. W rzeczywistości niektórym z nich nic już nie mogło pomóc. Co ciekawe, chociaż niemal wszystkie dzieci były z tego spotkania zadowolone, Haatchi chyba największy wpływ wywarł na ich rodziców. Zupełnie jakby ofiarował im pięć minut wolnego od zmartwień. Okazał się również miłą odmianą dla szpitalnego personelu – nawet dla pielęgniarki, która podobno przedtem bała się psów.

Colleen i Will na własne oczy widzieli, ile radości daje Haatchi, dlatego nadal odwiedzali na terenie Londynu i okolic każdego, komu mogła pomóc obecność ich psa. Owczarek świetnie sobie radził, rewelacyjnie poprawiał nastrój ludziom w podeszłym wieku, a także tym z lękami i depresją. Na twarzach wielu osób udało mu się wywołać uśmiech.

W jednej z placówek miał doskonały wpływ na dziewięciolatka z zespołem nadpobudliwości psychoruchowej (ADHD). Chłopiec stale rozglądał się to tu, to tam i nie mógł usiedzieć w miejscu, ale wystarczył jeden rzut oka na psa i malec uspokoił się tak niespodziewanie, że jego matka aż się rozplakała, bo od bardzo dawna nie widziała synka równie zadowolonego i spokojnego.

Rodzinie szczególnie zależało, żeby Haatchi pracował z weteranami, którzy odnieśli obrażenia w akcji. Kiedy Will służył w Afganistanie i Iraku, kilku jego kolegów było poważnie rannych. Chociaż od dawna słyszał, że terapia z udziałem zwierząt pomaga żołnierzom w powrocie do zdrowia, dawniej traktował tę formę leczenia trochę sceptycznie. Jednak obserwując, jak Haatchi wpływa na Owena, uświadomił sobie, że naprawdę coś w tym jest.

Uznał, że ich anatolian mógłby szczególnie skutecznie oddziaływać na tych, którzy stracili w walce kończyny. Na imprezach charytatywnych i pokazach psów parokrotnie spotykali osoby po amputacjach. Na przykład pewien mężczyzna podziękował im, że uratowali Haatchiego, po czym podciągnął nogawkę i z dumą zaprezentował swoją protezę. Will i Colleen mogli więc się przekonać, jak niepełnosprawni reagują na trójłapego olbrzyma. Marzyli, żeby zabrać owczarka do Headley Court w Surrey i do prowadzonego przez Help for Heroes ośrodka w Tedworth House Wiltshire – dwóch czołowych brytyjskich centrów rehabilitacji.

Na razie jednak Haatchi był regularnym i mile widzianym gościem w miejscowym hospicjum i w szpitalu niedaleko ich domu. Podczas jednej z wizyt przykuśtykał do żołnierza, któremu ze wszystkich kończyn została tylko ręka, i ciężko kłapnął tuż obok niego. Później personel opowiadał, że mężczyzna był tak strasznie przygnębiony, że z trudem udało się go nakłonić do spotkania z – jak mawiają Colleen i Will – „naszym kudłatym, gigantycznym przytulakiem”. Jednak gdy zobaczył, że Haatchi tak dobrze sobie radzi na trzech łapach, nie trzeba było wiele czasu, żeby okaleczony weteran psychicznie poczuł się lepiej.

Wieści o historii Haatchiego i o tym, jak ten pies działa na ludzi, szybko się rozchodziły. W październiku 2012 roku owczarek został nominowany do specjalnej nagrody International Fund for Animal Welfare (IFAW), jednej z największych na świecie organizacji charytatywnych na rzecz zwierząt. Jego kandydaturę wysunął Jez Rose, trener i specjalista od psich zachowań. Jez znał Colleen z zajęć specjalizacyjnych i był głęboko poruszony opowieścią o Haatchim. Dyrektor brytyjskiego oddziału IFAW, Robbie Marsland, powiedział:

– Kiedy usłyszeliśmy niezwykłą historię o przetrwaniu Haatchiego i o jego wyjątkowej więzi z Owenem, wiedzieliśmy, że ten anatolian musi być naszym Zwierzęciem Roku.

Ceremonia wręczenia nagród IFAW – Animal Action Awards – odbyła się w Izbie Lordów, a gospodynią tej uroczystości była baronessa Gale. Haatchi otrzymał trofeum z rąk Briana Maya, gitarzysty Queen. Brian zdobył sławę nie tylko jako muzyczna gwiazda, ale również ze względu na zaangażowanie w ochronę zwierząt. Colleen uważa, że wspaniale radził sobie z Haatchim i Owenem, który z kolei zachowywał się tak, jak gdyby codziennie spotykał legendy rocka. Rodzina została potraktowana po królewsku, a Little B był uszczęśliwiony. Siedział u szczytu stołu i wszyscy do niego

podchodzili, żeby porozmawiać, łącznie z lordem speakerem<sup>[11]</sup> i telewizyjną sławą, ornitologiem Billem Oddiem. Później na Riverside Terrace reporterzy zrobili pamiątkowe zdjęcia. Widać na nich, jak Owen unosi szklane trofeum. Tego dnia rodzina nigdy nie zapomni.

Po powrocie do domu Haatchi nadal jakimś cudem odzyskiwał zdrowie, czym wprawiał w zakłopotanie weterynarza i zaprzeczał wszystkim ponurym prognozom na temat swojego kalectwa. W ciągu roku, odkąd został uratowany, nauczył się tak sprawnie poruszać na trzech łapach, że potrafił nadążyć biegiem za Mr Pixelem i innymi psami Colleen. Kiedy był w szczytowej formie, wydawało się, że mimo przeszkód nie ma zadania, któremu by nie podołał.

Żeby wesprzeć przyjaciół i sponsorów, rodzina zadeklarowała udział w kolejnej marcowej wystawie Crufts. Ogromnie się cieszyli, bo Haatchi został nominowany do upragnionej nagrody Friends for Life (Przyjaciele na całe życie), o której decyduje głosowanie publiczności. Wybrany do finału spośród przeszło 200 tysięcy psów, owczarek anatolijski konkurował z czterema innymi zwierzętami. Wszystkie one otrzymały nominację ze względu na swoje oddanie lub wybitną odwagę. Jednym z finalistów był Brin, bezdomny afgański pies. Szczekaniem uratował życie dwóm żołnierzom, alarmując ich o prowizorycznej minie lądowej, a potem przetrwał niewolę u talibów. Do nagrody kandydował również owczarek belgijski Janus. Jako pies policyjny w West Midlands doprowadził do ponad 400 aresztowań. Z kolei Daisy rasy bulmastif pomogła rodzinie dojść do siebie po stracie sześciolatniego synka, a dzięki Maksowi i Ziggy'emu – dwóm psom towarzyszącym<sup>[12]</sup> – ich właściciele znaleźli miłość.

Owen był zachwycony nominacją, a jeszcze bardziej się przejął, gdy w ramach ogólnokrajowego Dnia Chorób Rzadkich obaj z Haatchim – jako postacie już publicznie znane – zostali zaproszeni do programu *This Morning* prowadzonego przez Holly Willoughby i Phillipa Schofielda.

Z uniesioną głową i z tym swoim nieprzeniknionym uśmiechem powiedział przed kamerami: „Bałem się obcych ludzi, a potem zjawił się Haatchi i teraz już się nie boję. Właściwie nie spotykałem zbyt wielu niepełnosprawnych. Czułem się tak, jakbym do innych nie pasował, i było mi smutno. Ale później zobaczyłem Haatchiego, zobaczyłem, jaki jest silny, chociaż ma tylko trzy łapy. I też stałem się silniejszy.

Bardzo go kocham”. Holly i Phillip byli oczarowani. Na zakończenie życzyli Owenowi powodzenia na Crufts.

Organizatorzy słynnej wystawy psów przygotowali krótkie filmiki. Prezentowali na nich każdego z finalistów, żeby publiczność, głosując telefonicznie, mogła wybrać zwycięzcę. Owen został sfilmowany na kanapie, obok swojego wyjątkowego owczarka. Uściskał go i przedstawił: „To mój najlepszy przyjaciel Haatchi”.

Ta scena chwyciła widzów za serca.

Później księżna Yorku przesłała chłopcu pluszowego pieska corgi z Buckingham Palace, a cała masa innych życzliwych osób zasypała Owena kartkami, zabawkami i słodyczami.

I właśnie wtedy wydarzyła się katastrofa. Miesiąc przed wyjazdem rodziny na Crufts, gdzie mieli się dowiedzieć, ile głosów zebrał Haatchi, w pewien mroźny lutowy wieczór owczarek wydostał się do ogrodu przez (teraz już wielgachną) klapę w drzwiach i wesoło pogonił za Mr Pixelem. Niestety nagle wpadł w poślizg na oblodzonej ziemi. Will i Colleen usłyszeli tylko donośne „łup”, a potem cichutkie skomlenie. Wybiegli na dwór i zobaczyli go: leżał, spoglądając na nich żałośnie. W pierwszej chwili Colleen przeraziła się, że złamał kręgosłup.

W końcu jakoś zdołali dotaszczyć olbrzyma do domu. A potem, owiniętego w ręczniki, położyli na jego wielkim, miękkim pośłaniu razem z ulubionym pluszakiem Jeżem Haroldem (prezenterem od sympatyków, a zarazem jedyną zabawką, której nie porwał na strzępy). Przez następne dwa dni Haatchi ledwie się ruszał. Colleen i Will ogłosili w sieci, że ma, jak to nazwali, „auć-auć”. Weterynarz, który pierwszy go oglądał, uznał, że pies musiał zrobić szpagat, bo naderwał sobie odwodziciele, mocno nadwreżył mięśnie brzucha i klatki piersiowej. Zwichnął też tylną łapę i naciągnął przednie. Naprawdę auć-auć!

Owen, kiedy tylko mógł, leżał na pośłaniu Haatchiego i przytulał poturbowanego kumpla. Will i Colleen często przyłapywali przyjaciół na sekretnych szeptach, ale te rozmowy – jak jasno dał do zrozumienia Little B – dotyczyły wyłącznie jego i jego psa. Chłopiec dobrze wiedział, co to ból, znał to uczucie przez całe życie. I tak jak obaj zawsze akceptowali swoją inność, teraz też działali wspólnie, żeby pokonać problemy, jakie doskwierały każdemu z nich.

Nawet po ustąpieniu opuchlizny rodzina obawiała się, że powrót do zdrowia może Haatchiemu zająć jeszcze sporo czasu. Will i Colleen z wysiłkiem oszczędzali na swój

ślub w sierpniu, a tymczasem okazało się, że owczarek potrzebuje kosztownej hydroterapii i innych zabiegów. Z początku w ogóle nie wolno mu było wychodzić na dwór. Potem przez parę tygodni, jeśli nie miesięcy, mógł być zabierany wyłącznie na krótkie spacerki. Dom w zasadzie stał się jego powiększoną budą, co oznaczało, że ponownie musieli go przekonać do boksu z zeszłego roku.

Mimo radosnego usposobienia Haatchi był tymi ograniczeniami wyraźnie przygnębiony. Za każdym razem, gdy Will lub Colleen szli na spacer z Mr Pixelem i resztą psów, anatolian przeraźliwie wył, a potem siedział w oknie i skomlał, aż wszystkim krajały się serca.

Kupili specjalne szelki, żeby pomagać Haatchiemu się podnosić i utrzymywać na łapach, aż wreszcie Will pozwolił mu pokręcić się trochę po trawniku przed domem. To szalenie poprawiło psu nastrój. Z czasem rekonwalescent mógł już dokuśtykać aż do następnej posesji, żeby tam obwąchać trawę. A potem do jeszcze następnej i tak dalej.

Opiekunowie znowu musieli wozić go na sesje hydroterapii. Poddawany był też leczeniu ultradźwiękami i akupunkturze. Kiedy igły terapeutki Susanny Alwen trafiały w odpowiednie miejsce, Haatchi popadał w stan przypominający trans – leżał cicho i spokojnie, lekko się kołysząc, wpatrzony gdzieś w dal, jakby był najbardziej odprężonym i wolnym od bólu psem na świecie. Colleen sfotografowała go rozłożonego na specjalnej macie, całego pokrytego sterczącymi igłami i z miną, którą nazwała wyrazem półprzytomnej szczęśliwości.

Po pierwszej sesji akupunktury Haatchi spał przez pięć godzin bez przerwy, a gdy się obudził, całym swoim zachowaniem mówił: „Jejku! Czuję się lepiej!” Radośnie przemawiał w swoim psim języku i dosłownie uśmiechał się do obiektywu. Chociaż nadal groziła mu długa rehabilitacja, znowu był tamtym psem, którego znali i kochali.

Nie wyszedł jeszcze na prostą – co to, to nie – ale wyzdrowiał na tyle, że mógł w marcu pojechać z Owenem na Crufts i spotkać wielu swoich zagorzałych fanów, między innymi Jan Wolfe, która przyjaźniła się z Colleen na Facebooku, ponieważ obie interesował temat żywienia psów surową karmą.

Były też inne miłe niespodzianki. Firma OrthoPets Europe, której przedstawiciel widział owczarka na wystawie, ofiarowała Haatchiemu specjalną uprząż o nazwie „Help 'Em Up” (pomóż im wstać) z uchwytem. Dzięki niej podnoszenie małego niedźwiedzia na nogi było o wiele łatwiejsze niż w dotychczasowych szelkach. Nowa uprząż dawała też wsparcie, kiedy tylna łapa się męczyła. Dyrektora OrthoPets Roda

Hunta urzekła historia Haatchiego, więc cieszył się, że przynajmniej tyle jego firma może zrobić: zdawali sobie sprawę, że jeśli coś złego przydarzy się temu psu, to życie Owena też się pogorszy. Haatchi szybko przywykł do Help 'Em Up i już wkrótce za każdym razem bardzo się ekscytował na jej widok, bo kojarzył ją ze spacerem.

Ostatni dzień Little B i jego pies spędzili na poznawaniu wystawy oraz na pozowaniu do zdjęć (w wolnych chwilach pomiędzy głaskaniem a przytulaniem). Haatchi ze swoją dumną rodziną czekał na oficjalny werdykt, kto otrzyma nagrodę Friends for Life. Pięciu finalistów i ich właściciele zostali zaproszeni na główną arenę. Will i Colleen pomogli Haatchiemu i Owenowi zająć miejsca w blasku reflektorów, po czym prezenterka telewizyjna Clare Balding powiedziała kilka słów na temat nagrody. Zostały wyświetlone krótkie filmy o każdym kandydacie, a potem ze wszystkimi właścicielami nominowanych psów przeprowadzono na żywo wywiad dla BBC.

„Dzięki Haatchiemu jestem bardziej pewny siebie”, oświadczył cicho do mikrofonu Owen oślepiony jupiterami. A potem zupełnie zamilkł – w ten sposób pozwolił publiczności zrozumieć, jakim bardzo nieśmiałym chłopcem był jeszcze niedawno.

Gdy światła na widowni przygasły, John Spurling, wiceprezes Kennel Club<sup>[13]</sup>, wziął mikrofon, otworzył specjalną kopertę i obwieścił: „Zwycięzcami konkursu Friends for Life pięćdziesięcioma czterema procentami głosów zostają... Owen i Haatchi!”

Rozległy się donośne wiwaty. Buzię Little B rozpromienił szeroki uśmiech, a wzruszony Will pochylił się do synka, żeby go uściskać i ucałować. Laureatowi wręczono duży kryształowy puchar, a potem ekipy telewizyjne ustawiły się w kolejce do Owena, który tulił w objęciach swoją nagrodę. Z Haatchim, siedzącym spokojnie obok, chłopiec – chociaż rok wcześniej przerażał go blask jupiterów – uśmiechnął się radośnie do kamer i powiedział: „Ekstra jest wygrać. Strasznie się cieszę, że to dostałem. Chcę wam wszystkim podziękować, że na mnie głosowaliście”. Dodał jeszcze, że Haatchi to „najfajniejszy pies na świecie”, a na koniec oświadczył: „Jestem bardziej niż zadowolony. Jestem mega, mega, megazadowolony!”

Will i Colleen otrzymali 1500 funtów, żeby ofiarować je dowolnej instytucji charytatywnej. Wybrali hospicjum dziecięce Naomi House niedaleko ich miejsca zamieszkania, w Hampshire. A Owen dostał też trochę przypinanych znaczków z igrzysk olimpijskich, bo tak bardzo lubił oglądać ze swoim tatą paraolimpiadę i mówił, że chciałby w przyszłości zostać paraolimpijczykiem.

Na koniec tych niesamowitych paru dni Will dumnie obwiózł syna wokół areny.



Podczas swojego zwycięskiego okrążenia Little B przy wtórze oklasków machał do widowni, a szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

# Rozdział 6

*Nie ma wiary, która nie została zachwiana, z wyjątkiem tej, jaką ma w sobie wierny pies<sup>[14]</sup>.*

Konrad Lorenz

Zanim dzięki nagrodzie na wystawie Crufts Owen i Haatchi trafili do serwisów informacyjnych na całym świecie, starszy kapral Will Howkins podjął ważną decyzję.

Mimo radości, że niezwykle pies odmienił życie jego synka na lepsze, Willowi nie zawsze łatwo było zachować optymizm, bo stan zdrowia Owena budził coraz więcej obaw. Skurcz mięśni i jego negatywny wpływ na wzrok dziecka zdecydowanie się nasiliły, podobnie jak problemy z oddychaniem. Nieustanny ból, niewyraźne widzenie i kiepska równowaga sprawiały, że opieka nad chłopcem w szkole i u opiekunki, gdzie Little B spędzał po lekcjach kilka godzin tygodniowo, przysparzała coraz więcej problemów.

Ponieważ w ciągu zaledwie kilku lat stan Owena wyraźnie się pogorszył, teraz nikt już nie potrafił powiedzieć nic pewnego w kwestii prognoz długoterminowych.

Przeziębienia i kaszel nękały chłopca niemal od urodzenia. Z powodu szczególnie ciężkiej infekcji trafił nawet do szpitala w Southampton.

Mimo miłości Colleen i wsparcia, jakiego mu udzielała (podobnie jak obie rodziny i była żona), Will stawał się coraz bardziej psychicznie i fizycznie wycieńczony. Kiedy Kim była w Anglii, trochę go odciążała, zabierała synka na weekendy albo świąteczne wolne dni. Jednak teraz wyjechała po raz trzeci na misję do Afganistanu. Wysiłki, żeby pogodzić wymagającą pracę na cały etat z obowiązkami głównego opiekuna, zaczęły zbierać żniwo, zwłaszcza że co noc trzeba było nawet do sześciu razy sprawdzać, czy Owen dostaje tlen.

Colleen niepokoiła się, jak te wiecznie zarywane noce wpłyną na pracę jej narzeczonego. Will był specjalistą od systemu napędu helikopterów; życie żołnierzy zależało od tego, czy dobrze wykonuje swoje obowiązki, a on nigdy nie mógł się porządnie wyspać. Zwykle czuł się wykończony, jeszcze zanim dotarł do bazy, a potem

zajmował się, powiedzmy, ośmioma helikopterami naraz. Colleen obawiała się, że jego dalsza praca w takich okolicznościach to niemal brak odpowiedzialności.

A do tego dochodziły jeszcze inne obowiązki: odwożenie i przywożenie Owena ze szkoły, częste wizyty u lekarza i dietetyka, kolejne badania snu.

Dowództwo RAF-u życzliwie i ze zrozumieniem odnosiło się do tej trudnej sytuacji domowej, ale Will zalegał z zagraniczną misją i w niedalekiej przyszłości mający już wyjazd do targanej wojną Syrii. Narzeczeni martwili się, że zostanie wysłany w tak niebezpieczne miejsce, a poza tym obydwójce łamali sobie głowy, jak zorganizować opiekę nad Owenem, skoro obie – i Colleen, i Kim – pracowały od rana do wieczora.

Wkrótce Colleen doszła do wniosku, że jest tylko jedno rozwiązanie: Will musi opuścić Królewskie Siły Powietrzne. Doskonale zdawała sobie sprawę, że bardzo trudno mu będzie podjąć tę decyzję. Jednak skoro stanowczo obstawał, że Colleen nie powinna rzucać pracy, żeby w pełnym zakresie zaopiekować się jego synem (choć w razie konieczności zrobiłaby to), nie mieli innego wyjścia.

Mógł spróbować zatrudnić się w prywatnej firmie, choć nie potrafili wyobrazić sobie, żeby jakiś pracodawca szedł mu na rękę tak jak RAF, a już na pewno nie w tak trudnym okresie gospodarczym. Życie z jednej pensji nie zapowiadało się łatwo, mimo to Colleen zdecydowanie czuła, że Will musi spędzić kilka następnych lat ze swoim dzieckiem.

– Ta ich więź jest po prostu piękna – powiedziała – a nikt z nas nie wie, jak długo jeszcze będą razem.

Kiedy po raz pierwszy rzuciła pomysł, żeby narzeczony zrobił sobie przerwę w pracy zawodowej i zajął się tylko Owenem, natrafiła na opór. Zainspirowany przez wuja, dowódcę eskadry, Will wstąpił do RAF-u jeszcze jako nastolatek. Kochał swoją pracę i zawód, którego właśnie w wojsku się nauczył. Ostatnio dostał awans, a miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie sierżantem. Służył królowej i ojczyźnie w kraju i za granicą i nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby stać się, jak to nazywał, darmozjadem, który żyje z zasiłku opiekuńczego.

Colleen i rodzina Howkinsów natychmiast zaczęli mu tłumaczyć, że nie tylko ma prawo do przerwy po piętnastu latach lojalnej służby w siłach zbrojnych, ale również że naprawdę ciężko zapracuje na każdego pensa z wszelkich zasiłków, które by mu przysługiwały. W głębi duszy Colleen miała też nadzieję, że Will wreszcie znajdzie czas na swoje pasje – malowanie i golfa – i będzie mieć chwilę dla siebie po tych

mocno stresujących sześciu latach, odkąd u jego synka został zdiagnozowany zespół Schwartza-Jampela.

Ponieważ narzeczony zadreślał się, nie mogąc podjąć decyzji, zapytała go w końcu: „Czego naprawdę chcesz?” Odparł: „Być z Owenem”. Więc powiedziała mu, że w takim razie już ma swoją odpowiedź.

W grudniu 2012 roku Will Howkins z mieszanymi uczuciami wziął odprawę i na własną prośbę odszedł z Królewskich Sił Powietrznych. Zaprosił kilku kolegów na spokojne pożegnanie przy piwie, a potem oddał mundur. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką kupił za pieniądze z odprawy, był nowy, ręcznie sterowany wózek inwalidzki – o wiele łatwiejszy do używania w domu niż poprzedni – z pełnymi kołami, specjalnie dla Owena pomalowanymi w morderki Haatchiego.

Little B bardzo chciał pokryć część kosztów wózka, więc poprosił ojca o pomoc w przygotowaniu różnych wypieków. Sam skrupulatnie mieszał ciasto i – choć ręce ciągle mu sztywniały – dekorował gotowe smakołyki, a potem zorganizował w szkole kiermasz, z którego dochód przekroczył 300 funtów.

A kiedy w styczniu otrzymał swoją nową brykę, wolał najpierw odpakować prezent dla Haatchiego, żeby jego najlepszy kumpel nie poczuł się pominięty.

Minęło trochę czasu, zanim Will przystosował się do innego trybu życia i roli taty w domu. Nienawidził myśli, że przestał zarabiać na dom, ale też nie należał do tych, co siedzą z założonymi rękami. W ciągu paru miesięcy przeszedł oficjalne szkolenie i weryfikację, po czym został na pół etatu asystentem nauczyciela w klasie Owena. Jako człowiek, który dobrze dogaduje się z dziećmi, a jednocześnie wie, co to wojskowa dyscyplina, był mile widziany zarówno przez uczniów, jak i przez personel, gdy tylko brakowało dodatkowej pary rąk do pracy.

Aby nie obciążać niskiego budżetu szkoły, w czasie klasowych wycieczek i wyjść używał samochodu dla osób niepełnosprawnych (który przysługiwał Owenowi) jako dodatkowego środka transportu dla syna i jego kolegów.

Natomiast w domu, według słów Colleen, stał się szefem kuchni – gotował i piekł dla całej rodziny. Oprócz tego zaczął jeździć na rowerze i założył własną firmę Haatchi Designs. Produkował zabawne kolorowe psie obroże i smycze z tkaniny. Wszystko to wymagało ogromnego psychicznego zwrotu, ale według Colleen Will jest doskonałym ojcem i świetną matką w jednej osobie.

– Teraz wreszcie może być cały dla Owena, dla Haatchiego i dla mnie.

Praca w domu dawała również więcej możliwości, żeby przeszukiwać Internet pod kątem informacji o chorobie Little B. Ponieważ zespół Schwartza-Jampela występuje tak rzadko i każdego chorego atakuje trochę inaczej, istnieje bardzo mało grup wsparcia, co może rodzić ogromne poczucie wyobcowania, a nawet prowadzić do depresji.

Kiedy pierwszy raz Will z Kim usłyszeli diagnozę, zbierali wiadomości w sieci i nawiązali kontakt z kilkoma osobami na świecie, które bezpośrednio poznały tę chorobę. Przez pocztę elektroniczną, Skype'a i czasami przez telefon podzieliły się one z Howkinsami swoim doświadczeniem i uświadomiły im wiele spraw związanych ze schorzeniem Owena.

Teraz dzięki popularności, jaką cieszyli się na portalach społecznościowych Haatchi i Little B, Willa i Colleen odnalazła rodzina nastolatka z Francji, który był w dość dużym stopniu niepełnosprawny i skazany na wózek. Zwrócili się do nich także rodzice innego chłopca. Początkowo lekarze zrobili błędne rozpoznanie i dziecko przeszło siedemnaście operacji nóg i stóp, łącznie z przedłużaniem kości, zanim zorientowano się, że przyczyną jego problemów jest zespół Schwartza-Jampela. Dopóki rodzice malca nie zobaczyli w telewizyjnych wiadomościach Owena i Haatchiego po wygranej na wystawie Crufts, myśleli, że ich synek jest jedyną osobą na świecie, która na to choruje.

Chociaż kontrakcja mięśni często z wiekiem się zwiększa, a stan chorego się pogarsza, bliskim Owena dodawało otuchy doświadczenie pewnego mężczyzny w Stanach, który z zespołem Schwartza-Jampela żył całkiem normalnie, a nawet prowadził samochód. Ożenił się i jedynym sygnałem choroby był wyraz jego twarzy.

Poprzez grupę wsparcia SJS<sup>[15]</sup> Will i Colleen nawiązali znajomość z Liz Guidry ze stanu Iowa; od jakiegoś czasu mieszkała ona w Suffolk z mężem Bobbym, pilotem US Air Force. U Liz zdiagnozowano zespół Schwartza-Jampela, kiedy w wieku dwóch lat zaczęła mieć kłopoty z przełykaniem. Sztywniały jej też nogi, co ograniczało możliwości ruchowe. Niemiecki lekarz, który pracował w jej rodzinnym miasteczku, wiedział o tej chorobie, ale nigdy przedtem sam się z nią nie zetknął. Zalecał małej Liz leki przeciwbólowe bez recepty. Od najmłodszych lat dziewczynka nauczyła się brnąć przez ból, ale pomogło jej rozciąganie i nigdy nie brała środków zwiotczających, po które musi sięgać tak wielu pacjentów z zespołem Schwartza-Jampela.

Jedyną zewnętrzną oznaką jej choroby jest silne napięcie mięśni twarzy, dlatego ma

przymrużone oczy i opadają jej powieki, które w końcu trzeba będzie operować. Liz wspominała, że zrobienie fotografii do paszportu okazało się istnym koszmarem. Wszystkie zdjęcia po kolei odrzucano, bo na każdym wyglądała tak, jakby zamknęła oczy.

Z powodu choroby ma też słaby wzrok i kłopoty z zębami, łatwo się męczy i nie może klęczeć albo siedzieć zbyt długo, bo cierpi na artretyzm kolan. Czuje, jak kolana uginają się pod jej ciężarem, utyka, gdy się zmęczy, nie może podnieść niczego ciężkiego ani uprawiać żadnego sportu. W nocy, jeśli leży na plecach, ma problem z oddychaniem. Tak czy inaczej, jest uważana za pierwszą na świecie pacjentkę z zespołem Schwartz-Jampela, która urodziła dziecko – mimo że to bardzo ją wyczerpało. Oboje z mężem poddali się szczegółowym badaniom genetycznym, żeby mieć pewność, że maleństwo nie odziedziczy tej choroby. Ich córeczka Autumn przyszła na świat przed czasem przez cesarskie cięcie, kiedy obkurczone mięśnie brzucha Liz zaczęły uniemożliwić dziecku dalsze normalne wzrastanie w łonie matki. Teraz dziewczynka jest zdrową ośmiolatką.

– Chociaż nikomu nie życzyłabym swoich przypadłości – powiedziała Liz – jestem szczęśliwa i daję sobie radę. Wiem też, że naprawdę mi się udało i często czuję się winna, że w ogóle należę do grupy wsparcia SJS. Ale też jestem dowodem na to, że przy tej chorobie istnieje nadzieja na normalne życie.

Rodzina Owena dowiedziała się również o Benie Elwym z Bostonu, chłopcu, u którego objawy zespołu Schwartz-Jampela prawdopodobnie najbardziej przypominały przypadek Little B. Matka Bena, Rani, jest nauczycielem akademickim; wykłada politykę zdrowotną w Szkole Zdrowia Publicznego. Píše artykuły do pism medycznych i prowadzi blog – właśnie w ten sposób, przez Internet, Kim nawiązała z nią kontakt.

Ben przyszedł na świat w 2001 roku, z dwoma wielkimi siniakami na główce. Był marudnym, ślamazarnym niemowlęciem, które dużo płakało i nie potrafiło obracać się z boku na bok. Kiedy miał dziewięć miesięcy, jego pałakowate nóżki nie mogły utrzymać ciężaru ciała. Niedługo potem fizjoterapeuta zasugerował, że dziecko może cierpieć na rzadką chorobę. Miesiąc później u chłopca wykryto problemy ze wzrokiem i słuchem, które bywają związane z zaburzeniami genetycznymi. Zanim dziecko ukończyło dwadzieścia dwa miesiące, został zdiagnozowany u niego zespół Schwartz-Jampela.

Rani powiedziała kolegom synka i swoich dwóch córek (żadna nie urodziła się z tym zespołem), że Ben przypomina Blaszanego Drwala (*Czarnoksiężnik z Krainy Oz*). „Zupełnie jakby miał naprawdę mocne gumki, które hamują każdy jego ruch”, wyjaśniała. „Jego mięśnie są tak napięte, że nie dają rosnać kościom”. Poprosiła, żeby dzieci naprężyły nogi i ręce, bo wtedy poczują chociaż jedną tysięczną tego, z czym jej syn musi borykać się w każdej chwili każdego dnia. A potem, żeby spróbowały poruszać się albo coś zrobić, kiedy ich ciała są tak naprężone.

Przed ukończeniem dwunastego roku życia Ben miał już za sobą dwadzieścia trzy operacje, z czego wiele dla skorygowania problemów z oczami, a pozostałe, żeby naprawić kręgosłup, biodra, nogi albo zapobiec dalszym uszkodzeniom. Wstawiono mu w kręgi tytanowe pręty, a w kolana i biodra metalowe płytki. Ben ciągle odwiedza ortopedów i niemal na pewno będzie potrzebował operacji wymiany obu stawów biodrowych. Osiem lat temu trzeba mu było zrobić tracheotomię, żeby zapobiec obturacyjnemu bezdechowi sennemu, bo inaczej mógł się w nocy udusić. Od drugiego roku życia używa balkonika, a od czwartego – wózka inwalidzkiego. Matka Bena powiedziała:

– Nie ma pomocy dla rodzin z tą chorobą. Żadnej literatury. Człowiek jest zdany sam na siebie. Każda operacja to dla lekarzy i dla nas przecieranie nowych szlaków. Nikt nie wie, czego się spodziewać. Tylko jeden genetyk, u którego byliśmy, widział w życiu dwa takie przypadki. Nikt nie zna odpowiedzi ani rozwiązań, więc po prostu musimy dzielić się wszystkimi informacjami, jakie mamy.

Pomimo fizycznych i medycznych ograniczeń oraz potrzeby stałej pielęgnarskiej opieki z powodu rurki tracheotomijnej Ben prowadzi względnie normalne życie, uczęszcza do zwyczajnej szkoły i uczy się tych samych rzeczy, co reszta dzieciaków z jego klasy. Latem 2013 roku wziął udział w swoim pierwszym wakacyjnym tygodniowym obozie technologicznym, podczas którego pomagał opracować nową grę komputerową. Lubi jeździć konno i na nartach (przywiązany do instruktora), w orkiestrze szkolnej gra na pianinie i perkusji. Jest również członkiem klubu szachowego, który spotyka się u niego w domu. Na wypadek utraty wzroku już teraz uczy się pisma Braille’a.

Rani powiedziała rodzinie Owena, że Ben wie, że jest inny, ale nie przychodzi mu do głowy, żeby przez to miał nie próbować czegoś nowego. Nauczyciel z obozu technologicznego nazwał chłopca „piorunochronem ściągającym szczęście”, który

rozzaśniał wszystkim każdy dzień.

– Te słowa i to, jak się po nich poczułam – opowiadała Rani – jeszcze długo, długo będą podsycać moją determinację.

Dodała też, że ona i jej bliscy byli zachwyceni, kiedy dowiedzieli się o więzi łączącej Little B z Haatchim. Bardzo by chciała, żeby Ben miał jakieś zwierzę, ale niestety jest uczulona na psy.

– Owen świetnie sobie radzi i wygląda na wspaniałego chłopczyka – powiedziała. – Bardzo się cieszę, że ma takiego wyjątkowego towarzysza.

Każdego dnia, odkąd Haatchi pojawił się w życiu rodziny, Will i Colleen byli wdzięczni za jego spokojną obecność, w której znajdowali oparcie. Wcześniej – mimo że oboje pracowali na etatach – owczarek i tak rzadko zostawał na dłużej sam, ale teraz zdecydowanie mu odpowiadało, że ma „tatusia” na stałe w domu.

Kiedy Will starał się przystosować do nowego trybu życia, pomocą i inspiracją był dla niego Haatchi ze swoimi umiejętnościami adaptacyjnymi. Ten obecnie już półtoraroczny pies zupełnie bez trudu zaaklimatyzował się w ich rodzinie i właśnie został jednym ze zwycięzców Endal Awards, konkursu czasopisma „Dogs Today”. Znalazł się w gronie psów i ludzi, którzy zrobili coś niezwykłego. Wręczenie nagród miało odbyć się w maju na wystawie London Pet Show w Earls Court. Ogłaszając na łamach czasopisma ich wygraną, Beverly Cuddy, redaktor naczelna „Dogs Today”, stwierdziła: „Kiedy widzi się Owena i Haatchiego razem, w oczach stają nam łzy. I są to głównie łzy radości... Nigdy dotychczas nie mieliśmy tylu nominacji dla kandydata na medal Endala. Oni zdobyli już każdą nagrodę i każde wyróżnienie, jakie tylko przychodzi wam do głowy, i nigdy sami nie zgłaszali własnej kandydatury... To jedna z tych historii z życia wziętych, które nadają się na świetną książkę albo podnoszący na duchu, obsypany nagrodami film”.

Haatchi i Little B – weterani programów telewizyjnych i innych występów – przywykli do swojej sławy, ale kiedy zostali zaproszeni do ITV na ceremonię wręczenia nagród British Animal Honours, prowadzoną przez znanego miłośnika zwierząt Paula O’Grady’ego, wiedzieli, że wspięli się na sam szczyt. Nagrody, które honorują najbardziej niezwykłe w Wielkiej Brytanii zwierzęta i poświęcających im życie ludzi, są przyznawane w dwunastu kategoriach. Haatchi otrzymał nagrodę Braveheart Honour. Wśród sędziów byli Virginia McKenna z Born Free Foundation i



Peter Egan z All Dogs Matter, organizacji charytatywnej, która jedna z pierwszych pomogła ratować owczarka. Rodzina została zaproszona do studia ITV w Elstree (hrabstwo Hertfordshire). Tam spotkali się z Paulem O’Grady i starym znajomym Owena, gitarzystą Queen, Brianem Mayem, ale muzyk miał wręczać nagrodę komu innemu.

Program był wcześniej nagrywany. Will i Colleen pomagali Haatchiemu w studiu – podtrzymywali owczarka przy użyciu uprzęży. Siedemnastego kwietnia Paul O’Grady pojawił się w *The One Show*, żeby promować British Animal Honours, i przedstawił fragment nagrania z Haatchim i Little B. Prezenterka Alex Jones miała łzy w oczach.

Ceremonia rozdania nagród była wyemitowana następnego wieczoru. Oglądały ją miliony widzów. Paul O’Grady przedstawił zdobywców Braveheart Award tak: „Czasami, gdy widzimy parę przyjaciół, trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek żyli osobno, jednak w przypadku Owena i Haatchiego niewiele brakowało, a nigdy by się nie spotkali”.

Publiczności zaprezentowano krótki film obrazujący straszliwą noc na torach, z komentarzem: „Istniało duże prawdopodobieństwo, że Haatchi nie przeżyje takich obrażeń”. Potem Paul O’Grady kontynuował: „A niecałe sto kilometrów od tego miejsca zmagął się ze swoimi problemami mały Owen”. Wtedy kamera pokazała Willa i Colleen. Mówili o tym, jak chłopiec ciągle cierpiał. Colleen powiedziała, że Little B to najdzielniejsza osoba, jaką spotkała, i że chłopiec ma prawo do wspaniałego życia tak jak każdy. „Cud, że Haatchi przetrwał”, dodała głosem pełnym emocji. „Poradzić sobie z tym, z czym on sobie poradził... to źródło inspiracji dla nas wszystkich. Naprawdę jestem Haatchiemu wdzięczna i nigdy nie zdołam mu się odpłacić za wszystko, co zrobił”.

Rupert Grint – aktor, który w filmach o Harrym Potterze grał Rona Weasleya – udekorował Haatchiego medalem Braveheart, a publiczność w studiu zgotowała chłopcu i jego psu owację na stojąco. Owen nie oglądał *Harry’ego Pottera*, uznał, że te historie są nudne, ale widział zdjęcia Ruperta Grinta i wiedział, że filmowy Ron jest sławny. Później Will i Colleen mówili, że Rupert był przeżyciwy i teraz Little B jest jego fanem.

Na widok reakcji publiczności Paul O’Grady zwrócił się do Owena: „Tylko popatrz! Wszyscy stoją! Nie zrobili tego dla mnie!”, i na czworakach przywitał się z Haatchim. Po czym skomentował elegancję Little B (garnitur i krawat). Stwierdził, że

ten laureat zawstydził go swoim szykiem, i żartobliwie poprosił, żeby następnym razem „pojawił się w ciuchach roboczych”.

Później z Owenem przywitali się Brian May i jego żona Anita Dobson, która razem z inną członkinią jury, panią Kelly Holmes, pozowała z chłopcem do fotografii. Little B poznał też Boba, kota z bestsellerowej książki *Kot Bob i ja*, oraz jego właściciela Jamesa Bowena.

Po sesji zdjęciowej Little B wycofał się w zaciszne miejsce i wypisał autograf dla Briana Maya, a potem czekał cierpliwie przed salą, żeby mu go wręczyć. Jednak zamiast słynnego gitarzysty pojawił się jakiś drugorzędny telewizyjny gwiazdor. Pomyślał, że Owen tkwi przy drzwiach ze względu na niego, i zapytał: „Chcesz mój autograf?”

„Nie”, odparł Little B, stanowczo kręcąc głową. „Czekam tu, żeby dać swój Brianowi Mayowi”.

Kiedy aktor oddalił się niezadowolony, z sali wyszedł Brian. Uprzejmie przyjął autograf, po czym szybko wrócił do sali, żeby wziąć dla Owena trochę naklejek z akcji protestu przeciwko odstrzałowi borsuków, i mianował chłopca honorowym członkiem swojej kampanii.

Raz jeszcze Little B i Haatchi potraktowali uroczyste wydarzenie tak jak zwyczajny fragment codzienności. Jediną oznakę, że Owen był trochę poruszony poznaniem różnych sław, jego bliscy dostrzegli dopiero później, kiedy Will przypadkiem usłyszał, jak syn pyta zupełnie obcych ludzi, czy znają osobiście jakieś gwiazdy rocka. A gdy odparli, że nie, oznajmił: „A ja znam. Briana Maya, widziałem się z nim dwa razy. To mój przyjaciel!”

Will i Colleen myśleli, że Haatchi bez problemu weźmie udział w wystawie London Pet Show, gdzie z rąk Allena Partona – niepełnosprawnego byłego oficera marynarki, którego wierny labrador Endal stał się inspiracją dla organizatorów tej nagrody – owczarek miał otrzymać medal Endala. Jednak po gali Animal Honours nie byli już tacy pewni. Haatchi był w niezłej formie, ale obrażenia po tym, jak się poślizgnął na oblodzonej ziemi, goiły się znacznie dłużej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Na początku kwietnia stało się jasne, że coś jest nie tak z tylną łapą. Jak obwieszczał post z tamtego tygodnia na Facebooku, „auć-auć” się pogorszyło.

Z polecenia Angeli Griffiths, właścicielki weterynaryjnego centrum rehabilitacji

Greyfriars i pierwszej osoby, która zdała sobie sprawę, że problem jest poważniejszy, niż z początku sądzili, Colleen i Will pojechali z Haatchim (ale dopiero, kiedy Owen wyściskał go dla otuchy) do kliniki Anderson Moores koło Winchester, na wizytę u chirurga zwierzęcego.

W odrestaurowanym spichlerzu weterynarz i jego wspólnik Andy Moores – specjalista od wymiany stawów u psów – obejrzeni Haatchiego i zdecydowali o dalszych badaniach. Tomografia komputerowa ocalałej tylnej kończyny wyjaśniła, dlaczego owczarek nie może w pełni wyzdrowieć. Biodro miał w dobrym stanie, ale łapa okazała się mocno zdeformowana, to wymagało poważnej operacji. Rzepka kolanowa wypadła z bruzdy, w której się porusza; tę przypadłość nazywa się zwknięciem rzepki. Piszczel poniżej i kość udowa powyżej były zgięte i skręcone. Należało je złamać i wyprostować. Zapowiadała się długa, ryzykowna i droga operacja. A koszty rehabilitacji i opieki pooperacyjnej groziły właścicielom psa niemalże ruiną.

Weterynarze wiedzieli, że finanse pary już i tak mocno się uszczupliły po tym, jak Will zrezygnował z pracy w siłach zbrojnych. Haatchi nie miał żadnego ubezpieczenia dla zwierząt, które by pokrywało wydatki związane z wcześniejszymi urazami. Idące w tysiące funtów koszty samej operacji w połączeniu z długim leczeniem zamkniętym i rehabilitacją pooperacyjną oznaczały, że pewnie łatwiej byłoby uspić owczarka. A też psu zaoszczędziłoby się cierpienie. Andy Moores oznajmił im posępnie, że jeszcze przeanalizuje skany z tomografii i rozważy, co można dla Haatchiego zrobić. Na ostateczny werdykt musieli poczekać dzień lub dwa.

Will i Colleen zawsze się obawiali, że nadejdzie chwila, kiedy Haatchi może potrzebować kólek. Firma OrthoPets, z której mieli jego uprząż, zaoferowała się, że wykona dla psa wózek i aparat ortopedyczny, jeśli rodzina zadecyduje, że jest taka konieczność. Ale oni mieli nadzieję odwlekać ten moment, jak długo się da, bo to jeszcze bardziej skomplikowałoby i tak niełatwą już sytuację.

Ale teraz naprawdę nie wiedzieli, co robić. Zawsze mówili, że postąpią tak, jak będą czuli, że chce tego Haatchi, i że decyzja będzie w dużej mierze zależała od Owena. Nigdy nie utrzymywaliby psa przy życiu na siłę. I chociaż utrata Haatchiego byłaby strasznym wstrząsem dla nich wszystkich, a zwłaszcza dla Owena, wydawało im się, że Little B – o ile ktoś mu to właściwie wytłumaczy – może znieść śmierć przyjaciela lepiej niż oni.

Bliscy łąz odwiedzi Haatchiego do domu i położyli się razem z nim na podłodze, Owen również. Całowali i przytulali wielkiego psa, który, choć był z nimi niewiele ponad rok, tyle już dla nich znaczył. Zdawali sobie sprawę, że jego operacja kosztowałaby małą fortunę – kwotę, której po prostu nie mieli. A ponadto nie wiedzieli, czy powinni skazywać Haatchiego na całe miesiące w klatce i za jakiś czas na kolejne zabiegi chirurgiczne.

Do podjęcia ostatecznej decyzji zostało im jeszcze kilka dni.

Później tamtego wieczoru dla ponad 300 tysięcy obserwujących na Facebooku Colleen zamieściła informację o diagnozie weterynarza i zdjęcia z tomografii. Stronę Haatchiego zalały wpisy ze słowami wsparcia i troski, które były dla pary dużym pocieszeniem. Oprócz dobrych myśli i serdecznych życzeń wielbiciele owczarka przesłali też trochę „piegowatych całusów”, „psich modlitw” i „drapania po brzuszku”. Osoby z wiedzą weterynaryjną lub osobistym doświadczeniem udzielały rad. Byli też tacy, którzy oferowali pomoc w finansowaniu operacji, jeśli zajdzie potrzeba, ale większość przypominała Willowi i Colleen, ile już przetrzymali, życząc im odwagi i siły na tę najnowszą próbę.

Rod Hunt z OrthoPets również się z nimi skontaktował. zaproponował, że porozmawia z ich weterynarzem o specjalnej uprząży lub aparacie ortopedycznym, których Haatchi może potrzebować. „To pies jeden na milion”, oświadczył. „Chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Ponieśliibyśmy porażkę, gdyby Haatchi tego nie przetrwał”.

Następnego dnia Will odebrał telefon od Andy’ego Mooresa. Weterynarz uważał, że chirurgiczna naprawa uszkodzenia jest możliwa, a co więcej, jego klinika postanowiła ograniczyć koszt operacji (ponad 9 tysięcy funtów) do 4 tysięcy. Natomiast firma ubezpieczeniowa Petplan UK, na specjalną prośbę redakcji czasopisma „Dogs Today”, zgodziła się wypłacić cztery tysiące jako część przyznanej owczarkowi nagrody Endala.

I znów fantastyczna osobowość Haatchiego sprawiła, że mogli mu pomóc pokonać przeciwności losu.

Nadal trzeba było zdobyć przynajmniej 4 tysiące funtów, żeby pokryć koszt leczenia pooperacyjnego, ale mimo to najnowsze wieści tak ich podniosły na duchu, że już wiedzieli: zdecydowanie zgodzą się na operację.

– Zawsze będziemy wdzięczni za życzliwość, hojność i profesjonalizm wielu, wielu

osób – powiedział Will. – Po raz kolejny Haatchi jakby wydobył z ludzi to, co w nich najlepsze. Mamy tylko nadzieję, że jego dobra karma przejdzie na wszystkich, którzy mu pomogli.

Tamten tydzień okazał się pełen emocji. W sobotę, bardzo na czasie, rodzinie złożył wizytę ktoś, kogo nigdy nie spodziewali się poznać – wolontariuszkę RSPCA Siobhan Trinnaman, tę samą, która ratowała Haatchiego na torach kolejowych.

Podczas Crufts owczarek spotkał się z Rossem McCarthym z Dogs and Kisses. W odwiedziny wpadła również Nicola Collinson, wolontariuszka, z którą podróżował ze szpitala Harmsworth do South Mimms. Kiedy znów zobaczyła psa, łzy zakręciły się jej w oczach.

– Nagle uświadomiłam sobie, że chociaż mój udział był znikomy, jednak pomogłam ocalić Haatchiego, żeby mógł trafić do Owena, Willa i Colleen – opowiadała potem. – Bardzo mnie to ucieszyło.

Również dzięki Nicoli, której chłopak Ben pracował jako przedstawiciel handlowy, Owen został wdzięcznym odbiorcą widokówek z różnych egzotycznych miejsc.

Siobhan Trinnaman, zaalarmowana przez jedną z pielęgniarek w Harmsworth o nowych kłopotach Haatchiego, skontaktowała się przez Internet z Colleen i zapytała, czy może ich odwiedzić. I wkrótce w towarzystwie swojej matki – bo ta marzyła, żeby poznać słynnego anatoliana – przyjechała z północnego Londynu do Basingstoke. I znów spotkała się z psem, który kiedyś nazywał się Bezpański: E10 i ciągle tkwił jej w pamięci.

Ciekawa reakcji Haatchiego Colleen obserwowała go w chwili, gdy zobaczył, jak Siobhan wchodzi do nich do domu. Przechylił łeb, obrzucił gościa szybkim spojrzeniem i pospieszył do niej, żeby się przytulić, jakby była jego dawno niewidzianą mamusią. A potem już nie chciał od niej odstąpić. Obie kobiety – Siobhan i jej matka – się popłakały. W tym przypadku z radości.

– Ogromnie się cieszyłam, że znów go widzę – wspominała Siobhan. – To było takie wzruszające. Wiem, że wielu ludzi ta historia przygnębia, ale dla mnie to historia z happy endem. Cokolwiek zdarzyło się wtedy na torach, miałam odczucie, że od kiedy Haatchi zamieszkał z Little B i jego rodziną, wszystko obróciło się na dobre.

Colleen też tak uważała. Była zachwycona, że mieli okazję osobiście podziękować Siobhan, bo gdyby nie jej decyzja, żeby ratować ранego owczarka, sprawy potoczyłyby się całkiem inaczej. Tak czy owak, wszyscy się wzruszyli, a widok

Siobhan przytulonej do Haatchiego i jej pierwsze spotkanie z Owenem stanowiły optymistyczne zakończenie tych kilku bardzo trudnych dni.

Dopiero podczas rozmowy z wolontariuszką RSPCA dowiedzieli się, że ktoś, zanim wyrzucił Haatchiego na tory, uderzył go w głowę. Historii, że pies został przywiązany do szyn, nie dało się zweryfikować, ale kilka osób, które w różnych momentach brały udział w opiece nad nim, nadal to podejrzewało, ponieważ ich zdaniem w innym przypadku zdołałby w porę uciec spod kół pociągu. Siobhan uważała, że czy był przywiązany, czy nie, miejsce, gdzie został znaleziony, świadczy o tym, że ktoś na pewno specjalnie zostawił go na śmierć.

Powiedziała im również, że personel Harmsworth Hospital z zainteresowaniem śledzi postępy owczarka i wszyscy trzymają za niego kciuki. Jedna z pielęgniarek nawet przypinała na służbowej tablicy jego zdjęcia i wycinki z gazet. Siobhan nie wierzyła, żeby Haatchiemu faktycznie groziło uspienie. Jej zdaniem personel RSPCA czasami ucieka się do sugestii, że pies wkrótce trafi na listę PTS, bo w ten sposób szybciej mogą znaleźć mu dom.

Stan McCaskie – weterynarz, który miał dyżur tamtej nocy, gdy uratowano Haatchiego – był bardziej pragmatyczny; wiedział, że tragiczne wydarzenie na torach mogło się zakończyć dla ранego psa nieszczęśliwie.

– Najgorsza część mojej pracy to usypianie zwierząt – mówił. – Jest mi trudno nawet wtedy, kiedy wiem, że to ulga w cierpieniu albo że zwierzę jest śmiertelnie chore. Ale jeśli kot czy pies cieszy się zdrowiem, tylko po prostu nie można mu znaleźć domu albo kogoś ugryzł, albo staje się dla człowieka zbyt dużym obciążeniem, to naprawdę robi się bardzo ciężko. Chociaż może już przywykłem i stwardniałem, ale często na koniec się łamię, a potem zawsze muszę mieć chwilę spokoju, żeby znów móc się wziąć do roboty.

Stanowi, który poświęcił życie ratowaniu zwierząt i został gwiazdą kręconego w Harmsworth serialu BBC *Animal Hospital*, niesamowicie ulżyło, gdy nie musiał podejmować takiej decyzji w przypadku Haatchiego. A jeszcze bardziej się ucieszył na wieść o tym, że owczarek przeżył. Jakiś czas później, kiedy zobaczył swojego dawnego pacjenta w telewizji, jako zdobywcę nagrody na Crufts, pomyślał: „Sekundkę – przecież ja znam tego psa!” Według niego i jego koleżanki po fachu Fiony Buchan świadomość, że Haatchi tak szczęśliwie znalazł dom i odmienił na dobre życie małego Owena, sprawiła, że „to wszystko stało się warte zachodu”.

Jedenastego maja, dwa dni przed wyznaczoną datą operacji Haatchiego, Will i Little B pojechali na wystawę London Pet Show, żeby w Animal Action Arena odebrać przyznaną ich psu nagrodę Endala. Każdy chciał wiedzieć, gdzie jest Haatchi i co u niego słyhać, a Owen z przyjemnością odpowiadał na te pytania i cieszyło go, że jest rozpoznawany. Jak powiedział tacie, martwił się tylko, bo w zasięgu wzroku nie było żadnych owczarków anatolijskich, więc obiecał za rok przywieźć na pokaz swojego anatoliana, żeby wszyscy zobaczyli, jaka to wspaniała rasa.

Przy stoisku UK GSR wziął udział w konkursie na imiona dla pluszaków, a potem odwiedzili z Willem miniaturowe koniki, mniejsze niż Haatchi. Owen sterował swoim wózkiem elektrycznym jak zawodowiec, wprawnie omijał zatłoczone miejsca i wszystkim opowiadał, że najbardziej podobają mu się tropikalne ryby.

Kiedy nadeszła pora wręczania nagród, Little B zaskoczył ojca – poprosił, żeby ten został na miejscu i grzecznie się zachowywał, podczas gdy on sam pojedzie odebrać medal dla Haatchiego. „I zrobił to, co powiedziałem, jak dobrze wyszkolony tatuś!”, żartował później.

Owen oszalał z radości, bo jako nagrodę niespodziankę dostał iPada. Został również przedstawiony sir Bruce'owi Forsythowi, który odniósł się do chłopca bardzo życzliwie i ogromnie interesował się Haatchim. Sir Bruce był tam, żeby kibicować córce Debbie Matthews, zdobywczyni nagrody za kampanię Vets Get Scanning na rzecz łączenia zgubionych psów z ich właścicielami dzięki mikroczipom.

Will i Owen spędzili przemiły dzień, ale Haatchi był bardzo niezadowolony, że z powodu swojej kontuzji musiał zostać w domu. Tego wieczoru „napisał” na Facebooku: „Nie, mamusiu, nigdy ci nie wybaczę, że nie dałaś mi pojechać do Londynu z Little B. Gadaj sobie do kikuta ogona, mordka cię nie słucha!”

Jako osoba, która śmiało podejmuje wyzwania, Colleen postanowiła reaktywować ideę jednofuntowej pieszej wyprawy – tym razem, aby zebrać fundusze na rehabilitację Haatchiego. W przeddzień operacji rozpoczęła w Internecie akcję Spacer Auć-Auć za Funta. Zapraszała do sponsorowania jej, Owena i Mr Pixela podczas przemarszu 8-kilometrową trasą wokół jeziora Virginia Water w Surrey, którą zamierzali pokonać w towarzystwie przyjaciółki rodziny Zoe Le Carpentier i jej trójłapego psa Pelucchiego. Każdy kto chciał, mógł drugiego czerwca, w sobotę, do nich dołączyć.

Celem akcji było zebranie 4 tysięcy funtów na pokrycie niebotycznie wysokich kosztów przyszłej rehabilitacji owczarka, obejmujących co najmniej trzytygodniowy

pobyt zamknięty, a potem dalsze leczenie, w tym hydroterapię, akupunkturę i fizjoterapię przez minimum pół roku. Colleen ogłosiła, że zamierzają utrzymać Haatchiego w zdrowiu i dobrej formie, aby nadal mógł być istotną częścią życia swojego najlepszego przyjaciela, siedmioletniego Owena Howkinsa, i pomagać wielu różnym organizacjom charytatywnym. Na koniec dodała, że będą ogromnie wdzięczni za każdy datek, nawet najmniejszy.

A na Facebooku Haatchi „zamieścił” następującą wiadomość: „Jeszcze tylko jedno spanko, a potem operacja. Jeśli macie wolnego funta, którego chcielibyście ofiarować na moją rehabilitację... cóż, proszę, przyłączcie się do naszej imprezy. Wielkie hau-hau dzięki!”

Wczesnym rankiem 13 maja Will i Colleen zawieźli Haatchiego do kliniki weterynaryjnej i zostawili w fachowych rękach tamtejszego personelu. Chociaż owczarek miał ze sobą Jeża Harolda, zabawkę, z którą rzadko się rozstawał, wyglądał na zaniepokojonego. Psia lecznica wyraźnie budziła w nim lęk. Podczas gdy Will rozmawiał w środku z weterynarzami, Colleen i jej duży pupil czekali na parkingu. Co nietypowe, tamtego dnia Haatchi w ogóle nie czekał na inne zwierzęta.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi – pielęgniarka wyprowadziła psa, który miał ogolony brzuch i obandażowaną tylną łapą. Haatchi uniósł nos i węszył niespokojnie, jak gdyby przypomniały mu się Harmsworth i tamta pierwsza noc pod opieką RSPCA. A kiedy dotarła do niego woń środków znieczulających, zaczął skomleć. Colleen zastanawiała się nawet, czy nie będzie próbował uciec.

Drzwi znowu się otwarły. Tym razem ukazał się w nich Will razem z Andym Mooresem. Weterynarz żartobliwie poczochnął psie uszy, a potem całą trójką weszli za nim do środka i ruszyli do boksów na oddziale chirurgii. Po drodze mijali personel w szpitalnych kitlach, który witał swoją supergwiazdę ciepłymi uśmiechami. Kiedy dotarli na miejsce, Andy skierował ich do wielkiej klatki, wyściełanej puszystymi białymi kocami. Dookoła siedziały inne psy w mniejszych boksach, ale Haatchi na żadnego z nich nie zaszczekał. Był bardzo podejrzliwy.

W pół drogi do swojego boksu nagle zastygł – wyglądało, że ogarnięty strachem – i zaczął skomleć, jak gdyby nawiedziła go fala bolesnych wspomnień. Dopiero kiedy Colleen wtuliła twarz w jego kark i ucałowała psie uszy, trochę się uspokoił.

Wreszcie zdołali wprowadzić Haatchiego do klatki. Tuż przy nosie położyli mu Jeża Harolda, który ostatnią noc spędził w łóżku Owena. Przez chwilę Haatchi obwąchiwał



pluszową zabawkę i wydawało się, że znajomy zapach go pocieszył – do tego stopnia, że mogli zamknąć drzwi i zostawić ulubieńca pod opieką doktora Mooresa i personelu kliniki.

Dopiero na dworze Colleen i Will pozwolili sobie dać upust emocjom.

Następne godziny upłynęły rodzinie w skrajnym napięciu. Bez swojego dużego kumpla Owen był wyjątkowo cichy i prawie się nie odzywał – aż do chwili, kiedy dzwonił Andy. Weterynarz przekazał im dobrą wiadomość: ponad pięciogodzinna operacja przebiegła dobrze i narkoza nie wywołała skutków ubocznych. Wtedy Little B wyrzucił w powietrze małą piąstkę i krzyknął: „Tak jest!”

Chirurg musiał połamać Haatchiemu kości, nastawić je i przytrzymać we właściwej pozycji z pomocą czterech płytek i trzydziestu czterech śrub. Miał trójwymiarowy model łapy owczarka, zrobiony na podstawie tomografii komputerowej i użył go, żeby przeprowadzić próbę generalną przed prawdziwym zabiegiem. Nie chciał w połowie operacji dowiedzieć się, że on i jego zespół nie są w stanie naprostować tej psiej łapy. Było to wielkie wyzwanie pod względem technicznym, ale szczególnej wagi dodawał sprawie fakt, że chodziło o jedyną tylną łapę. Gdyby operacja się nie udała albo gdyby nastąpiły jakieś poważne komplikacje, pies nie dałby sobie rady. Weterynarze mieli również świadomość, że tysiące fanów Haatchiego czekają i obserwują pracę lekarzy, żeby się upewnić, że owczarek zostanie zwrócony rodzinie cały i zdrowy. Jak skwitował to Andy: „Po prostu zero presji!”

Andy obiecał, że jego współpracownicy przez całą noc będą monitorować stan Haatchiego i że rano znów zadzwoni. Wielki pies nie wyszedł jeszcze na prostą, ale zrobił już kilka kroków na długiej drodze do domu.

Następnego dnia pielęgniarki zawiadomiły, że Haatchi dobrze spał, a potem nawet trochę zjadł. I dał radę zarówno iść (przytrzymywany w specjalnej uprzęży), jak i poruszać tylną łapą, co niezmiernie ucieszyło chirurga.

„Mamusia i tatuś” Haatchiego, którym kamień spadł z serca, zamieścili na Facebooku fotografię swojego pupila – na nogach – prezentującego świeżo ogoloną łapę i „łysy tyłeczek”, a oprócz tego zdjęcia rentgenowskie jego nowej, bionicznej łapy, naszpikowanej gwoździami. I zażartowali: „Chyba właśnie oblaży mnie od środka mrówki<sup>[16]</sup>. Krótko mówiąc, BOL<sup>[17]</sup>”. Stwierdzili też, że teraz owczarek „odbiera 3G i WI-FI”.

Gdy tylko Haatchi został przekazany pod opiekę Greyfriars, Colleen i Will na

zmianę odwiedzali jego boks w ośrodku rehabilitacji i obdarzali go taką ilością pieszczot, żeby wystarczyło do następnej wizyty. Pies nie był zachwycony kołnierzem z tkaniny, który miał go powstrzymywać od lizania łapy, ale oszołomiony środkami przeciwbólowymi, szybko zapadał w drzemkę i chrapał na ich kolanach.

Bez Haatchiego dom wydawał się pusty. Na swojej Facebookowej stronie Colleen napisała: „Powrót z pracy był dzisiaj całkiem inny. Zwykle witał mnie puszysty pysk, który zerkał zza szyby, potem w drzwiach blokowały mnie czułości Haatchiego, który machał ogryzkiem ogonka w tempie miliona kilometrów na godzinę. A kiedy wreszcie usiadłam, wielki kudłaty tyłek z klapnięciem lądował tuż obok, przednie łapy stały oparte na podłodze, a sarnie oczy w wielgachnej mordce bezgłośnie pytały, jak mi minął dzień. Cholerne psy i ta ich wrodzona umiejętność zmieniania nas w bezradną ckliwą papkę! Grrr”.

Dom pozbawiony wielkiej, kojącej obecności Haatchiego był po prostu nie ten sam. Little B codziennie dopytywał o swojego dużego kumpla. Już nie pędził ze szkoły jak dawniej, był wyraźnie przygaszony, nie chciał nawet bawić się z tatą swoim ulubionym Nerfem i wcześniej kładł się spać. Willowi i Colleen przypominało to czasy, zanim w ich życiu pojawił się trójłapy owczarek anatolijski.

Pięć dni po operacji Haatchi wreszcie miał gościa, którego niecierpliwie wyczekiwał. Pod ścisłą kontrolą, żeby nie mógł się ruszać zbyt gwałtownie ani zrobić niczego, co uszkodziłoby mu łapę, tarzał się po trawniku ze swoim najlepszym przyjacielem Owenem. Pracownicy Greyfriars przyglądali się ze zdumieniem, jak przygnębione psisko, które mieli pod opieką, ożywiło się w obecności tego dziecka. Haatchi przerzucił przednią łapę przez Owena, przyciągnął go do siebie i tak leżeli w roześmianym uścisku.

Czułości ze strony personelu ośrodka były w porządku.

Czułości ze strony Willa i Colleen były zawsze mile widziane.

Ale nikt tak nie przytulał Haatchiego jak Owen i tych dwóch, z głową przy głowie, patrzyło sobie w oczy z absolutną miłością.

W ciągu następnych kilku tygodni Haatchi robił dalsze postępy, a Colleen regularnie informowała jego fanów na portalach społecznościowych o Mamusinyim Poniedziałku, Piegowatym Piętaszku i Czwartkowym Powrocie do Przeszłości. Nadal całą rodziną gramolili się do boksu Haatchiego albo, gdy była pora na zabawę, pomagali mu wyjść

na trawnik za budynkiem. Owczarek jawnie dopraszał się o smakołyki. Na jednej z fotografii spogląda chłodno na Willa, a podpis pod spodem brzmi: „Nie ma przysmaków? Nie ma rozmowy...” Inne zdjęcie ukazuje go, jak leży na trawie z Angelą Griffiths i przypuszczalnie negocjuje wyjście na weekend.

Do 20 maja, w niecałe trzy tygodnie od rozpoczęcia kampanii, cel został osiągnięty – udało się zgromadzić 4 tysiące funtów na pooperacyjne leczenie anatoliana. Za zgodą wszystkich zainteresowanych Will i Colleen nie zamknęli strony akcji, a dodatkowe wpłaty miały być odłożone na dotowanie nagłej koniecznej rehabilitacji u psów ratowniczych. W sumie zbiórka przyniosła ponad 4800 funtów.

Po raz pierwszy Haatchi dostał przepustkę do domu na weekend w maju i został ulokowany w specjalnie wybudowanym przez Willa (przy wielkim udziale Owena) olbrzymim drewnianym boksie, inaczej mówiąc sypialni, która zajmowała dużą część pokoju jadalnego. Kiedy boks był gotowy, Little B nie mógł się doczekać, żeby zrzucić buty i wleźć do środka razem ze swoim kudłatym przyjacielem, i wkrótce już się mościł na posłaniu Haatchiego, żądając bajki na dobranoc. Will zamieścił w Internecie zawadiackie zdjęcie pary przyjaciół za kratkami i podpisał je: „Jesteśmy celebrytami, wyciągnijcie nas stąd!”

Tego samego dnia, w którym strona Haatchiego na Facebooku osiągnęła 14 tysięcy polubień, Colleen, Owen i Mr Pixel mieli odbyć Spacer Auć-Auć wokół jeziora Virginia Water. Po długim, deszczowym miesiącu wreszcie zaświeciło słońce i ponad trzydziestu przyjaciół (razem z psami) przybyło, żeby wspierać piechurów. Will przygotował specjalne plecione opaski na nadgarstek dla każdego, kto chciał wziąć udział w akcji, a Little B wszystkim chętnym rozdawał autografy i uściski.

Niektórzy uczestnicy przyjechali aż z amerykańskiej Rhode Island. Jodi Kennedy, dawna dziennikarka i prezenterka telewizyjnych wiadomości, miała teraz pracę na wysokim stanowisku w korporacji medialnej. Amerykanka znalazła się w gronie przyjaciół Haatchiego na Facebooku. Była pod takim wrażeniem historii trójłapego owczarka i Little B, że całym sercem zaangażowała się w śledzenie ich postępów. Ona i jej mąż Peter zarezerwowali sobie wakacyjny pobyt we Francji, ale zboczyli do Wielkiej Brytanii tylko po to, żeby osobiście poznać chłopca i jego psa oraz wziąć udział w ich sponsorowanym przemarszu.

– Z całą pewnością wystraszyli się, że jestem jakimś stukniętym prześladowcą ze Stanów – stwierdziła Jodi. – W życiu nie zrobiłam niczego podobnego ani przedtem,

ani potem. – Wyjaśniła, że coś w wyrazistym pysku owczarka z miejsca ją do tego psa przyciągnęło; poza tym z niezwykle klasą poradził sobie z wycierpianym okrucieństwem i późniejszym kalectwem. – I na to nakłada się obraz, jak Haatchi ocalił Little B i jakimi wspaniałomyślnymi, godnymi podziwu ludźmi okazali się Will i Colleen. Oni dają Owenowi i nam wszystkim niewiarygodną lekcję, jak być wdzięcznym za to, co mamy, lekcję pokory, skromności i odpłacania dobrem za dobro.

Colleen była zachwycona spotkaniem z Jodi i Peterem i bardzo chętnie zgodziła się, żeby zostali „zagranicznymi rodzicami chrzestnymi” Owena i Haatchiego. Rodzina Howkinsów-Drummondów odbyła swoją charytatywną wędrowkę przy wsparciu licznych fanów, a potem wszyscy rozeszli się szczęśliwi, że koszty rehabilitacji i leczenia ich ulubieńca zostały pokryte na dłuższy czas.

W następnym tygodniu Haatchi miał swój wielki dzień. Pierwszy raz po operacji czekała go hydroterapia w basenie. Takie przedsięwzięcie wymagało niesamowicie dużej ostrożności. Nad basenem zebrała się cała rodzina, a Owen fotografował swojego kompana, jak ćwiczy w ciepłej wodzie pod stałą kontrolą dwóch fizjoterapeutów w piankowych skafandrach. Zjawili się nawet studenci weterynarii, żeby w ramach zajęć obserwować rehabilitację Haatchiego.

Kilka dni później owczarek zaczął korzystać z wodnej bieżni – urządzenia, dzięki któremu tylna kończyna była minimalnie obciążona, przy czym ciśnienie hydrostatyczne wody również redukowało opuchliznę. Poza tym Haatchi uwielbiał bawić się pływającymi zabawkami, w czasie gdy fizjoterapeuta masował mu pod wodą łapę i biodro.

A nagroda? Kolejny weekend w domu, z rodziną. Pracownicy centrum rehabilitacji twierdzili, że tempo, w jakim anatolian powraca do zdrowia, gwałtownie wzrosło, odkąd pies znów jest z Owenem, i bardzo im zależało, żeby ta poprawa nadal postępowała.

Kiedy Haatchi i Little B trafili na okładkę czerwcowego wydania „Dogs Today” (a także na rozkładówkę), wydawało się, że Willowi, Colleen i ich rodzinie wszystko zaczyna się układać. Stawili czoło groźbie utraty ukochanego psa i odnieśli zwycięstwo. Owen i Haatchi zostali zatrudnieni przez „Dogs Today” jako wędrowni reporterzy i już wcześniej zaczęli pisać pierwszy blog o swoich sukcesach: *Małe cuda i wielkie marzenia*.

Wśród kolejnych imprez dobroczynnych na rzecz poszczególnych osób, organizacji

charytatywnych ratujących zwierzęta i takich, które pomagają niepełnosprawnym ludziom, zbliżał się termin ślubu. Will i Colleen nie mogli się już doczekać tej wielkiej uroczystości za dwa miesiące, na którą z takim trudem oszczędzali.

Tymczasem ich przyjaciele z Natural Instinct, sponsorzy surowej karmy dla Haatchiego do końca jego dni, odeszli z poprzedniego miejsca pracy i założyli nową firmę Nutriment Raw, którą rodzina Howkinsów-Drummondów lojalnie poparła.

Haatchi wracał do zdrowia, a na łysym tyłeczku powoli odrastało futro. Owen dobrze sobie radził w szkole – zwłaszcza z matematyką – i czuł się trochę lepiej fizycznie, bo letnie upały łagodziły bóle stawów. Kim została wysłana do Afganistanu na swoją czwartą misję, ale chłopiec od dawna przywykł do jej (lub Willa) długich wyjazdów – znosił je pogodnie, bo wiedział, że rodzice zawsze wracają – i z dumą mówił każdemu, kto o to spytał, że jego mama walczy z talibami. Po parę razy w tygodniu rozmawiał z nią na Skypie i przekazywał jej na bieżąco wszystkie wieści o swoim najlepszym kumplu.

Liczni przyjaciele rodziny na Facebooku, Twitterze i innych portalach, jak też sklepy z produktami dla zwierząt i po prostu różni życzliwi nadal przesyłali Owenowi i Haatchiemu prezenty niespodzianki, w tym klocki Lego, psie posłanie z pianki zapamiętującej kształty, naklejki, magnesy, książki, słodczyce – a wszystkie te podarki były przyjmowane z wdzięcznością.

I wtedy, 25 czerwca, wróciły kłopoty.

Najnowsze rentgeny wykazały, że piszczel Haatchiego i kość udowa dobrze się goją, ale rzepka nadal wyslizguje się ze swojego miejsca. To oznaczało, że jeśli Will, Colleen i zespół terapeutów nie zdołają za pomocą fizjo- i hydroterapii wzmocnić mięśni psa na tyle, żeby rzepka była stabilna, owczarka czekała kolejna poważna operacja, a potem dość długa rehabilitacja – oczywiście i jedno, i drugie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nadzwyczaj kosztowne.

Aby zaradzić rosnącym finansowym potrzebom, Colleen wzięła w pracy dodatkowe zmiany, ale tak naprawdę pozostało im tylko się modlić i mieć nadzieję, że pies, który zmienił ich życie na lepsze, też może liczyć na szczęśliwe zakończenie swoich kłopotów.

# Rozdział 7

*Jedno słowo uwalnia nas od ciężaru i bólu życia, a tym  
słowem jest miłość.*

*Sofokles Edyp w Kolonie*

Oddany zespół weterynaryjny potraktował swoją najnowszą misję wzmocnienia mięśni owczarka tak, jak gdyby to była operacja militarna. Wzięli się do tego pod dowództwem Angeli Griffiths i pilnie doglądali niemal codziennej terapii psa.

Żeby zaoszczędzić kosztów i zachęcić Haatchiego do jeszcze dłuższych pobytów w wodzie, Will zakładał gogle i skafander z pianki i też wchodził do basenu na sesje hydroterapii. Haatchi pływał bardzo często, dlatego z każdym dniem nabierał sił i poruszał się coraz szybciej. Po kilku tygodniach po raz pierwszy mógł stabilnie płynąć bez pomocy – co po stracie łapy opanował dość wcześnie. Personel centrum i wszyscy sympatycy owczarka ściskali kciuki (i łapy), żeby dzięki dalszej terapii udało się uniknąć kolejnej operacji.

Jednak w przerwach między rehabilitacjami pies coraz bardziej się nudził w boksie. Rzadko skowytał czy ujadał – chyba że musiał sobie zaszczekać na pociechę – ale wyraźnie nie chciał przebywać w zamknięciu tak długo i potrzebował rozrywki. Will i Colleen wymyślali dla niego najrozmaitsze zabawy, które nie wymagały dużo ruchu: z użyciem piłek i ręczników, zabawek i gryzaków – rozrzucali to po jego boksie albo wrywali mu jak przy przeciąganiu liny. Od czasu do czasu wyprowadzali Haatchiego na trawnik, gdzie fizjoterapeutka Kate Vardy masowała go i nastawiała. Little B też dodawał od siebie co nieco: spędzał z psem całe godziny w boksie i poza boksem; nawet czytał i odrabiał lekcje, siedząc obok swojego kudłatego przyjaciela albo używając go jako oparcia.

Podczas gdy Haatchi trącał nosem i łaskotał Owena (wywołując wybuchy zaraźliwego śmiechu), Colleen pstrykała im dziesiątki fotek. Są nawet takie, na których owczarek nosi na głowie swojego ukochanego Jeża Harolda albo wydając pomruki, tarza się na plecach z szeroko rozstawionymi łapami. Jedno zdjęcie, na którym lize

Owena, nosi podpis: „Obserwuj i się ucz, Little B. Widzisz? Tak się porządnie myje buzię... westchnienia... przed tym chłopcem jeszcze dużo nauki!”

Aby po powrocie do domu Owen nie tracił ducha, Angela Griffiths podarowała mu pluszaka o imieniu Hatch – zabawka przedstawiała psa z „Mary Rose”, statku wojennego Henryka VIII. Hatch, oficjalnie szczurołap, a nieoficjalnie maskotka załogi, był kundelkiem (jego DNA później dowiodło, że w połowie terierem, a w połowie chartem) i nie miał jeszcze dwóch lat, kiedy w 1545 roku okręt zatonął. Psie kości zostały znalezione w kabinie okrętowego cieśli, ponownie złożone i wyeksponowane w muzeum statku w Portsmouth. Hatch od Angeli dołączył do corgiego księżnej Yorku i całej masy innych pluszaków na łóżku Little B.

Nikt nie wiedział, kiedy naprawdę Haatchi się urodził, ale gdy go dostali, weterynarz ocenił po zębach, że szczeniak ma około siedmiu miesięcy, czyli przyszedł na świat w lipcu 2011 roku. Ponieważ siedemnastka to szczęśliwa liczba Colleen, ustalono datę na 17 lipca. Tak więc drugie urodziny owczarka wypadły dokładnie na miesiąc przed dniem ślubu, który miał się odbyć 17 sierpnia.

Kiedy zamieścili w Internecie informację o urodzinach, Haatchi dostał mnóstwo życzeń dobrej zabawy i rychłego powrotu do zdrowia. Jednak rodzina, w swoim stylu, poprosiła, żeby zamiast prezentów sympatycy owczarka wpłacili datek dla przyjaciela w potrzebie. W imieniu Haatchiego Colleen napisała: „Po dłuższych przemyśleniach postanowiliśmy świętować [moje urodziny], robiąc to, co lubimy robić najbardziej – pomagając ludziom”. A dalej wyjaśniła, że u brata jej przyjaciółki Matta Elworthy’ego zdiagnozowano raka mózgu i trzeba zebrać pieniądze na leczenie, które choremu przedłuży życie. „Każdy z mojej rodziny w ramach prezentu zamierza wpłacić jednego funta dla Matta na internetową stronę charytatywną JustGiving, więc chciałbym, żebyście się do nas przyłączyli. Dzięki leczeniu Matt będzie miał szansę parę razy zobaczyć, jak jego, teraz sześciomiesięczna, córeczka świętuje urodziny. To jest warte więcej niż wszystkie pieniądze świata... Ogromnie Wam dziękuję. Wasza hojność to najlepszy urodzinowy prezent, jaki mógłbym sobie wymarzyć”.

Niedługo potem w nowej siedzibie Nutriment Raw w Camberley rodzina zorganizowała jednocześnie dzień otwarty i przyjęcie urodzinowe swojego psa. Fani i przyjaciele nie tylko mogli zobaczyć Haatchiego i Little B, ale też przekonać się, gdzie i w jaki sposób firma, która zapewnia owczarkowi surową karmę, robi swoje produkty. Przybyło mnóstwo ludzi, między innymi ponownie spotkali się z Jamesem

Hearle'em z Dogs and Kisses i Sarą Abbott, autorką portretu Haatchiego. Ale też zyskali nową przyjaciółkę Donnę, która ofiarowała im pięknie polukrowane ciasto – przedstawiało Haatchiego i Little B w chwili, gdy razem czytają. Ten podarek to kolejny przykład spontanicznej ofiarności ze strony obcych ludzi, jaką wzbudzali chłopiec i jego pies.

Innym przykładem była życzliwość Fiony Simpson, Szkotki, która teraz mieszka gdzieś na odludziu w Norwegii. Fiona zobaczyła zdjęcie Haatchiego i Owena na Facebooku. Oczarowali ją, gdy zdobyli nagrodę Friends for Life na wystawie Crufts. W wolnym czasie Fiona Simpson robiła z papier mâché i wełny zabawkowe psy w prezencie dla przyjaciół albo na aukcje charytatywne na rzecz zwierząt. I właśnie taką postać trójłapego Haatchiego z piegowatym nosem wykonała specjalnie dla Owena, Colleen i Willa. Prezent sprawił im wielką radość, więc natychmiast zamieścili jego zdjęcie na swoich stronach w portalach społecznościowych. A Fiona została zasypana prośbami od ludzi, którzy chcieli zamówić u niej wizerunki swoich psów albo kolejne egzemplarze zabawkowego Haatchusia. Czują, że byłoby nie w porządku robić ze słynnego anatoliana towar, a jednocześnie wiedziała, że rodzina angażuje się w różne akcje dobroczynne, więc zaproponowała, że wykona jeszcze jeden taki egzemplarz i zlicytuje na cel charytatywny, który oni wskażą.

Haatchi i Owen wybrali Muffin's Dream, fundację wspierającą dzieci niepełnosprawne oraz ich rodziny. Pierwsza aukcja na eBayu przyniosła 105 funtów.

– Nie mogę sobie pozwolić na wpłacanie pieniędzy na cele charytatywne – powiedziała Fiona – ale to jest mój sposób, żeby robić coś dobrego.

Od czasu tamtej aukcji była bombardowana kolejnymi prośbami i zamówieniami na pieski po trzydzieści funtów, jak gdyby dobra karma Haatchiego nadal roztaczała swoją magię. Fiona planuje robić więcej zabawkowych Haatchusiów i licytować je na cele charytatywne wybrane przez Owena i jego kudłatego przyjaciela.

Kolejną grupą osób, które straciły głowy dla Haatchiego i Little B, byli młodzi filmowcy, a zarazem miłośnicy psów, studenci Uniwersytetu Hertfordshire: Jonna McIver, Carl Frazer-Lunn i Jodi Rose Tierney. Właśnie ta trójka wypatrzyła anatoliana w Internecie i na początku 2013 roku przez Facebooka zwróciła się do rodziny z pytaniem, czy zechcieliby wystąpić w etiudzie, która jest częścią ich pracy zaliczeniowej na wydziale filmu i produkcji telewizyjnej. Will i Colleen natychmiast się zgodzili, a wtedy przyjechał spotkać się z nimi reżyser i producent Jonna razem z



Carlem (kamera i montaż) oraz Jodi (asystentka reżysera i dźwięk).

– Widzieliśmy ich zdjęcia i uznaliśmy, że obydwaj wyglądają niesamowicie, wspaniale – opowiadał Jonna. – I że ich historia to zbyt dobry temat, żeby go nie sfilmować: choroba Owena i wszystko przez co musiał przejść Haatchi. Ale w ogóle nie spodziewaliśmy się tego, że oni razem są aż tak wyjątkowi.

Kiedy studenci przyjechali, Owen jeszcze był w szkole, więc najpierw poznali Haatchiego. Nie mogli wyjść ze zdumienia, jaki jest duży, ale też jaki spokojny. Miał w sobie, jak powiedział Jonna, coś niepospolitego, co trudno zdefiniować.

– A potem Owen wrócił do domu i od razu dało się dostrzec więź między nimi. Swoją drogą, ten siedmiolatek jest niesamowity. Proponował nam herbatę i pytał, czy czegoś nie potrzebujemy. Cały czas siedział tuż przy swoim wielkim psie, który obserwował każdy jego ruch.

Dokumentaliści czuli, że trafili na filmową żyłę złota. Przez następne dwa miesiące wytrwale chodzili za rodziną niczym pies tropiący (jak ująłby to Haatchi). Filmowali Little B przy zabawie z owczarkiem, wśród ich zabawek, podczas odpoczynku w domu i na spacerze w miejscowym parku. Ich kamera towarzyszyła chłopcu, kiedy starał się przenieść z balkonika na fotel inwalidzki. Planowali dograć do nakręconego materiału niby to dziecięce rysunki ze smutnym Haatchim przy torach. Poprosili Owena, żeby wygłosił do kamery krótki komentarz.

– Ta historia jest taka... Haatchi został potrącony przez pociąg – zaczął Little B. – Znalazło go RSPCA, a potem Ross i James go adoptowali. A potem Haatchi źle się czuł, a potem przyjechał do nas! – I z westchnieniem dodał: – On się mną opiekuje, jest nadzwyczajny... Naprawdę jestem szczęśliwy. Wszystko w moim życiu się zmieniło... Bałem się obcych ludzi, ale on zmienił moje życie i teraz niczego się nie boję.

Ekipa jeszcze nie zdecydowała, jak zakończy film, kiedy nadeszła wiadomość, że Haatchi i Little B znaleźli się w finale konkursu Friends for Life. Kennel Club dał młodym twórcom pełny dostęp do wystawy Crufts, więc mogli nakręcić szczęśliwe zakończenie – scenę, jak Owen odbiera nagrodę.

– To uczy pokory, widzieć dziecko, które cierpi dwadzieścia cztery godziny na dobę, takie pełne entuzjazmu, szczęśliwe – wspominał Jonna. – Nikt nie wie, jak bardzo wszystko go boli. Skończyło się na tym, że nawiązaliśmy naprawdę wspaniałe relacje z nim i resztą rodziny i byliśmy ogromnie zadowoleni, że zobaczyliśmy prawdziwego Owena. Ten chłopiec swoją obecnością rozświetla pokój, jeśli was zna i już się nie

wstydzi.

Jonna, który ma nadzieję zostać zawodowym reżyserem dokumentalistą, mówił, że dla niego najtrudniejsze było podjąć decyzję, co wyciąć, bo tyle nakręcili wspaniałego materiału, łącznie z poruszającym ujęciem całej rodziny przy portrecie Haatchiego. Ekipa cieszyła się, że mogą wykorzystać w czołówce i przy końcowych napisach kilka najzabawniejszych wyciętych fragmentów: sceny, jak Little B się wygłupia, chowając rękę w rękawie, jak wyjaśnia, że jest szczęśliwy, i jak piekąc z tatą ciasto, smaruje sobie nos roztopioną czekoladą.

Czwartego czerwca (gdy Haatchi nadal jeszcze przebywał w ośrodku rehabilitacji) Will, Colleen i Owen pojechali do Hatfield, żeby kibicować swoim nowym przyjacielom, ponieważ ich dziewięciominutowa etiuda *A Boy and His Dog* (Chłopiec i jego pies) została zgłoszona do konkursu o nagrodę ITV na uniwersyteckim Visions Festival 2013. Po obejrzeniu pozostałych propozycji z kategorii rozrywki, fikcji i dokumentu – prac, które zdumiewały jakością wykonania i różnorodnością tematów – wszyscy byli zachwyceni, kiedy *A Boy and His Dog* otrzymał pierwszą nagrodę spośród filmów dokumentalnych. Kilkaset osób na widowni – również Will i Colleen – miało łzy w oczach.

Ten wieczór zakończył się przeszcześnie.

Później miało nadejść więcej dobrych wiadomości, ponieważ *A Boy and His Dog* dostał nominację do nagrody Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych w kategorii film krótkometrażowy (BAFTA Short Film Award), ale na werdykt trzeba było poczekać do 2014 roku.

Mniej więcej w tym czasie Owen zaczął się skarżyć na bóle w biodrach. Will zdawał sobie sprawę, że przy tak silnych lekach antykonwulsyjnych i relaksantach mięśniowych, które chłopiec codziennie przyjmuje, musi go naprawdę bardzo boleć, jeśli to czuje. Znowu więc zawieźli Little B do szpitala w Southampton na badania, a tamtejsi lekarze podjęli decyzję, żeby po raz pierwszy od pięciu lat prześwietlić dziecku biodra. Wykonane wkrótce zdjęcia rentgenowskie okazały się jeszcze bardziej szokujące niż te, na których rodzina niedawno oglądała fatalnie wygiętą tylną łapę Haatchiego.

Dzień, w którym zobaczyli, jak pogorszył się stan kości Owena, był jednym z najgorszych w życiu Willa.

Ortopedzi już wcześniej ostrzegali, że może trzeba będzie wielokrotnie wymieniać stawy biodrowe, ale sugerowali też, że nie powinno to nastąpić, dopóki Owen rośnie – czyli mniej więcej do dwudziestego roku życia. Jednak tym razem, zanim mogli ostatecznie ocenić sytuację, jeszcze chcieli mieć bardziej szczegółową tomografię komputerową dolnych partii ciała.

Aby Owen był w pełni poinformowany, ale też żeby sprawić mu przyjemność, zaproszono go do szpitalnej pracowni radiograficznej, gdzie obejrzał wyniki badania tomograficznego. Z przejściem śledził przesuwające się po ekranie trójwymiarowe obrazy swoich stawów biodrowych.

Will i Colleen patrzyli w milczeniu. Po raz pierwszy zobaczyli, że oba biodra Little B są przemieszczone – efekt ciągłego nacisku mięśni, które się wokół nich kurczą – a jedna zużyta główka kości udowej jest już o połowę mniejsza. Widok tych surowych czarno-białych zdjęć szkieletu jego siedmioletniego syna uświadomił Willowi, jak długa droga jeszcze ich czeka.

– Zmiany zwyrodnieniowe były niewiarygodne – opowiadał Howkins. – Kto inny krzyczałby i płakał z bólu, ale Owen jest bardziej wytrzymały niż przeciętny człowiek.

Chirurg ortopeda Michael Uglow, lekarz konsultujący Owena, uważał, że nawet gdyby chłopcu wcześniej skontrolowano biodra i poddano go dotkliwej operacji rekonstrukcji, niczego by to nie zmieniło ze względu na silne napięcie mięśni.

– Ponieważ to bardzo ciężka choroba – powiedział – niewykluczone, że gdybym kilka lat temu zalecił rekonstrukcję, to biodra Owena i tak by się potem przemieściły. Oddycham z ulgą, że nie zawiedliśmy jako chirurdzy, że niepotrzebnie nie poddaliśmy go ciężkiej operacji.

Dodał też, że bez znaczących zmian w implantach (takich jak magnetyczne złącza, żeby zapobiegać dyslokacji) protezy w ogóle nie wchodziłyby w grę w przypadku Owena.

Stan ukrwienia bioder Little B stanowił kolejny powód do niepokoju. Ortopedzi obawiali się, że przepływ krwi może być niewystarczający albo osłabiony, więc musieli przeprowadzić dodatkowe badania. Istniało zagrożenie, że przy niewłaściwym krążeniu obumrze więcej komórek tkanki kostnej, co nazywa się martwicą, a to z kolei może doprowadzić do całkowitego zniszczenia stawów.

Doktor Thomas – specjalista, który od początku zajmował się Owenem – przyznał później, że to dziecko mogło być znacznie bardziej ograniczone ruchowo i wymagać,

jak się wyraził, „problematicznej interwencji chirurgicznej”. Zawsze miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, zwłaszcza u „takiego radosnego chłopaczka”, który ciągle miał coś zabawnego do powiedzenia. Tak czy inaczej, co lekarz powtarzał rodzinie, nie można było przewidzieć, jaka przyszłość czeka Owena, biorąc pod uwagę jego pogarszający się stan. Thomas jednak liczył na to, że rozwój fizyczny może zmodyfikować albo złagodzić przebieg choroby.

– Zawsze tak miło go widzieć – mówił o Owenie. – Najbardziej w nim lubię to, że jak na kogoś, kto nie jest w stanie robić mnóstwa rzeczy, które się robi w jego wieku, bardzo rzadko narzeka. Jego bliskim nie jest łatwo. Walczą, żeby było mu jak najlepiej, ale zawsze w granicach rozsądku.

Na razie lekarze mogli Owenowi zaproponować tylko głębokie wstrzykiwanie sterydów raz na pół roku, co musiało odbywać się w znieczuleniu ogólnym. Datę pierwszej iniekcji wyznaczono na sierpień, w tydzień po ślubie Willa i Colleen.

Little B wiele już przeszedł w swoim krótkim życiu, ale z każdą kolejną komplikacją radził sobie w sposób godny podziwu – dzięki miłości i wsparciu ze strony rodziny i Haatchiego. Kiedy leki zwiotczające mięśnie pogorszyły mu wzrok i poczucie równowagi, mimo wszystko się nie poddał. Zamiana balkonika na fotel inwalidzki była poważnym krokiem wstecz, jednak z pomocą bliskich Owen nawet to potrafił przemienić w coś pozytywnego. Potem musiał przywyknąć do spania pod tlenem i zażywania jeszcze większej liczby medykamentów, ze względu na stałe problemy żołądkowe, które były zarówno rezultatem choroby, jak i skutkiem ubocznym brania leków.

A teraz stanął przed największym z dotychczasowych wyzwań – perspektywą pierwszej poważnej operacji i groźbą zmniejszenia albo nawet utraty tych niewielkich możliwości ruchowych, jakie jeszcze miał. Will i Colleen wiedzieli, co lekarze próbują im przekazać, ale z trudem przyjmowali to do wiadomości. Kiedy w końcu we trójkę opuścili szpital, Will był zbyt zdenerwowany, żeby sięść za kierownicą.

Następnego dnia skontaktował się z kilkoma znajomymi osobami z całego świata, które cierpią na zespół Schwartza-Jampela. Pytał, czy komuś z nich przytafiły się problemy z biodrami. Niemal wszyscy odpowiedzieli, że tak. Większość miała endoprotezy. Wyglądało na to, że przemieszczenie stawów jest przy tej chorobie powszechne, podobnie jak utrata zdolności poruszania się.

Little B z charakterystycznym dla siebie hartem ducha przyswoił wszystkie

informacje, których mu udzielono, i rozpracował je w swojej młodej głowie. Kiedy wrócili do domu, wpełzł do budy, gdzie jego ukochane zwierzę wracało do zdrowia po operacji łapy. Widział, jak przez kilka ostatnich tygodni Haatchi ze stoickim spokojem znosi ból i rozgoryczenie; w głębi serca chciał psiaka naśladować.

Podczas jednej z ich wielu sekretnych rozmów, kiedy leżeli do siebie przytuleni, Owen powiedział swojemu najlepszemu kumplowi, że być może jego też czeka operacja. A jeśli tak, kto dzielnemu dziecku mógłby dać lepszy przykład? I najwyraźniej zanim nadeszła pora, gdy senny szykował się do łóżka, postanowił, że on i Haatchi jakoś razem poradzą sobie ze wszystkimi problemami – tak jak zawsze.

Po raz kolejny Will i Colleen nie mogli oprzeć się myśli o przeznaczeniu, które połączyło małego chłopca i dużego psa. Mocno wierzyli, że ta szczególna więź będzie dla nich obu wsparciem w nadchodzącym trudnym okresie.

Na szczęście rodzina miała w perspektywie coś wspaniałego – sierpniowy ślub. Po tym co przeszli, odkąd cztery lata wcześniej Will Howkins wrzucił uśmiechniętą buźkę na stronę jasnowłosej Nowozelandki, z niecierpliwością oczekiwali tej chwili.

Kiedy latem 2010 roku na wakacjach w Szkocji Will poprosił Colleen o rękę, obydwójce postanowili włączyć Owena we wszystko, co dotyczy ślubnych planów. Will nawet pytał synka o radę w sprawie pierścionka zaręczynowego. Para wiedziała, że Little B, choć tak młodziutki, jest bardzo bystry, dlatego będzie nieocenioną pomocą podczas całej operacji. Poza tym chcieli, żeby dla niego to był tak samo wielki dzień jak dla nich.

Małżeństwo nie wносиło wielu zmian do ich codziennego życia, oprócz tego, że Colleen oficjalnie miała zostać macochą Owena.

– Dziecko z rozbitej rodziny, którego matka jest daleko i dużo pracuje, musi czuć się w takiej sytuacji dezorientowane – opowiadała. – Na szczęście poradziłam sobie z tym już na samym początku. Owen tylko raz zapytał, czy może mówić do mnie „mamo”, a ja mu delikatnie przypomniałam, że już jedną mamę ma. Czasami, kiedy się kłóci, bywa, że tak powie, ale wtedy posyłam mu spojrzenie, które mówi, że tego nie pochwalam. Ważne, aby wiedział, że jego matką jest Kim. Owen to nie coś, co ona może rzucić, a ja mogę sobie wziąć. Dzięki niej Little B jest na świecie i za to zawsze będę jej wdzięczna.

Para zaczęła szukać miejsca na ceremonię ślubną i przyjęcie. Na oglądanie lokali,

które wchodziły w grę, zabierali ze sobą Owena. Chcieli, żeby było tam wystarczająco płasko dla balkonika i wózka. Poza tym odległość od szpitala w Basingstoke albo Southampton miała być na tyle nieduża, żeby na wypadek gdyby Little B źle się poczuł, dało się szybko dojechać tam samochodem. Idealne miejsce powinno również znajdować się niezbyt daleko od domu – to zaoszczędzi im kłopotów z przeinstalowywaniem aparatu tlenowego.

Colleen oglądała w telewizji programy, w których kobiety wydają na ślub tysiące i zmieniają się w „Panny młode z piekła rodem”. Ona i Will planowali tylko staroświecki, romantyczny dzień z kwiatami, świecami i garstką starannie dobranych gości. Wcześniej mieli już upatrzone doskonałe miejsce na przyjęcie w blasku świec, ale kiedy Will oszedł z sił zbrojnych, musieli zrezygnować z tego lokalu ze względu na koszty. Przy jednej pensji było u nich dość krucho z pieniędzmi i chociaż zdawali sobie sprawę, że jest wielu ludzi w znacznie gorszej sytuacji finansowej niż oni, skrupulatnie planowali wydatki. Poza tym chcieli mieć pewność, że pobierają się z właściwych powodów. Colleen tak po swojemu – w nowozelandzkim stylu, prosto z mostu – powiedziała sobie: Ślub to po prostu potwierdzona podpisami na kawałku martwego drzewa informacja dla świata o tym, jak bardzo się kochamy.

Zrezygnowali ze wszystkiego, co było raczej zachcianką niż potrzebą. Uznali, że najważniejsze, aby oni i Owen mieli piękny dzień, i ostatecznie zdecydowali się na znacznie mniejszą uroczystość dla uczczenia faktu, że resztę życia zamierzają spędzić razem. W końcu po wielu poszukiwaniach natrafili na Barton’s Mill, okoliczny przyjazny pub w przerobionym młynie wodnym na brzegu rzeki Loddon w Old Basing, zaledwie kwadrans drogi od ich domu. Jak się okazało, jest tam także jezioro, a nieopodal stoi współpracująca z pubem staroświecka restauracja.

Barton’s Mill ma koncesję na udzielanie ślubów cywilnych, a lokal jest głównie na jednym poziomie, więc Willowi i Colleen wydał się idealny, choć bali się o koszty. Jednak gdy pojechali tam po raz pierwszy z Owenem i Haatchim, tak bardzo przypadli do serca właścicielom, że ci zaproponowali zniżkę, dzięki której przyszłych małżonków stać było na wesele w starym młynie.

Kiedy w ogródku pubu przy drinku świętowali zakończenie poszukiwań, czuli się najszczęśliwsi na świecie. Problem miejsca został rozwiązany, więc musieli tylko dopracować szczegóły. We trójkę z przejęciem dyskutowali o swoich planach, a Colleen nie mogła się już doczekać, żeby zacząć wprowadzać je w życie. Na ślubie

miało być około pięćdziesięciu gości, a potem na przyjęciu weselnym wieczorem drugie tyle. Ogrody Barton's Mill są oddalone o kilkaset metrów od malowniczego wiktoriańskiego wiaduktu z czerwonej cegły, który dalej, już jako most, spina brzegi rzeki – to mogłoby być doskonałe tło dla ślubnych zdjęć.

Podczas gdy rozmawiali, Haatchi leżał obok nich w doskonałym nastroju. Nagle usiadł, napiął mięśnie i cały zaczął się trząść. Natychmiast to zauważyli. W pierwszej chwili pomyśleli, że coś mu zaszкодziło. Colleen zaczęła głaskać psa, a wtedy usłyszała odgłos, który zmroził jej krew w żyłach.

– O, Boże! – krzyknęła. – Pociąg. Pociąg jedzie przez most! Haatchi to usłyszał!

Odkąd przygarnęli owczarka, bardzo pilnowali, żeby nigdy nie zabierać go na stację ani w okolice torów; nie chcieli, żeby dręczyły go dramatyczne wspomnienia. A w Barton's Mill przez nieuwagę rozsiedli się niemal pod ogromnym wiaduktem, którym biegła główna trasa z Londynu przez Basingstoke do Plymouth. Do tamtej chwili nawet nie zdawali sobie sprawy, że tak blisko jest linia kolejowa. Jako psia trenerka Colleen zdawała sobie sprawę, że to, jak się zachowają przez następnych kilka minut, będzie decydujące dla przyszłości Haatchiego. Odwróciła twarz od skulonego ze strachu zwierzęcia i mruknęła do Willa i Owena:

– W żadnym wypadku nie patrzcie na psa ani nie reagujcie!

Ponieważ bardzo żał im było ukochanego pupila, musieli całą siłą woli się hamować, żeby nie zacząć go uspokajać, kiedy tak drżał i dygotał na odgłos nadjeżdżającej lokomotywy. Najwidoczniej przypomniawszy mu się tamta styczniowa noc, kiedy o mało nie zginął.

Pociąg turkotał niemal nad ich głowami. Colleen kątem oka zauważyła, że Haatchi rzuca na nich niespokojne spojrzenia. Stulił uszy, a kikucik ogona miał mocno podkulony. Siedzieli, wstrzymując oddech. Tymczasem wagony minęły ich z łoskotem i pies wreszcie przestał cały drżeć. Potem pytająco przechylił głowę. Najwyraźniej zdziwiony zauważył, że nie tylko nadal żyje, ale też jego rodzina najwyraźniej ani trochę się nie przestraszyła.

Patrzył na nich tak, jakby chciał wzruszyć swoimi psimi ramionami i powiedzieć: „Hej, nic się nie stało!” Potem klapnął znów na trawę i z poczuciem, że jest bezpieczny, zabrał się do lizania łap.

Ten moment był straszny dla nich wszystkich. I wzbudził silne emocje. Pod wpływem strachu Haatchi mógł rzucić się do ucieczki i znów fatalnie uszkodzić sobie

tylną łapę. Colleen wiedziała, że nie zdołaliby go powstrzymać, gdyby naprawdę chciał zwać. Ale pies im zaufał. Jeszcze raz dowiódł, że chociaż kiedyś jakiś człowiek zrobił mu coś strasznego, on przebaczył wszystkim ludziom.



# Rozdział 8

*...aby mieć Cię od tego dnia za żonę, na dobre i na złe, w dostatku i biedzie, w chorobie i zdrowiu, dopóki śmierć nas nie rozłączy...*

Tradycyjna przysięga małżeńska

Staranne planowanie najszczęśliwszego – mieli nadzieję – dnia w życiu zajęło narzeczonym wiele miesięcy. Kiedy mieli już ustaloną datę i zarezerwowane miejsce, zaczęli myśleć o wszystkim, co jeszcze trzeba zorganizować.

Ukochana ciotka Colleen Tui przylatywała z Australii, żeby poprowadzić do ślubu bratanicę, która nosi po niej imię. Drugie imię Tui brzmi Colleen, a pierwsze to nazwa popularnego w Nowej Zelandii ptaka. Właśnie tej ciotki dotyczyło kilka najpiękniejszych wspomnień z dzieciństwa, więc Colleen nie mogła się już doczekać, kiedy znów ją zobaczy i przedstawi całej cudownej rodzinie, do której wkrótce wejdzie.

Na ślub zaprosili tylko najbliższych. Nawet ich florystka Sue Pritchard jako teściowa Esther, siostry Willa, była z nimi spowinowacona. Specjalnością Sue są staroświeckie rośliny – róże, zioła, dzikie kwiaty – właśnie takie, jakie para sobie wymarzyła. Przejście do miejsca zaślubin miało być udekorowane miniaturowymi drzewkami lawendowymi, a weselne stoły przystrojone świeżą miętą, rozmarynem i liśćmi wawrzynu. Dla Colleen Sue zaplanowała bukiet z różowych róż o ciemniejszych odcieniach (gatunki *Peace* i *Amnesia*), a dla Willa i Owena pasujące kolorem różyczki do butonierek.

Zdaniem obojga narzeczonych szczególnie ważne było ustalenie menu: chodziło o dobre, proste potrawy, nic zbyt wymyślnego. W Barton's Mill zaproponowano im doskonały trzydaniowy lunch i szwedzki stół na wieczór. Tort weselny miał być złożony z trzech warstw, z ciemnoczerwoną polewą, usiany białymi, jak z koronki, cukrowymi kwiatami i motylami. A Haatchiego czekały specjalne ciasteczka w kształcie kości.

Na noc poprzedzającą ślub Colleen zarezerwowała w miejscowym czterogwiazdkowym hotelu Audleys Wood pokoje dla siebie, swoich dwóch druhen, matki, ciotki i kilku koleżanek. Wynajęty austin 12 (rocznik 1929) miał zawieźć na miejsce najpierw Willa, Little B i Haatchiego, a potem wrócić po nią.

Druhnami panny młodej zostały jej długoletnia przyjaciółka Jenny Hawkes (jej mąż Zaren miał usadzać gości na weselu) oraz przyjaciółka i koleżanka z pracy Lisa Ford.

Colleen zawsze chciała, żeby suknia, którą włoży do ślubu, była inna niż wszystkie. Nie zależało jej specjalnie na tradycyjnej bieli lub kości słoniowej. W końcu znalazła w Internecie dokładnie to, czego potrzebowała: dzieło australijskiej projektantki Mariany Hardwick: surowy jedwab w kolorze przybrudzonego różu i koronkowa góra. Natomiast druheny miały wystąpić w dopasowanych do tej kreacji sukniach z szyfonu.

Po śmierci babci Sylvii Kathryn poprosiła córkę, żeby wzięła, co chce z rzeczy zmarłej. Colleen rozejrzała się po pokoju i niemal usłyszała, jak babciny głos kieruje ją do małego puzderka, które kryło filigranową srebrną broszkę w kształcie motyla. Ponieważ zawsze uwielbiała motyle, wybrała właśnie ten drobiazg. Stał się dla niej najcenniejszym skarbem. Dlatego jako coś starego przypięła motyla do różowego satynowego pantofla, żeby czuć, że babcia towarzyszy jej do ślubu. Suknia była tym czymś nowym i miała coś niebieskiego (metkę), a za coś pożyczonego służyła wstążka do ozdoby nadgarstka. Włosy Colleen zamierzała ozdobić strasowymi spinkami w kształcie motyli i drobnymi perełkami.

Will i Little B wypożyczyli eleganckie ciemne garnitury w kolorze kamienia łupkowego, z haftowanymi kamizelkami o odcieniu kości słoniowej i różowymi plastronami<sup>[18]</sup>. W specjalnej kieszonce kamizelki Owen miał trzymać proste złote obrączki.

Wybieranie muzyki sprawiło narzeczonym szczególną przyjemność. Ceremonia niewątpliwie zapowiadała się na emocjonujące wydarzenie, ale pamiętali, żeby obok utworów szczególnie dla nich obojga ważnych, znalazło się też parę lżejszych kawałków. Po *Stand By Me* Bena Kinga Colleen miała zostać poprowadzona do ślubu przy wtórze *I Will Love You* Kathy Fisher. Po raz pierwszy zetknęła się z tą pieśnią, kiedy zamieścił ją na Facebooku psi przyjaciel Haatchiego, znany pod pseudonimem Malibu Thomson, Ambasador Miłości do Ludzi Starszych. Dla rozluźnienia atmosfery – gdyby robili się zbyt sentymentalni – Will i Colleen zaplanowali też *I Fought the Law and the Law Won* w wykonaniu zespołu The Clash.

Ślubu miał udzielać miejscowy urzędnik stanu cywilnego. Oprócz tradycyjnej przysięgi małżeńskiej państwo młodzi zamierzali odczytać swoje osobiste obietnice, które zdecydowanie mogły wywołać łązy wzruszenia – i to nie tylko u nich dwojga. Młodzi filmowcy z Hertfordshire University, Jonna i Carl, obiecali uchwycić kamerą każdy moment uroczystości.

Wśród zaproszonych na ten wielki dzień, oprócz rodziny, przyjaciół i kolegów z pracy, byli również David i Suzanne Brockowie i Michael McVeigh. Na liście gości znalazły się Angela Griffiths z Greyfriars i poznaną na wystawie Crufts Joanne Cleeve, która pierwsza zrobiła Haatchiemu terapeutyczny masaż. Nowożeńcom miała także kibicować Sue Crilly z organizacji UK German Shepherd Rescue, ich przyjaciółka od czasu adopcji Haatchiego, a specjalnie przylecieć ze Stanów planowali Jodi i Peter Kennedy.

Kiedy Will oświadczył się Colleen, doszli do wniosku, że zamiast sporządzać listę wymarzonych prezentów ślubnych (uznali, że niczego więcej im nie trzeba), poproszą przyjaciół i rodzinę o składkę na wyjątkowe wakacje dla Owena. Pragnęli zabrać chłopca w jakieś miejsce, na które był wystarczająco mały, żeby sprawiło mu frajdę, a zarazem dość duży, żeby je docenił. I wtedy – tuż przed Bożym Narodzeniem – przyszły im do głowy odwiedziny u Świętego Mikołaja w Laponii. Oczywiście, zdawali sobie sprawę, że organizacja takiego przedsięwzięcia to ogromne wyzwanie (ze względu na konieczność transportowania tlenu i ograniczoną dostępność różnych miejsc), ale obydwójce czuli, że pomysł jest wart zachodu.

– Nie żebyśmy byli fatalistami, ale nie wiemy, co w najbliższej przyszłości czeka Owena. Chcielibyśmy, żeby zachował jak najwięcej cudownych wspomnień – wyjaśniła Colleen.

Postanowili więc dyskretnie ustawić na weselu skrzynkę, do której goście wrzucą swoje datki. Cała akcja miała być wielką niespodzianką dla Little B, dlatego wszyscy musieli trzymać to w tajemnicy.

Zadowoleni ze swojej decyzji i wdzięczni losowi, że obaj, Haatchi i Little B, cieszą się na tyle dobrym stanem zdrowia, na ile to możliwe, narzeczeni kontynuowali przygotowania do ślubu. Mieli nadzieję zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na noc poślubną w hotelu, a później na prawdziwy miesiąc miodowy – pierwsze wspólne zagraniczne wakacje. Ponieważ Will oświadczył się Colleen w domku na drzewie, byli zachwyceni, gdy odkryli piękny kurort z takimi właśnie domkami w

Kostaryce. Wpłacili więc zaliczkę i niecierpliwie czekali na podróż życia.

A potem naszły ich wątpliwości.

Po pierwsze, zakwestionowali sens wydatku na hotel, skoro niedaleko mają swój idealny, wygodny bungalow. Gdyby po weselu po prostu wrócili do domu, nie trzeba by martwić się o Haatchiego i Little B, bo chłopiec i pies zostaliby w znajomym otoczeniu i uniknęli dodatkowego stresu.

– Owen już się trochę niepokoił, że będzie drużbą, więc chcieliśmy, żeby wszystko przebiegło możliwie spokojnie, bo stres mu szkodzi – opowiadał Will.

Odwołali więc rezerwację.

A wtedy zaczęli się zamartwiać, że z powodu podróży poślubnej opuszczą Owena na dwa tygodnie. Kim miała lada moment zostać wysłana do Afganistanu i w okresie, na który planowali swój wyjazd, niemal na pewno byłaby za granicą. Chociaż Little B uwielbiał odwiedzać dziadków, a ich parterowy dom w hrabstwie Devon specjalnie dla chłopca zmodyfikowano – miał rampę i aparaturę tlenową – nadal pozostawało pytanie, czy starsi państwo dadzą radę przez tak długi czas wstawać co noc po kilka razy.

Zanim Haatchi poślizgnął się i poturbował, Colleen przeżywała mękę niezdecydowania. Kto mógłby wziąć go pod opiekę na czas ich nieobecności? A potem wydali wszystkie pieniądze ze Spaceru Auć-Auć na leczenie owczarka i resztę kosztów pokryli z własnych zasobów. Dwa tygodnie w ośrodku rehabilitacji okazały się rujnująco drogie. W dodatku, kiedy Colleen sprawdziła, ile musiałyby kosztować wycieczka z Owenem do Laponii, zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Zabrać niepełnosprawne dziecko ze szczególnymi potrzebami w taką podróż to oczywiście ogromne wydatki, ale Colleen uświadomiła sobie również, że skoro proszą innych, żeby je częściowo pokryli, czułaby się nie w porządku, gdyby jednocześnie sami wybrali się na ekstrawagancki miesiąc miodowy. Słyszając, że postanowiła skasować również drugą rezerwację i wycofać zaliczkę, Will nie mógł uwierzyć własnym uszom. Podobnie jak Colleen bardzo czekał na tę ich wielką frajdę, ale musiał przyznać narzeczonej rację – miesiąc miodowy w Kostaryce to dla nich zbyt duży luksus.

Po tym jak już zrezygnowali z wyjazdu za granicę, przypomnieli sobie o Jan Wolfe, ich facebookowej przyjaciółce, która na terenie posiadłości Ardmaddy Estate w Argyll – mniej niż godzinę drogi od miejsca, gdzie Will się oświadczył – prowadzi przyjazny dla psów ośrodek z domkami letniskowymi, gdzie goście żywią się we własnym

zakresie. Natychmiast skontaktowali się z Jan i dostali odpowiedź, że dawny dom przewoźnika, tuż nad jeziorem, nie jest jeszcze zarezerwowany na ostatni tydzień sierpnia. Wybór Ardmaddy Estate oznaczał, że mogą zabrać na wakacje Haatchiego i Mr Pixela, więc nie muszą opłacać im hotelu dla psów. Mieli też szansę jeść to, co lubią – i tanio. A w razie jakiejś nagłej potrzeby byłiby w tym samym kraju co Owen, który spędzi ten tydzień u dziadków w Devon.

Decyzję pary przypieczętowała opinia Andy’ego Mooresa. Tydzień przed ślubem chirurg obwieścił, że jest zachwycony postępami Haatchiego i prawdopodobnie druga operacja w ogóle nie będzie potrzebna. Ostatnie badania wykazały, że dzięki diecie i hydroterapii owczarek wraca do zdrowia o dwa tygodnie szybciej, niż weterynarze się spodziewali. Teraz mógł stopniowo zwiększać aktywność i obciążać tylną łapę. Nie musieli już trzymać go w boksie przez cały dzień – w Szkocji chodziłby z nimi na niezbyt forsowne spacery i pływał.

Los znowu zainteresował i teraz miesiąc miodowy zapowiadał się wreszcie tak, jak było im pisane.

Przyszły pan młody postanowił, że wieczór, który żartobliwie nazywał swoim „ostatnim wieczorem na wolności”, spędzi tylko z Owenem. Udali się razem do kina na animowany film w 3D pod tytułem *Samoloty*, a potem, zanim wrócili do domu, wpadli jeszcze na hamburgery. Całując synka na dobranoc, Will myślał o tym, jak daleko zaszli i ile mieli szczęścia, że w ich życiu pojawili się Colleen i Haatchi.

Tymczasem Colleen zjadła obiad ze swoimi druhnami, Lisą i Jenny, przyjaciółkami i rodziną. Koleżanki już wcześniej zafundowały jej niespodziankę – wieczór paniński w londyńskim hotelu spa z kursem gotowania Jamiego Olivera. Colleen żałowała jedynie, że dziadkowie nie doczekali tych chwil, żeby móc się cieszyć szczęściem wnuczki. Obydwoje życzliwi i wielkoduszni byli dla niej inspiracją i doskonałym wzorem do naśladowania.

Kiedyś Colleen zapytała babcię o tajemny przepis na szczęśliwe małżeństwo. Sylvia odparła, że najważniejsza ze wszystkiego jest zdolność porozumiewania się, a zwłaszcza słuchania tego, na co możemy wcale nie mieć ochoty. Krzyk nigdy nie pomaga, mówiła, bo wtedy nikt cię nie słucha. Dodała, że codzienne pocałunki w usta to niezbędna i jedna z najintymniejszych rzeczy, jakie małżonkowie mogą robić, to wyraz całkowitego zaufania. Ostrzegła też wnuczkę: „Dzień, w którym ludzie przestają się całować, jest dniem, kiedy ich małżeństwo wpada w poważne tarapaty”. Colleen

zwróciła się po mądrą radę także do dziadka i również jego zapytała, jaka jest recepta na szczęście w małżeństwie. Bez wahania wyrwał z ucha aparat słuchowy i oznajmił: „Właśnie taka! I załatwione!”

W sobotę, 17 sierpnia, ranek wstał szary i pochmurny, ale Colleen i Willowi nic nie mogło zepsuć nastroju. Kiedy się obudzili, jak nakazuje tradycja w różnych miejscach, na ich twarzach był tylko uśmiech, bo długo oczekiwany dzień ślubu kazał im zapomnieć o wszystkich kłopotach.

Colleen sprawdzała, czy paznokcie po niedawnym manikiurze i pedikiurze nadal prezentują się nieskazitelnie, w tym czasie druhna Lisa, która na pół etatu pracuje jako fryzjerka, zakręcała jej loki. Jenny też brała udział w tych przygotowaniach.

A kilka kilometrów dalej tatuś pomagał Owenowi ubrać się w mały garnitur. Później na wielkiej szyi Haatchiego wspólnie zapięli nową plecioną, purpurowo-białą obrozę. Will widział, jak chłopiec się denerwuje, więc cieszył się, że ma czym odwrócić jego uwagę.

Kiedy tylko sam już był gotów, wręczył synkowi prezent od pana młodego dla drużby – pierwszy prawdziwy zegarek. Owen przybił z tą piątkę i jak to on krzyknął: „Ale odlot!” Zerkając zza okularów przymrużonymi oczami, Little B podziwiał stylowy model z czarnym gumowym paskiem i powiększoną tarczą. Potem przez resztę dnia wszystkich dumnie informował, która godzina.

W ciągu tygodni poprzedzających ślub para kilkakrotnie zabierała Haatchiego do Barton’s Mill, aby się upewnić, że w pełni przywykł do kolejowych odgłosów.

– Za każdym razem, kiedy słyszał nadjeżdżający pociąg, świetnie się spisywał – opowiadał Will. – Spoglądał w górę, sprawdzał naszą reakcję, a kiedy widział, że nic sobie nie robimy z tego turkotu, kładł się z powrotem. To mądry pies, sam sobie wszystko przetłumaczył. Aż trudno uwierzyć, że mamy go dopiero półtora roku. Wydaje się, jakby był z nami całe życie. Ale przez ten czas zrozumiał, że teraz, kiedy jest pod naszą opieką, zrobimy co w naszej mocy, żeby nigdy więcej nie stała mu się żadna krzywda.

W malowniczej scenerii młyna wodnego, w jego stylowym wnętrzu, gdzie miała się odbyć ceremonia, na Willa i Owena czekali już przyjaciele i krewni – przybyli wcześniej, żeby dodać im otuchy. Państwo Kennedy, goście ze Stanów, byli zachwyceni, że nareszcie poznali wszystkich, a dla Jodi wydarzenia tamtego dnia były

niesamowicie wzruszające.

– Ich rodzinę łączy jakaś potężna więź z radością – opowiadała. – Przy rozdawaniu kart dostali właśnie te, które są wielkim wyzwaniem, a jednak każde z nich jest wspaniałym, inspirującym przykładem, jak cenić dary życia. Oni nam przypominają, co tak naprawdę się liczy.

Jej mąż mówił, że znajomi w Ameryce uznali za szaleństwo podróż do Wielkiej Brytanii tylko po to, żeby uczestniczyć w ślubie pary poznanej przez Internet zaledwie kilka miesięcy wcześniej. A na koniec dodał:

– Will, Colleen i Owen tyle nas nauczyli. Oni każdemu tym odpłacają. Nabraliśmy pokory, widząc, jak kierują swoim życiem. I to na pewno zmieniło nasze życie.

Matka Colleen, Kathryn, była niesamowicie dumna z córki i przyszłego zięcia. Stwierdziła też, że teraz obserwując Owena, nigdy by w nim nie rozpoznała tamtego nieśmiałego chłopczyka, którego spotkała po raz pierwszy przed czterema laty. „Taki jest towarzyski i wesoły. Dzięki Colleen i Willowi, a przede wszystkim dzięki Haatchiemu stał się dużo bardziej otwarty. Oni razem tworzą wspaniałą rodzinę”.

Ciocia Tui natomiast, niezwykle elegancka w kapelusiku z piórami, dodała: „Widziałam go, kiedy Colleen i Will dopiero co się poznali, ale wtedy Owen strasznie się bał nowych ludzi. Teraz jest całkiem inny. Nie mogę oderwać od niego oczu – wprost niewiarygodna zmiana. Tyle się nasłuchiwałam o jego wielkim trójłapym psie, ale spotkać Haatchiego to jest coś! Zdumiewające, ile on zrobił dla Owena. Obaj są tacy wspaniali, mili i niezwykli”.

Mimo deszczu ślub wypadł pięknie, chociaż Will nie mógł powstrzymać łez, kiedy zobaczył, jak Colleen kroczy ku niemu, wsparta na ramieniu ciotki Tui. Ten widok „po prostu zapierał dech w piersi”, wspominał później Will. Gdy Tui i drużyna również się rozplakały, w sali zaczęły krążyć pudełka z papierowymi chusteczkami. Napięcie rozładował dopiero Haatchi – zaczął głośno szczekać i trącać przednią łapą najpierw stół, a potem pannę młodą.

– Nie był przyzwyczajony widzieć mnie taką wystrojoną – opowiadała Colleen. – A już na pewno nie był przyzwyczajony widzieć, jak płaczę. Myślę, że kiedy usłyszał mój głos, nagle załapał, że ta pani w sukni to ja, i chciał zwrócić na siebie uwagę.

Podczas gdy Owen robił zdjęcia aparatem babci Joan, nowożeńcy kontynuowali swoją wspólną długą podróż: wzięli się za ręce i odwróceni ku sobie twarzami – po złożeniu oficjalnej przysięgi małżeńskiej – wyrecytowali przyrzeczenia, które napisali

specjalnie dla siebie. Na poły płacząc, na poły się śmiejąc, pan młody powiedział: „Ja, Will, wobec wszystkich tu zgromadzonych szaleńców, biorę tę oto niezłą laskę za żonę, żeby była moją przyjaciółką, kochanką, moim termoforem na zimne noce i towarzyszką życia. Będę się o ciebie troszczył, będę cię chronił, będę nad tobą czuwał i cię wspierał; powiem ci, kiedy będziesz robiła głupoty, i będę w tobie wszystko uwielbiał.

Ślubuję kochać cię w doskonałych okresach życia i w tych zaledwie świetnych, niezależnie od tego, jak często twoją uwagę odciągnie Facebook albo kanał Crime Investigation... choć przyznam, odrobinę mnie to niepokoi, że tak namiętnie oglądasz *Kobiety, które niosły śmierć*.

A ponadto przyrzekam, że nic tego wszystkiego nie zmieni, nawet gdyby chwilowo rozproszył mnie widok twoich pięknych przyjaciółek. Obiecuję rozumieć cię, kiedy cię nie rozumiem; przyznawać, że się mylę, kiedy mi się tylko wydaje, że mam rację, i co najmniej raz w tygodniu kupować ci kwiaty, bo na pewno zrobię coś, za co powinienem przeprosić.

W obecności tych wszystkich sza... hm, naszych najmilszych krewnych i przyjaciół uroczycie ci ślubuję, że będę dla ciebie cudownym towarzyszem życia i kochankiem; w zdrowiu i w chorobie, w czasach dobrych i złych, w radości i w smutku. Oddaję ci moje serce, moją miłość, moją duszę. Kocham cię i zawsze będę cię kochał.

Kiedy w końcu przycichły śmiechy, Colleen zwróciła się do swojego wybranka:

– Sprawiasz, że miłość to nic trudnego. Na początek powiem: życie w grzechu było tego warte. Teraz wiem, że jesteś w stanie znosić moje irytujące nawyki.

Zbierasz kubki z niedopitą kawą, które zostawiam w całym domu. Pozwalasz mi się wysypiać w moje wolne dni i zawsze wiesz, gdzie rzuciłam komórkę i klucze, kiedy wpadam w panikę i wrzeszczę, że ktoś mi je znowu schował.

Przy tobie nauczyłam się nie robić nic pochopnie, chociaż decyzję o tym, żeby się tu znaleźć, potrafiłam podjąć nieco szybciej. Z czasem dobrze cię poznałam. Jesteś wspaniałomyślnym, kochającym, wrażliwym, dobrym człowiekiem i cudownym tatą dla Owena. – Po chwili lekko zdławionym głosem ciągnęła dalej: – Ja, Colleen, biorę sobie ciebie za męża, przyjaciela, kochanka, za mój termofor i towarzysza życia, jak również za mojego partnera, dobrego glinę w patrolu warzywnym ścigającym seryjne Obiadowe Przystępstwa Owena.

Będę cię bezwarunkowo kochała, wspierała w dążeniach, poważała i szanowała.



Nie będę się za bardzo na ciebie złościła (chyba że w piątki). Będę zawsze słuchała wszystkiego, co masz do powiedzenia, nawet jeśli się z tobą nie zgodzę. Będę starała się pamiętać, że miłość mówi: „Ja odczuwam to inaczej”, zamiast: „Mylisz się”. I nadal będę kochała Owena tak jak własnego syna, bo oficjalnie staję się twoją partnerką w jego życiu.

Obiecuję kochać cię w czasach doskonałych i w zaledwie wspaniałych, niezależnie od tego, ile razy w całym domu zostawisz otwarte drzwiczki szafek jak dekoracje do filmu *Szósty zmysł*. Będę opierać się pokusie, żeby zdzielić cię wałkiem, kiedy rzucasz zużyte torebki po herbacie na dębowe blaty w kuchni. Będę pocieszać cię w chwilach żalu, łącznie z burzliwymi sezonami rozgrywek w rugby, krykieta i piłkę nożną (zwłaszcza kiedy Brytania dostaje baty od Nowej Zelandii).

W obecności naszych krewnych i przyjaciół, którzy nalegali, aby się przyłączyć, uroczyście ci ślubuję, że z anielską cierpliwością będę cię pielęgnowała w chorobie i zdrowiu, mimo twojego biadolenia na kacu na własne życzenie, jak również mimo typowo męskich deklaracji przy każdym katarze, że zaraz zejdziesz. Ale przede wszystkim obiecuję cię kochać we wszelkich okolicznościach, radosnych i smutnych, łatwych i trudnych, kiedy świeci słońce i kiedy pada. Przez resztę moich dni.

Jestem najszcześliwszą dziewczyną na świecie i nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mogła starzeć się z kimś innym. Więc starzejmy się razem, bez godności.

Owen, oparty na balkoniku, stał kilka kroków dalej i ciągle sprawdzał godzinę na swoim nowym zegarku. Will dał synkowi harmonogram, rozpisany po wojskowemu co do minuty, więc Little B chciał mieć pewność, że wszystko odbywa się o czasie. Głęboko w specjalnej kieszonce kamizelki trzymał aksamitny woreczek z obrączkami. Przed ceremonią zaślubin i w jej trakcie co raz go wyciągał, żeby się upewnić, że złote kółka nadal tam są. A kiedy nadeszła pora, na dany znak uroczyście wręczał po kolei obrączki, z dumą zerkając na swojego tatę.

Potem Pat Morgan, urzędniczka stanu cywilnego, zwróciła się do zebranych:

– Czy ktoś zna powód, dla którego Colleen i Will nie mogliby zostać mężem i żoną?  
– Zapadła cisza. Kobieta czekała, jak uznali zebrani, o kilka sekund dłużej niż zwykle. Will i jego syn potajemnie się umówili, że chłopiec powie głośno: „Nie! Jedźmy dalej!”, ale w decydującej chwili Little B się speszył. Urzędniczka popatrzyła na Willa: – Jeszcze chwilę czekamy? – spytała, ale Owen zdecydowanie pokręcił głową, więc ceremonia dobiegła końca. Tym razem nawet Haatchi nie zgłaszał sprzeciwu.

Owen odmówił również wygłoszenia na finał swojej ulubionej kwestii: „Nic dodać, nic ująć!” – spontanicznego żartu, którym siedmiolatek stanowczo nie chciał popisywać się na zamówienie.

W ciągu całej uroczystości zdarzył się tylko jeden kłopotliwy moment. Podczas podpisywania dokumentów Colleen miała podać pełne imiona i nazwisko ojca, ale nie potrafiła. Pomogła jej ciocia Tui, a wtedy urzędniczka spytała, czy ojciec żyje.

– Żyje? – beznamiętnie zwróciła się Colleen do ciotki z tym samym pytaniem.

Tui roześmiała się i skinęła głową. Powiedziała urzędniczce, że widziała swojego brata parę tygodni wcześniej.

Colleen zapytała, czy w akcie ślubu nie mogłoby figurować tylko nazwisko jej matki. Niestety, zgodnie z prawem dane ojca też musiały się tam znaleźć. Zdecydowana nie dopuścić, żeby cokolwiek popsło ten dzień, panna młoda po prostu się uśmiechnęła i odpuściła.

Po zakończeniu ceremonii ślubnej szczęśliwi nowożeńcy wyszli na dwór, bo deszcz akurat na chwilę przestał padać, i gawędzili ze wszystkimi, sącząc szampana przed posiłkiem. W czasie, gdy zabawiali gości, Carl i Jonna, którzy kręcili film ze ślubu, zabrali Little B na stronę i poprosili o parę słów do kamery. Chłopiec wziął głęboki wdech, uśmiechnął się szeroko, niczym zawodowiec spojrział prosto w obiektyw i oznajmił: „Kochani Colleen i tatusiu, chciałbym wam powiedzieć: gratulacje i dobra robota. Tak bardzo was kocham. Nie mogę uwierzyć, że wzięliście ślub!”

Było pewne, że to ujmujące nagranie doprowadzi widzów do łez.

Cała rodzina pana młodego przyjechała mu powinszować, łącznie z trójką jego rodzeństwa i ich siedmiorgiem dzieci. Kilku krewnych wygłosiło nawet żartobliwe przemówienia. Siostra Willa Esther była w zaawansowanej ciąży i niedługo miała urodzić chłopczyka Seta. Dwa miesiące wcześniej druga siostra, Bethany, szczęśliwie wydała na świat córeczkę Ettie, a u brata, Eda, rodzina też niedawno powiększyła się o kolejne dziecko Adę. Po narodzinach trojga wnucząt w jednym roku matka Willa Joan mówiła, że chociaż wiadomo, że choroba Owena to „przypadek” spowodowany przez dwa zestawy wadliwych genów, za każdym razem odczuwali niepokój, kiedy dowiadywali się o nowej ciąży, i wielką ulgę, kiedy rodził się zdrowy dzidzius.

Fotograf ślubny Nigel Rousell, dawny kolega Colleen i przyjaciel nowożeńców, zapytał, czy może zrobić im kilka zdjęć pod wiktoriańskim kolejowym wiaduktem z czerwonej cegły.

– Tak, ale tym razem bez Haatchiego – stanowczo oznajmiła Colleen. Akurat w tej chwili jej ocalony trójłapy pies leżał wygodnie rozciągnięty przy kominku, w błogiej nieświadomości, że niedaleko jeżdżą jakieś pociągi.

Wiedząc, że Haatchi czuje się bezpieczny i szczęśliwy, państwo młodzi powędrowali krętą żwirową ścieżką, żeby pozować do kolejnych zdjęć upamiętniających ich wyjątkowy dzień.

Dopiero jakiś czas po powrocie do starego młyna Colleen zerknęła w dół i zamarła: srebrny motyl, którego przypięła do pantofelka, zniknął. Z trudem powstrzymywała łzy, nie mogła uwierzyć, że zgubiła swoją najcenniejszą rzecz.

Następna godzina upłynęła na systematycznym przeszukiwaniu sali, terenu wokół budynku i ścieżki prowadzącej pod wiadukt. Jodi Kennedy – ich wysoko postawiona przyjaciółka ze Stanów – zrzuciła designerskie pantofle i boso przemierzała każdy centymetr mokrego trawnika w nadziei, że może wyczuje broszkę gołą stopą. Szofer starego austina sprawdził, czy cennego drobiazgu nie ma w samochodzie, a personel Barton’s Mill i weselnymi gości zwerbowano do niemal policyjnej rewizji wszystkich pomieszczeń, w których Colleen tego dnia była.

Panna młoda, choć potwornie zmartwiona, starała się nie dopuścić, żeby jej przykrość wszystko zepsuła. Powtarzała sobie, że ukochana pamiątka w końcu się odnajdzie. A potem, kiedy już zaczynało zmierzchać, pewna bystrooka przyjaciółka wracała samotnie żwirową ścieżką i dostrzegła broszkę lśniąca w deszczu.

Łzy smutku szybko ustąpiły miejsca łzom radości, gdy Colleen przycisnęła swój skarb do serca. Jej matka Kathryn roześmiała się i stwierdziła:

– Jestem pewna, że to babcia wykręciła taki numer. Po prostu chciała ci powiedzieć: „Nie zapominaj o mnie, też jestem częścią tego dnia!”

Dla uczczenia szczęśliwego finału poszukiwań Will zamówił duże piwo i uparł się, że bezpiecznie przechowa srebrnego motyla w kieszeni kamizelki. Kamień spadł mu z serca, że już po tragedii, więc nakarmił Haatchiego, a później, zanim rozpoczęły się wieczorne hulanki, owczarek został odwieziony do domu, do specjalnie dla niego wybudowanej sypialni.

Little B ucałował przyjaciela na dobranoc i wrócił się bawić. Prawie w ogóle nie brał udziału w akcji poszukiwania zaginionej broszki. Nie żeby to go nie interesowało, ale po prostu w tym czasie bardzo ochoczo zajmował się czymś innym. Oprócz innych ekscytujących przeżyć tego dnia – nowego zegarka i występu w roli drużby – miał

wspaniałą rozrywkę: po raz pierwszy w swoim prawie ośmioletnim życiu zobaczył, jak się puszcza bańki. Na każdym stole Colleen postawiła małe butelki z płynem do baniek mydlanych. Plastikowe pojemniki były na tyle poręczne, że chłopiec mógł ich bez trudu używać. Ściskając je po kolei w dłoni, ani przez chwilę nie poczuł się zmęczony, kiedy zanurzał w środku specjalną pałeczkę, a potem przysuwał ją do oczu, żeby sprawdzić, czy jest napełniona mydlinami, i dmuchał. Nie porzucił swojej nowej ulubionej zabawy, nawet kiedy wynajęta wokalistka Rhiannon Wolfe rozpoczęła wieczorne przyjęcie kilkoma klasycznymi przebojami muzyki rockowej. Wszyscy zgromadzili się dookoła i słuchali. Little B też przytoczył swój balkonik bliżej. Kołysał się w takt muzyki i jednocześnie puszczał bańki.

Po pierwszym tańcu Willa i Colleen Owen też tańczył w ich objęciach do utworu, o który osobiście poprosił: *I Gotta Feeling* Black Eyed Peas, i podśpiewywał z zespołem: „Coś mi się zdaje, że dzisiaj będzie dobra noc!”

Potem, ku powszechnemu zaskoczeniu, muzyka umilkła, a na scenę wkroczyli Will i Bill Howkinsowie z gitarą i mikrofonem.

– W naszej rodzinie istnieje długa tradycja, że przy każdym rodzinnym wydarzeniu tata pisze okolicznościową piosenkę i ją wykonuje – wyjaśnił zdumionym gościom pan młody, stojąc cały w nerwach przed tłumem. – Teraz wziął na warsztat mnie!

Rodzina i przyjaciele nie odrywali wzroku od gitarzysty. Bill – który amatorsko grywa w zespole w pubie – uderzył kilka pierwszych akordów i zaintonował pieśń o miłości swojego syna do fast foodów. Zaczynała się tak:

*Posłuchajcie mojej opowieści, często niewesołej treści. Była sobie Haslemere miejscina, gdzie na świat przyszedł pewien chłopczyzna. Jego życie nie było spokojne, co rusz leciał gdzieś na wojnę. Aż zjawiała się nasza Kiwi miła i cholernie dobrze wszystko naprawiła.*

Podobnych zwrotek było jeszcze dziewięć z wpadającym w ucho refrenem, który wkrótce śpiewali wszyscy. Ostatnia zwrotka brzmiała następująco:

*Teraz posłuchajcie, chociaż to sekrety, jak zabiegał o względy tej pięknej kobiety, żeby dać jej znać, że bardzo mu w smak i usłyszeć od niej: tak. Wziął ją w mocarne ramiona, lecz z nerwów zapomniał mowy, więc wyszeptał pierwsze, co mu przyszło do głowy. Gdy poczuł, jak Colleen serce łomocze i oddech unosi jej biust, wyznanie*

*samo wyrwało mu się z ust: Złocistszych włosów, jaśniejszych oczu nie znalazłbym przez lat dwieście. Ale z ciepła twych piersi wnoszę, żeś obdarzona parą mięsnych zapiekane w cieście!*

Po czym Bill przeszedł do finałowego refrenu, a cała sala podjęła chórem:

*Ginsters – pieróg kornwalijski, Ginsters, Ginsters zapiekanka. Jeszcze tylko coli szklanka, potem chipsy od Walkera<sup>[19]</sup> – po prostu żyć, nie umierać. Od Kosowa do Kabulu, nie była to łatwa droga, lecz Will przetrwał w kamizelce obsypanej okruchami pieroga!*

Zastrzeżenia Colleen dotyczyły wyłącznie jednej z ostatnich strof utworu Billa, która głosiła:

*Niech wam się szczęści, Colleen i Williamie, niech się wam darzy. A ty, Owenie, masz supertatę – o lepszym trudno marzyć. A jeśli chcesz być kiedyś jak twój tata, ten świetny facet, to bób, marchewki i wszystko zielone zamień na pieróg i placek.*

Podczas gdy dziadek śpiewał te słowa, a Colleen z niedowierzaniem kręciła głową, Little B wyrzucił w górę małą piąstkę i krzyknął: „Taaak!”

Chłopiec, gdy już przekroczył porę, gdy zwykle kładzie się spać, jakby odzyskał werwę. Kiedy muzyka umilkła, a on wydmuchał ostatnie bańki w stronę tańczących państwa młodych, wyzwał weselnym gości na pojedynek w siłowaniu się na rękę (do czego ma naturalne predyspozycje, ze względu na napięte mięśnie). Podparty na poduszce, z podwiniętym aż po biceps rękawem koszuli, wykrzykiwał: „Następny!”, dopóki wszyscy, od drobnych kobiet po krzepkich pilotów RAF-u, nie padli ofiarą jego waleczności. Podczas jednej z trzech najlepszych rywalizacji, po tym, jak – mówiąc jego słowami – „dołożył” pewnemu oficerowi pirotechnikowi już w pierwszym podejściu, wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu i zapytał: „Ktoś jeszcze?”

Natomiast gdy Jodi Kennedy poniosła porażkę, Little B na swoim iPadzie, który miał pod ręką, otworzył aplikację rysunkową i szybko nakreślił wielkie X.

– Och, to całusek dla mnie? – zapytała rozbrojona Amerykanka.

– Nie. To znaczy: przegrana! – odparł Little B, a jej zrzędła mina.

Rzecz jasna, jego dobra passa trwała do końca.

Owen opuszczał Barton’s Mill razem z Willem i Colleen jako jeden z ostatnich

weselników. Ledwie mógł utrzymać otwarte oczy, kiedy ojciec niósł go do taksówki. Nagle ktoś z ludzi siedzących przed pubem zauważył ich i krzyknął:

– Hej! To ten sławny dzieciak z telewizji, co nie?

– Tak, to on! – odparła z dumą Colleen.

Nieznajomy fan podbiegł i zapytał, czy dostanie autograf. Little B zdobył się na senny uśmiech i odparł:

– Jasne, tylko się pospiesz, bo jestem potwornie zmęczony. – Potem uprzejmie wypisał swoje imię i nazwisko.

Wreszcie, po dniu pełnym łez i śmiechu, nowa rodzina wyruszyła tam, gdzie czekał na nich Haatchi. Państwo Howkinsonowie-Drummondowie wykończeni, ale szczęśliwi i wdzięczni za liczne błogosławieństwa losu zabrali Little B z powrotem do domu, który wspólnie stworzyli.

# Rozdział 9

*Zwracaj twarz ku słońcu, a nie będziesz widzieć cienia.*

Helen Keller

Po wszystkich ślubnych przyjemnościach i emocjach Will i Colleen spędzili tydzień w domu. Rozkoszowali się otrzymanymi kwiatami, otwierali kartki z życzeniami, a także spędzali czas z ciotką Tui i Kennedymi, którzy przyjechali do nich z tak daleka. Poza tym zbliżały się ósme urodziny Little B, więc chcieli razem z nim urządzić je wcześniej, zanim wyjadą.

Jedyną chmurą na horyzoncie były ostatnie wieści o stanie zdrowia chłopca. Dwa dni przed rozpoczęciem miesiąca miodowego Will i Colleen musieli zawieźć Owena do szpitala w Southampton na zastrzyki ze sterydów, które – jak lekarze mieli nadzieję – złagodzą bóle bioder. Zanim wyruszyli na zabieg, Haatchi pożegnał Owena dodatkową porcją specjalnego przytulania i „wzmacniaczem odwagi” – uniósł przednią łapę, przyciągnął Little B w swoje objęcia, aż zetknęli się głowami i popatrzyli sobie w oczy. Wyglądało to tak, jak gdyby wielki pies zapewniał przyjaciela, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy Owen leżał pod narkozą (ściskając ulubioną pluszową zabawkę, która przypominała mu Haatchiego), lekarze zaaplikowali mu zastrzyk z kortyzonu w lewe biodro, a potem dokładnie go zbadali. Po zabiegu chłopiec odzyskał przytomność bez żadnych komplikacji i nie pamiętał, co się z nim działo. Nie sprawiał też wrażenia, że zbyt go boli.

Jednak zanim doszedł do siebie, musiał spędzić jeszcze jakiś czas na oddziale dziecięcym, gdzie doglądała go Colleen, dopóki nie przyszła pielęgniarka, żeby usunąć mu z ręki dwa wenflony, przez które dostawał leki. Owen wiedział, że musi być mężczyzną, więc zapytał, czy może sam ściągnąć sobie plastry. Colleen i pielęgniarka namoczyły je wodą, żeby odklejanie nie było aż tak dotkliwe, ale niestety ta metoda się nie sprawdziła, więc w końcu trzeba było po prostu je zdrzeć.

Kiedy przyszło do usuwania wenflonów, Little B popatrzył ze strachem na macochę.

– Naprawdę żałuję, że to wszystko musi się dzisiaj dziać – powiedział.

Ściskając jego dłoń, odparła, że ona też naprawdę żałuje.

Wtedy rozejrzał się po sali, gdzie inni mali pacjenci leżeli cichutko w łózkach, mocno chwycił Colleen za rękę i poprosił:

– Czy możesz zatkać mi buzię, jeśli będę wrzeszczał, żebym nie zdenerwował tamtych dzieci?

Gdy ze łzami w oczach czekał na ból, Colleen bardzo starała się nie rozpłakać.

Podczas usuwania wenflonów Owen nie zdołał się powstrzymać. Colleen usiłowała go zabawić, odrywając dłoń od jego ust i znowu przyciskając, co zamieniało krzyk w indiański sygnał. Zaraz też było już po wszystkim. Kilka minut później Little B siedział na łóżku i grał w swoją ulubioną grę komputerową. Tak się w nią wciągnął, że kiedy jedna z pielęgniarek zapytała go, czy zanim pojedzie do domu, chciałby się wykapać, żeby zmyć ślady flamastra z nóg, odparł:

– Jestem w środku wojny, więc teraz nie mogę.

Dopóki Owen grał, Will i Colleen poszli na rozmowę z lekarzami, którzy badali chłopca pod narkozą. Chociaż doktorzy doszli do wniosku, że lewe biodro nie jest aż tak zniszczone, jak początkowo sądzili, wierzchołki obu kości udowych były znacznie spłaszczone i zdeformowane. Potwierdzili też, że w jednym biodrze, na skutek nacisku coraz bardziej stężyłych mięśni, główka kości udowej wytarła wyżłobienie w miednicy.

Główka prawej kości udowej przemieściła się z panewki aż o pięć centymetrów. Zdaniem ortopedów staw biodrowy był zbyt rozsunięty, żeby kiedykolwiek dało się go nastawić.

Belen Carsi, specjalistka w dziedzinie ortopedii dziecięcej, szczegółowo wyjaśniła Howkinsom wyniki badania i przyznała, że to nie wygląda dobrze.

– W obu biodrach główki kości udowych wysunęły się z panewek – powiedziała. – Główki i panewki są zniszczone w taki sposób, że nie nadają się do rekonstrukcji. Co więcej, część miednicy, ścierana przez biodro, jest teraz martwą kością”.

Te niepokojące zmiany oznaczały, że planowana wcześniej wymiana stawów biodrowych nie miałaby większego sensu po prostu dlatego, że nowe stawy znów uległyby zwichnięciu. Lekarze nie mogli również skontrolować decydującego przepływu krwi do kości, ponieważ mięśnie Owena były zbyt mocno naprężone, żeby dać wystarczający dostęp do tętnic.



Chirurdzy wyjaśnili, że jeśli zastrzyki ze sterydów nie pomogą i Owen nadal będzie cierpiał, to pozostanie tylko odciąć kawałek długości około pięciu–siedmiu centymetrów z górnej części kości udowych, żeby przestały trzeć o inne kości i niszczyć. W takiej sytuacji Little B niemal na pewno byłby już na stałe przykuty do wózka inwalidzkiego, ponieważ skrócone kości nóg nie zdołałyby udźwignąć ciężaru ciała – zwłaszcza kiedy chłopiec podrośnie.

Belen Carsi dodała, że operacja, o której mowa, bywa zwykle wykonywana u osób z porażeniem mózgowym, ale nawet wówczas okazuje się skuteczna tylko w pięćdziesięciu procentach. Decyzja musi uwzględniać jakość życia pacjenta.

Ta diagnoza była dla Howkinsów dużym szokiem.

Chociaż większość ludzi widywała Owena na wózku, w domu chłopiec przemieszczał się z pomocą balkonika albo chodził sam, podpierając się na meblach. Niezależność, jaką mu to dawało, była istotna dla jego psychiki: mógł bez asysty pójść do swojego pokoju, do łazienki albo do Haatchiego, żeby go uściskać.

Will, wieczny optymista, a w dodatku z zawodu mechanik, zaczął rozmyślać, jak ustabilizować biodra Owena. Zastanawiał się nad użyciem specjalnej siatki chirurgicznej, stosowanej przy operacji ścięgien. Od momentu, gdy ścięgna znajdą się na swoim miejscu, mogą funkcjonować razem z wszczepionymi polimerowymi włóknami.

Rysował schematy i konstruował modele z piłeczek do golfa, żeby sprawdzić, czy przy użyciu najnowszych technologii zdoła opracować jakieś nowatorskie rozwiązanie inżynierskie. Poczytał też o różnicach pomiędzy endoprotezami ceramicznymi i tytanowymi.

W końcu po długich rozważaniach wpadł na pomysł, że trzeba wykonać zaokrąglone „dobudówki” do panewek kości miednicznej. Miał nadzieję, że dałoby się te przedłużenia zamocować we właściwych miejscach, żeby tworzyły mechaniczną blokadę przed zwichnięciem stawów biodrowych. To pozwalałoby Owenowi chodzić, chociaż uniemożliwiałoby ruch nogą na boki i w górę – ale przecież chłopiec i tak tego nie mógł robić.

Will wszystko dokładnie przemyślał i zaczął dowiadywać się jak opatentować swój wynalazek. Zdecydował też, że musi zasięgnąć rady najwybitniejszych na świecie chirurgów ortopedów, a zwłaszcza specjalistów z Bostonu i Baltimore, którzy zajmowali się Benem Elwym, gdy miał podobne problemy mniej więcej w tym samym

wieku co Owen.

Kiedy w ósmym roku życia Benowi usunięto kilka centymetrów kości udowych, rodzice chłopca bali się przede wszystkim, że nie będzie już mógł używać balkonika. Ale do tego nigdy nie doszło. Ben nadal ma zaplanowaną wymianę stawów, gdy skończy szesnaście lat.

Ojciec Owena nie tracił nadziei, że zdoła uchronić swojego syna przed taką operacją. Wzmoczona aktywność była jedynym sposobem, jaki przychodził Willowi do głowy, żeby pozbyć się lęku, że Little B może całkiem przestać chodzić.

Zdecydowani możliwie najbardziej cieszyć się urodzinami Owena, Howkinsowie urządzili małe przyjęcie dla rodziny i przyjaciół. Razem z Tui, Kathryn, Jodi i Peterem przyglądali się, jak jubilat otwiera prezenty. Nowe pistolety Nerf od Willa i Colleen – z automatycznym spustem, poręczniejszym dla Little B – okazały się strzałem w dziesiątkę, podobnie jak klocki Lego, krążący cel i broń laserowa oraz komplet piłek do bocci, dokładnie takich, jakie chłopiec widział na paraolimpiadzie.

Później Will sfotografował syna w przebraniu obcego, w hełmie z ery kosmicznej i pełnym rynsztunku Nerf, po czym zamieścił zdjęcie w Internecie i opatrzył żartobliwym komentarzem: „Łapie się za głowę i ciężko wzdycha). To mnie nauczy pozwalać Owenowi, żeby na kolejne wizyty w szpitalu wkładał, co chce...” Potem wrzucił jeszcze fotografię synka jako uśmiechniętego dwulatka i napisał: „Osiem lat temu byłem dumny jak nigdy w życiu. On niemal codziennie mnie rozśmiesza i trzyma w gotowości bojowej. Nie mógłbym sobie życzyć lepszego syna. Wszystkiego najlepszego, Owenie. Ogromnie cię kocham”.

Dopiero gdy urodziny Little B zostały odpowiednio uczczone i zagraniczni goście w końcu odlecieli do domu, Will i Colleen otwarli wszystkie swoje ślubne kartki z życzeniami, żeby sprawdzić, jak wypadła kwesta na grudniową podróż niespodziankę do Laponii. Na przeloty, zakwaterowanie przez cztery dni i specjalne potrzeby Owena musieli zebrać co najmniej 5 tysięcy funtów. Byli więc zachwyceni, kiedy się okazało, że dzięki hojności przyjaciół i rodziny mieli już niemal połowę tej kwoty. W tej sytuacji wpłacili zaliczkę do biura podróży Magic of Lapland i omówili wymagania związane ze stanem chłopca. Pracownicy biura okazali się niezwykle pomocni. Zamiast pobytu w hotelu z resztą grupy zaproponowali Howkinsom osobny domek na farmie reniferów, dzięki czemu Little B nie musiałby się zbyt często przemieszczać. Z tlenem też poradzili sobie bez problemu. Ponadto zaoferowali się zapewnić specjalny sprzęt,

żeby Owen mógł jednak przejechać psim zaprzęgiem i jak reszta dzieci wziąć udział w wycieczce krajoznawczej na skuterach śnieżnych. Sztywniejące stawy chłopca źle znosiły chłód, co oznaczało, że cały czas musi być trzymany w ciepłe – rodzinie obiecano więc dostarczyć odzież termoaktywną.

Howkinsowie postanowili utrzymać cel wycieczki w tajemnicy przed Owenem, dopóki wszyscy troje nie znajdą się w samolocie. I z coraz większą niecierpliwością wyglądali tej chwili, gdy zobaczą minę Little B na widok Świętego Mikołaja. Po prostu nie mogli się już doczekać.

Po tym jak Will i Colleen załatwili już wszystko co trzeba w związku z wielką rodzinną przygodą, zostawili Owena pod fachową opieką dziadków i wreszcie udali się do skąpanej w blasku sierpniowego słońca Szkocji na – jak miało się okazać – niebiańskie wakacje. Może to i nie był egzotyczny domek na drzewie, o którym dawniej marzyli, ale tygodniowy miesiąc miodowy spełnił wszelkie ich oczekiwania, a nawet więcej. Mieli wspaniałą pogodę. Psy świetnie się czuły na otwartych przestrzeniach, więc małżonkowie mogli wreszcie się odprężyć.

W szkockiej głuszy zdołali przez kilka dni nie zaprzętać sobie myśli niepokojami o przyszłość Owena i po prostu cieszyć się spokojem idyllicznego zakątka. Spacerowali, czytali i nadrabiali zaległości w spaniu po szaleńczym tempie kilku ostatnich miesięcy. Napawali się cudownymi widokami, obserwowali rzadkie ptaki i nawet wydrę morską w ujściu rzeki, niedaleko ich ślicznego, białego domku, który wkrótce po przyjeździe nazwali „Kryjówką Haatchiego”.

Kiedy stado ciekawskich krów szkockiej rasy wyżynnej niespodziewanie pojawiło się przed ich drzwiami, w imieniu swojego trójłapego olbrzyma zamieścili na Facebooku następującą notkę: „Uwielbiam tutejszą obsługę w zakresie dostaw surowej karmy. BOL!” W innym wpisie Haatchi „zapropozował”, że przetestuje smak śniadania, które Will robi dla Colleen. Natomiast zarządzająca domami letniskowymi Jan Wolfe z dumą obwieściła w sieci, iż tego lata mają w swoim gronie psiego celebrytę.

Haatchi codziennie miał hydroterapię – pływał w czystym, chłodnym jeziorze razem z radosnym Mr Pixelem, który rzucał się w pogoń za piłkami i patyczkami, aż do całkowitej utraty sił. Owczarek chodził też trochę bez upręży po miękkiej trawie i był zachwycony, że może poruszać się swobodnie.

Miesiąc miodowy skończył się o wiele za szybko. Kiedy w połowie drogi na autostradzie M6 utknęli w korku, bardzo ich kusiło, żeby zawrócić i pojechać z powrotem.

– Ten szkocki zakątek okazał się idealny pod każdym względem – opowiadał Will. – Pewnie nigdy byśmy tam nie trafili, gdyby Jan nie została internetową przyjaciółką Haatchiego, więc to jeszcze jedna rzecz, za którą mamy u naszego psa dług wdzięczności.

Po powrocie do pustego domu natychmiast zatelefonowali do Owena. Chłopiec zapewnił ich, że świetnie się bawi w Devon z dziadkami i ciocią Katie. Był w miejscowym salonie gier i na fajnym rodzinnym grillu, ale przede wszystkim niecierpliwie czekał na mamę, która miała przylecieć z Afganistanu po trzymiesięcznej misji. W ramach niespodzianki dziadkowie i ciocia zawieźli Owena do bazy RAF-u Brize Norton na spotkanie z Kim. Chociaż Little B często rozmawiał ze swoją mamą na Skypie i pisał do niej, kiedy tylko chciał, nie mógł się już doczekać, żeby pokazać jej swój nowy zegarek i opowiedzieć wszystkie nowiny. A ona z kolei jak najprędzej chciała mu przekazać wspaniałą wiadomość, że wśród kolegów w Afganistanie zdołała zebrać na nowy wózek inwalidzki Zippie ponad 2 tysiące funtów i że już niedługo zgromadzą całą kwotę.

Haatchi po szkockich wakacjach z dnia na dzień czuł się coraz lepiej, więc żeby nadal wzmocnić tylną łapę, został zapisany na kolejne sesje hydroterapii i ćwiczenia na wodnej bieżni. Zespół jego opiekunów w Greyfriars (i nie tylko) zaprojektował dla niego odkryty tor przeszkód, który mógł być również rozstawiany w domu – w ten sposób pies mógł zachowywać sprawność i elastyczność nawet, kiedy na dworze robi się chłodniej. Podobnie jak Owen, Haatchi dotkliwie odczuwa niskie temperatury. Zima to nie najlepsza pora dla żadnego z nich, więc ważne, żeby zapewnić im ciepło i ruch.

Andy Moores, chirurg Haatchiego, nadal nie mógł wyjść z podziwu, że owczarek – który nie tylko został kiedyś okrutnie potraktowany, ale też przeszedł w swoim krótkim życiu ogromną liczbę zabiegów weterynaryjnych – mimo to zawsze jest niesamowicie miły i spokojny. Jeśli psy są trzymane w klatce, przez dłuższy czas mają ograniczoną swobodę albo cierpią po operacjach, często stają się niezdolne i agresywne. Jednak Haatchi znosił wszystko z takim wdziękiem, że zdaniem Andy'ego był pacjentem doskonałym.

Dlatego osoby, które znały owczarka, nie mogły wyjść ze zdumienia, kiedy łagodny Haatchi okazywał niechęć komuś, z kim co pewien czas stykał się podczas terapii. Chodziło o życzliwego pana w średnim wieku, który kochał zwierzęta i bardzo chciał poznać sławnego psa. Na widok tego nieszczęśnika Haatchi za każdym razem szczekał i warczał. Mężczyzna był zdruzgotany tą reakcją. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Haatchi tak się zachowuje aż wreszcie Colleen pomyślała, że ciemne włosy i oliwkowa cera mężczyzny mogą się kojarzyć psu z człowiekiem, którego widziano przy torach kolejowych, tam gdzie został znaleziony anatolian.

– Mówi się, że słonie nigdy nie zapominają – powiedziała – ale najwyraźniej owczarki anatolijskie też.

Po powrocie do pracy Colleen zaczęła przygotowywać się do londyńskiego maratonu w 2014 roku. Postanowiła pobiec na rzecz White Lodge Centre w Chertsey – ośrodka, który wspiera niepełnosprawnych, oferuje nad nimi tymczasową opiekę i pomaga Alfiemu, chłopcu z porażeniem mózgowym, synkowi jej przyjaciółki.

Haatchi na tyle wyzdrowiał, że mógł znowu pracować jako pies terapeutyczny. A Owen – którego mimo zastrzyku nadal bolały biodra – musiał stawić czoło kolejnym próbom. Rozpoczął nowy rok szkolny i przeszedł trochę więcej badań. Lekarze byli zaniepokojeni, bo bezdech nocny coraz częściej blokował chłopcu drogi oddechowe. Jak uprzedzali laryngolodzy, Owen będzie potrzebował na noc maski na całą twarz i podawania tlenu przez nos. Will mógł mieć tylko nadzieję, że jego dzielny synek jakoś pogodzi się z koniecznością stosowania tego nowego sprzętu medycznego. Dla Willa i Colleen miesiąc miodowy zdecydowanie się skończył. Do ich życia powróciła codzienność – i żadne z nich się na to nie uskarżało.

– Nie sądziłam, że mogłabym kochać Owena jeszcze bardziej, niż go kochałam – opowiadała Colleen – a jednak obrączka na palcu naprawdę w jakiś sposób robi różnicę. Kiedy Little B wrócił od Kim, rzuciłam się na niego z całusami, a on chichotał i wił się jak piskorz. Byliśmy z Willem tacy szczęśliwi, że znów go mamy w domu. Chcieliśmy jak najprędzej rozpocząć następny etap w naszym wspólnym rodzinnym życiu.

Małżonkowie nie potrafili przewidzieć, co ich jeszcze czeka, ani nie mieli pojęcia, ilu problemom przyjdzie im stawić czoło, zwłaszcza w związku z Haatchim i Little B. Ale jednego byli pewni: ich serca wypełniała wdzięczność, że się odnaleźli i nawzajem dali sobie szczęście, akceptację, a przede wszystkim miłość.

Po początku tak niefortunnym dla każdego z nich rodzina miała nadzieję – i modliła się, żeby tak było – że ich historia doczeka się happy endu.

# Epilog

Uniósł łeb i wilgotnym czarnym nosem wciągał powietrze. Miał wrażenie, że coś słyszy, ale nie był pewien, więc osunął się z powrotem na swoje miejsce. Wodząc to w prawo, to w lewo bursztynowymi ślepiami, rozmyślał, gdzie też podzieli się jego ludzie i dlaczego leży sam w ciemnościach.

Czy wkrótce ktoś się pojawi?

Znów dobiegł go jakiś hałas. Kikucik ogona zaczął się poruszać, bo odgłosy dochodziły z pokoju Owena. Potem na górze rozbłysło światło. Z boksu – specjalnej sypialni psa, wybudowanej w „domu na zawsze” – widział, jak nadchodzi jego kochana „mamusia”, otulona puszystym różowym szlafrokiem. Za nią idzie „tatuś” w błękitnoszarej piżamie, a w ramionach niesie najważniejszą dla Haatchiego istotę – jego Little B.

Był to zwyczajny poniedziałkowy ranoek w domu Howkinsów-Drummondów i cała trójka właśnie się obudziła, gotowa stawić czoło nowemu dniu. Owen jak zwykle musiał jechać do szkoły, Colleen wkrótce wyruszała do pracy, a Will miał być to tu, to tam, ale głównie w domu, z nim i z Mr Pixelem.

Jednak jeszcze zanim nastawili czajnik albo poszli wziąć prysznic, wszyscy troje – ziewając – powlekli się do miejsca, gdzie spędza noce ich wielgachny owczarek anatolijski. Otworzyli drzwi jego sypialni – która chroni go przed kolejnymi urazami – i po kolei wpełzli do środka. Całą rodziną wcisnęli twarze w miękkie futro i objęli psa.

Zachwycony, że znów widzi swoich najbliższych, Haatchi lizał ich, gdzie popadnie, tulił się do nich i wydawał radosne odgłosy, a kikucik ogona latał jak szalony. Ziając gorącym psim oddechem i pomrukując z zadowolenia, owczarek – niemal sześćdziesiąt kilo żywej wagi – w końcu wstał i z wysokości swojego metra dwadzieścia popatrzył na ośmioletniego Owena, chłopca, którego życie całkiem odmienił.

– Haatchi się uśmiecha! – krzyknął Owen, zerkając na kudłatą mordkę najlepszego kumpla. – Dobry piesek!

Potem przymrużonymi oczami, przez okulary przyjrzał się zbiorowi zabawek, wybrał

jego ulubioną i podsunął pod nos przyjaznemu olbrzymowi niczym jakąś ofiarę. Szczękami dość potężnymi, żeby zmiażdżyć kark lwu, pies ostrożnie wyjął Jeża Harolda z małych zaciśniętych dłoni dziecka. Delikatnie trzymając zabawkę w pysku, znów umościł się na posłaniu. Potem wypuścił z zębów pluszaka, popchnął go wesoło w stronę Little B i z przechylnym łbem czekał na zabawę.

Colleen i Will, zwinęci w kłębek w wygodnym kącie boksu, obserwowali z radością, jak Owen podejmuje wyzwanie i między psem a jego przyjacielem rozpoczynają się żartobliwe zawody w przeciąganie jeża.

Haatchi był w życiu Howkinsów dopiero od dwóch lat, a mimo to wydawało się, jakby zawsze stanowił jego część. Codziennie zdumiewała ich dobroć i wielkoduszność owczarka, ale wiedzieli też, że po tamtej nocy, kiedy padł ofiarą najstraszniejszego okrucieństwa, zawsze już doświadczał tylko zwykłej ludzkiej życzliwości.

Wszyscy – poczynając od dyżurnego ruchu Nigela Morrisa i Siobhan Trinnaman z RSPCA, którzy wspólnie go ratowali, poprzez Stana, Fionę, Andy'ego, Angelę i cały personel weterynaryjny, aż po grono wolontariuszy robiących dla niego, co tylko w ich mocy – przywieźli Haatchiego do ich domu, a przede wszystkim do Owena.

Obydwaj, pies i chłopiec, mieli przed sobą długą, ciężką drogę, ale wydawało się, że razem są w stanie stawić czoło całemu światu. Kiedy się turlali jak jedna wielka kula futra i miłości, prawie nie sposób było dostrzec, gdzie kończy się Haatchi, a zaczyna Little B, i odwrotnie.

Państwo Howkinsowie-Drummondowie zastanawiali się, czy tego ranka w ogóle zdołają wyprawić Owena do szkoły. Wtedy Haatchi przemówił do nich w swoim specjalnym psim języku, a ich dzielny chłopiec dostał jednego ze swoich napadów chichotu. Willowi i Colleen, bezsilnym wobec tej radości, nie pozostało nic innego, jak tylko też wybuchnąć gromkim śmiechem.



# Firmy, fundacje i organizacje, które pomogły Haatchiemu i Owenowi

## **All Dogs Matter**

30 Aylmer Parade, London N2 0PE

## **Anderson Moores Vets**

The Granary, Bunstead Farm, Poles Lane, Hursley, Winchester, Hampshire SO21 2LL

## **Crufts**

[www.crufts.org.uk](http://www.crufts.org.uk)

## **Dogs and Kisses**

[www.dogsandkisses.co.uk](http://www.dogsandkisses.co.uk)

## **Dogs Today Magazine**

[www.dogstodaymagazine.co.uk](http://www.dogstodaymagazine.co.uk)

## **Dogs Trust**

[www.dogstrust.org.uk](http://www.dogstrust.org.uk)

## **Endal Awards**

[www.londonpetshow.co.uk](http://www.londonpetshow.co.uk)

## **Fiona Simpson Doggiebears**

[www.facebook.com/pages/The-papier-mache-zoo/  
176374135774959](https://www.facebook.com/pages/The-papier-mache-zoo/176374135774959)

## **Greyfriars Veterinary Rehabilitation & Hydrotherapy Referrals**

The Veterinary Centre, Hogs Back, Guildford, Surrey GU3 1AG

## **Harmsworth Memorial Hospital**

22 Sonderburg Road, Holloway, London N7 7QD

**K9 Rehabilitation**

2 Titchener Close, Bicester, Oxfordshire OX26 2BZ

**Make A Wish Foundation**

329–331 London Road, Camberley, Surrey GU15 3HQ

**Muffin's Dream Foundation**

[www.muffinsdreamfoundation.co.uk](http://www.muffinsdreamfoundation.co.uk)

**Nutriment Raw**

Enterprise House, 1 Bridge Road, Camberley, Surrey GU15 2QR

**OrthoPets Europe**

Elmtree House, Breadstone, Berkeley, Gloucestershire GL13 9HF

**Petplan**

Great West House, Brentford, Middlesex TW8 9DX

**Rescue Helpers Unite**

[www.rescuehelpersunite.co.uk](http://www.rescuehelpersunite.co.uk)

**RSPCA**

Freepost (SW2465), Horsham, West Sussex RH13 9RS

**Sara Abbott Animal Portraits**

[www.sara-abbott.com](http://www.sara-abbott.com)

**Starlight Children's Foundation**

Macmillan House, Paddington Station, London W2 1HD, [www.starlight.org.uk](http://www.starlight.org.uk)

**UK German Shepherd Dog Rescue Ltd**

3 Ash Lane, Appleton, Warrington, Cheshire WA4 3DD

**White Lodge Centre**

Holloway Hill, Chertsey, Surrey KT16 0AE

# Podziękowania

*Podziękowania za pomoc dla Haatchiego i Little B należą się bardzo wielu osobom – nie wszystkie nawet znamy. Jest wśród nich maszynista, który pierwszy zgłosił, że widział psa na torach, i Nigel Morris, dyżurny ruchu, który pomógł przenieść Haatchiego w bezpieczne miejsce, a ostatnio przyjechał go odwiedzić.*

*Są również lekarze, terapeuci – w tej roli oprócz ludzi, także zwierzęta – walczący niezwykle dzielnie, żeby utrzymać Owena i Haatchiego w jak najlepszym zdrowiu i oszczędzać im bólu. Mamy tylko nadzieję, że na stronach tej książki wystarczająco wyraziliśmy wam wdzięczność.*

*Pamiętamy też o tych, którzy ostatnio nas wspierali, zwłaszcza o naszym redaktorze Dougu Youngu i jego zespole w wydawnictwie Transworld. Od samego początku pokochali tę historię i wypruwali sobie żyły, aby się nią podzielić z resztą świata. Pragniemy również podziękować specjalistce od reklamy Polly Osborn za jej zaraźliwy entuzjizm oraz wszystkim pozostałym, poczynając od osób, które zadbały o wygląd tej książki i wprowadziły ją na rynek, aż po tych, którzy ją teraz sprzedają.*

*Bezценne były dla nas miłość i wsparcie ze strony naszych rodzin. Nasi najbliżsi towarzyszą nam na każdym kroku wspólnej wędrówki z Haatchim i Little B. Jesteśmy winni płynące z głębi serca wyrazy wdzięczności rodzicom i teściom: Joan i Billowi Howkinsom, a także Sarze i Hugh Knottom, Kathryn Harrison, Tui Harrison oraz naszym braciom i siostram, przyjaciołom i krewnym.*

*Specjalne słowa podziękowania kierujemy do Kim za życzliwe wsparcie dla Owena, ale także dla nas przy realizacji tego projektu.*

*Jesteśmy wam wszystkim zobowiązani.*

*Haatchiemu nie zdołano by uratować życia, a potem na tyle go ułatwić, gdyby nie warta odnotowania sieć przeogromnie życzliwych i hojnych miłośników zwierząt, którzy na różne sposoby pomagali trójłapemu owczarkowi. Little B miał podobne szczęście.*

*Wielu z tych, którzy pomogli im obu, działa ochotniczo na rzecz organizacji charytatywnych rozpaczliwie potrzebujących wsparcia. Inni pracują w firmach, fundacjach i instytucjach, które w obecnych trudnych czasach mile powitają wasze*

*zaangażowanie. Gdybyście chcieli w jakikolwiek sposób podziękować im w imieniu Haatchiego i Little B, i oni, i my będziemy uszczęśliwieni.*

*Nazwiska, nazwy i wszelkie szczegóły znajdują się na poprzednich stronach.*

*Wielkie dzięki hau-hau!*

# Przypisy

[1] Marek Aureliusz *Rozmyślania*, ks. VI, pkt 39, przeł. M. Reiter.

[2] RSPCA – Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals – Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt. Odpowiednikiem tej organizacji w Polsce jest Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[3] Rasa myśliwskich szpiców japońskich.

[4] *Mój przyjaciel Hachiko*, reż. Lasse Hallström. Muzykę do tego filmu skomponował Jan Kaczmarek, laureat Oscara.

[5] Według polskiego prawa: „Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Człowiek jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę” – art.1 ust. 1 ustawy o ochronie zwierząt. Za nieprzestrzeganie tego prawa grozi pozbawienie wolności do dwóch lat. [...] Art. 16 ww. ustawy określa, iż „zabrania się wykorzystywania zwierząt w widowiskach i sportach noszących znamiona okrucieństwa [...]”. ([www.psy24.pl](http://www.psy24.pl)).

[6] W Anglii pary decydujące się na rozwód mogą podpisać ugodę dotyczącą podziału majątku. Sąd wydaje postanowienie potwierdzające warunki wcześniej podpisanej umowy bez potrzeby przesłuchania stron w sądzie.

[7] Beatrix Potter (1866–1943) – angielska autorka i ilustratorka popularnych do dziś książeczek dla dzieci, m.in. opowiadań o Króliku Piotrusiu i innych zwierzątkach.

[8] Nieprzetłumaczalny żart, oparty na wieloznaczności czasownika *to engage* – zajmować się, zainteresować, ale również: *be engaged* – być zaręczonym.

[9] Mathletics – edukacyjna internetowa platforma pomagająca w nauce matematyki.

[10] Chiropraktyka McTimoneya jest holistyczną metodą usprawniania całego układu ruchu, przywraca optymalne unerwienie narządów, ale także redukuje napięcie psychiczne pacjenta.

[11] Od 2006 roku tytuł przewodniczącego Izby Lordów; przedtem był to lord kanclerz.

[12] Pies towarzyszący to zwierzę wyszkolone do pomocy osobom niepełnosprawnym.

[13] Kennel Club in the United Kingdom – czołowa organizacja kynologiczna w Wielkiej Brytanii; organizator wystawy Crufts.

[14] Przekład według *Aforyzmy, cytaty, złote myśli o psach*, [www.theogonia.pl](http://www.theogonia.pl)

[15] Grupa wsparcia SJS – Schwartz-Jampel Syndrome support group.

[16] W tekście oryg. żart oparty na znaczeniach słowa pin – szpilka, gwóźdź (med.) i wyrażeniu *pins and needles*, które oznacza uczucie mrowienia.

[17] Kolejna gra słów, nawiązanie do popularnego skrótu LOL, tyle że zamiast L (*laugh*) jast B (*bark*), co należałoby tłumaczyć: kupa szczekania/ujadania (*Bark Out Loud*).

[18] plastron – szeroki, noszony do fraka krawat zakrywający gors.

[19] Ginsters – firma brytyjska, której specjalnością są pierogi kornwalijskie i zapiekanki, Walkers – firma znana z przekąsek.